



PISMA
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

~~~~~  
TOM IV.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Z PRZEDMOWĄ

PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO

TOM IV.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1900.

WARSZAWA.

DRUK TOW. S. ORGELBRANDA SYNÓW,

*Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.*





25897  
284-1 : 284 (091)  
ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 3 Января 1900 года.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 25897



BGZs 25897

# POEZYE LIRYCZNE I ULOTNE.

CZEŚĆ DRUGA.

U w a g a. W tej części drugiej, zebrane zostały prawie same rzeczy mające pośredni lub bezpośredni związek ze znaną doktryną Towianizmu, do której i nasz poeta w ostatniej epoce życia pod pewnym względem pależał. Poezye te znalazły się między pozostałymi papierami rozproszone, na luźnych kartach, zwykle nie opatrzone żadnym napisem, i bez oznaczenia miejsca i czasu, kiedy powstały.

## I.

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodził  
Radujcie się, bo prawdy wybiła godzina,  
Strach się już boży rodzi,  
Strachem Pan jako mieczem ognistym pościna.

Któż wytrwa, gdy go ognie niebieskie pochwyca?  
Któż miecz podniesie, drżący jak listek osiny  
Przed Pańską błyskawicą,  
W strachu przyjscia Pańskiego i wielkiej godziny?

Na obłokach się zjawią postaci człowieka,  
Święci ogniści staną w chmurzycach za Panem,  
Szatan na blask zaszczeka,  
Trzody na polach drżące przypadną kolanem.

Pastuszkowie otworzą usta, światłością zdziwieni,  
Widząc jasne obłoki i Pana w obłokach;  
Świat się cały spłomieni.  
Ujrzy swe archanioły na ogniach i smokach.

Chwała Panu, że z ciałem zjawił się rzetelny,  
Ze dotrzymał — a przyszedł n <sup>o</sup>woać niewinne  
Chrystus, Pan nieśmiertelny,  
Nasz Pan, który nagroził swym świętym uczynne.

Podnieście teraz czoła, od wieków trapieni,  
A więcej się nie bójcie żadnego ucisku;  
Pan ciała wam przemieni  
I miasto swoje złote postawi na błysku.

Pan nasz zamieszka z nami i nigdy już więcej  
 Nie zostawi na ziemi, jak teraz, sieroty  
 Król tysiąca tysięcy  
 Na stolicy słonecznej ognisty i złoty!

Król nasz umiłowany — baranek łagodny,  
 Sędzia nasz sprawiedliwy, ciał naszych przemienca  
 Syn boży pierworodny  
 ślający swe święte do chwały i wieńca..

II

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć  
 Jasną do końca mam wybitą drogę,  
 Ta droga moja: żyć, cierpieć i tworzyć —  
 To wszystko czynić, a więcej nie mogę.

Dawniej miłością różane godziny  
 I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie:  
 Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,  
 Wielkie i smętne, jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi  
 I puści ducha-skowronka — otchłanie;  
 Pomóż-że, Boże, temu skowronkowi,  
 Niech wesół leci, niech wysoko stanie!

III

W I E R Z E.

Wierzę w Boga Ojca Wszechmocnego,  
 Ojca naszego,  
 Przez którego jest duch rodzony,  
 Twórczością i wolą udarowany,  
 Abym się objawił światłością.

Wierzę w Chrystusa Pana,  
 Słowo świata całego,

Który wszelką sprawę czyni,  
 Żywot ku Ojcu prowadzi,  
 A urodził się z Dziewicy  
 Przez natchnienie Ducha Świętego  
 Za ścieniem się ludzkiej natury.  
 I rozpięty był na krzyżu;  
 Trzy dni przetrwał w łonie ziemi,  
 A po trzech dniach zmartwychwstał,  
 I uniesion jest z ciałem w obłoki,  
 Skąd przyjdzie rządzić Królestwo Boże.

Wierzę w Ducha Świętego,  
 Trzecią Świętej Trójcy osobę,  
 Nieśmiertelną i wszechmocną,  
 Z Ojca i Syna urodzoną,  
 Równą Ojcu i Synowi,  
 Przez którą jest napelnion świętością.

Wierzę w święty Kościół Powszechny,  
 I w Najwyższego Ducha pasterstwo;  
 Wierzę w świętych duchów związek,  
 Widzialnych i niewidzialnych —  
 Wierzę w świata przemienienie,  
 W ostateczne zmartwychwstanie  
 Ciała wszelkiego na ziemi.  
 W Królestwo Boże widzialne,  
 Przychodzące z przemienieniem  
 Natury naszej cielesnej,  
 Z przełamaniem grzechu wszelkiego  
 Wierzę i w żywot wieczny. — Amen.

IV.

Chór.

Góry się ozłociły — szafiry mórz ciemnieją.

Głos.

Eliasz! Eliasz!



Chór.

Fale wstały od ziemi — wiatr — i koguty pieją.

Głos.

Izrael! Izrael!

Chór.

Miesiąc jak ogień stoi na czerwonym oceanie.

Głos.

Izaak! Izaak!

Chór.

Korab na dalekościach wre w rozognionej pianie.

Głos.

Samuelu!

Chór.

Korab, wieloryb świata, z ogniami w okienicach...

Głos.

Święty Janie!

Chór.

Ku niemu płyną zdala obłoki, całe w świecach...

Głos.

Święty Piotrzel

Chór.

Uciszyło się morze i ziemia i powietrze —

Głos.

Chwała Trójcy!

Chór.

Złamana jest moc węża, dusz niewinnych zabójcy!

Głos.

Złamana! złamana!

Chór.

W Imię przedwieczne Ojca! W Imię Chrystusa Pana!

Głos.

W Imię Ducha!

Chór.

Pokój na ziemi, wodach i na powietrzu!

Głos.

Chwała Duchom na ziemi!

Takie słyszano głosy nad morzami,  
 Gdy Anioł z trzema na czole gwiazdami  
 Leciał nad złote ogniska pastuszo  
 I budził w ludziach barankowe duszo.  
 Na trzech pasterzy upadły promienie,  
 Obmyły ducha duszę — pod imieniem  
 Jeden był, który ugaszczwał natchnieniem;  
 Drugi, który był kwiatoczków siemieniem;  
 Trzeci zaleśne echa wywoływał;  
 Te zbudził Anioł duchy — ponazywał,  
 Pomiędzy ludźmi pastuszymi wstawił,  
 Dał ducha, wieńce, i w drogę wyprawił.  
 Idźcie! — rzekł — pierwsi wy trzej pastuszkowie,  
 Aż wam przejasna zastąpi dziewica;  
 Ta złote słońce Pańskie ma na głowie,  
 A pod nogami obrączkę księżycą.  
 Raz na obłokach promiennych widziana  
 Przez sługę Chrysta — przez świętego Jana,  
 Przyszłego świata święta monarchini,  
 Teraz ukryta z dzieckiem na pustyni,  
 Piękna jak zorza... Długie jej warkocz:  
 Ciemne ku światłu w złoto się mieniły,  
 W oczach szafiru światła i przezrocze,  
 W głosie anielskie nieskończono siły;  
 Porywał serca ludzkie umiejąca,  
 A moc miłosnych dreszczów miała w dłoni,  
 Gdyś odszedł od niej, a pomyślał o niej.  
 Próżno smok, który owładnął narody,  
 Wypuści na nią rzekę krwawej wody!  
 Próżno ostatni ślad jej ziemski zetrze!  
 Ona ucieknie z dzieckiem na powietrze  
 I tam karmiona, aż mróz minie ostry,



W błękitnych światach przez jaskółki siostry,  
 Dziecinę swoją pośród słońce wychowa,  
 Prześwięta ludom Matka — Pani Słowa!

V.

DO LUDWIKA NORWIDA.

Wracają dla nas piękne Chrystusowe  
 Gwiazdy, a razem korony cierniowe;  
 Więc że to ciebie, Ludwiku, zasmuca,  
 Że tam ktoś czapki przed tobą nie zrzuca,  
 A jać powiadam: niechaj cię to cieszy,  
 Żeś wyszedł z ludzi pospolitych rzeszy.  
 Gdzie dobry złego rad nazywa panem  
 I czei ukłonów fałszywym liczmanem.  
 Zli ludzie, pełni zabójczego szału,  
 Złości i żółci, uznali konieczność  
 Postawić zimną między sobą sprzeczność,  
 Jakoby ścianę z grubego kryształu:  
 A tak się widzą i czczą dla zabawki,  
 Jak napelnione woniami karafki,  
 Które na drogę kupcy zaszpunktują:  
 Bo tylko widzą, ale się nie czują.  
 Gdzie ręka ukłon przez wiatry posyła,  
 Jeszcze tam z dłoni w dłoń nie przyjdzie siła.  
 Lepiejże, bracie, żeś uderzył śmiało,  
 A w gwiazdę się szkło rozbiło, spekało,  
 Bo teraz zawsze powie ci sumienie,  
 Które miłością będzie pozdrowienie,  
 A złe zobaczysz twarze niezakryte  
 Tych, którzy cię klną za tierciadło zbite  
 Które je dzieli, ale nie zasłania —  
 Stąd idą zimne bez łez pożegnania,  
 Słuby bez ducha — bez serca przyjaźnie,  
 Odwaga na świat wyjść poważny — w błaznie  
 Ta sama w podłym i w szpiegu odwaga;  
 Bo kto nie daje nie — mało wymaga.

VI.

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,  
 Napróżno człowiek swe głosy natęży:  
 Choćby miał siłę i odwagę męża,  
 Z niemikowania umrze tak jak z głodu.

Próżno na ręce rękawice kładnie  
 I jako szermierz wystąpi zapaśnicę:  
 Lica mu wyschną i oko zagaśnie,  
 Sprzepaści się pierś i głos w nią zapadnie.

Ale komu ty twoje namaszczenie  
 Włożysz na czoło, ten bez żadnej pracy  
 W powietrzu twojem jak powietrzni ptacy  
 Pływa, a święte karmią go promienie.

VII.

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,  
 Gdzie po dolinach moja łkwa płynie,  
 Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,  
 A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,  
 Gdzie konwaliją woniące lewady  
 Biegną na skały, pod chaty i sady —

Jeśli tam będziesz, duszo mego łona,  
 Choćby z promieni do ciała wrócona: —  
 To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty;  
 Która tam stoi jak archanioł złoty,  
 A czasem miasto jak orzeł obleci,  
 I znów na skalach spoczywa i świeci.

VIII.

Zakończył śpiewak, a my zasłuchani  
 W rytm, w oczach mieli tę światłą sielanekę,  
 Aż wstała złota na murawie pani,  
 Z kwiatów podnosząc uwitą równiankę:

Wszyscy zachodem byliśmy rumiani,  
 Który oświecił tę cichą polankę,  
 A las w około szemrał swemi brzozy,  
 Iakby gdzieś duchów przeszłości obozy.

Helion się pierwszy ocknął, i ocknięty  
 W duchu się uczuł i rzekł: „Wieczna sława  
 „Duchowi, który tworzył dyjamenty,  
 „I myśl dziś tworzy na te same prawa.  
 Spiewaj nam dalej dzieje, wieszczu święty!  
 „Czuje, że idzie na nas burza krwawa;  
 „Jeszcze nie słyszał, jak gra twoje łono,  
 A już myśl czarną mam i chęć szaloną.

„Zda się, że słyszę, jako w Dnieprze biją  
 „Żelazne słupy, widzę je pod wodą;  
 „Widzę Rusalki, jak łabędzią szyją  
 „Wiążą się, grają, taniec skoczny wiodą.  
 „Powiedz, Bohdanie (1), czy zdoprawdy żyją  
 „Królowe twoje pod wodną gospodą?  
 „Czy mi się tylko śnią w tęczowym dymie  
 „Jasno dlatego, że błysły w twym rymie?“

Wszystcyśmy na to czekali, co powie  
 Dumek poeta; lecz on gdzieś ponury  
 Siedział na stronie i sumował w głowie  
 I wiązał złote jakieś rytmów sznury.  
 Seweryn (2) więc wstał, i w ognistym słowie  
 Trłmaczył duchów podziemnych natury,  
 A my słuchając, zda się, coraz dalej  
 Szliśmy z poetą w łono złotej fali.

IX.

Przy kościółku  
 Mój aniołku,  
 Koronka,

(1) Zaleski; (2) Goszczyński. (p. *Wyd.*).

Zonka,  
 Pieczonka;

Przy organku,  
 Mój Bohdanku,  
 Szumka  
 I dumka;

Przy klasztorze,  
 Mój kąciorze,  
 Świętość,  
 Wziętość,  
 Nadętość;

Przy krzyżyku  
 Na stoliku  
 Fakta:  
 Dwa akta...

X.

Baranki moje,  
 Zawitał (1) czas:  
 Nad piękne źródło  
 Powiodę was;  
 Puszcze was, owieczki,  
 Na piękne kwiateczki  
 I będę pastą.

Baranki z ducha,  
 Ja pasterz wasz;  
 Pan Bóg mnie słucha,  
 Ozłocił twarz:  
 Bogiem promienny (2)  
 Odprawiam bezsensny  
 Anielską straż.

(1) *War.*: Zaświtał. (*Warta*).

(2) *War.*: Patrzę w miesiąc promienny,  
 I odprawiam bezsensny i t. d. (*Warta*).

XI

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza  
 W ogromny dzwon,  
 Dla słowiańskiego oto papieża  
 Otworzył tron.  
 Ten przed mieczami tak nie uciecze  
 Jako ten Włoch,  
 On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze;  
 Świat mu — to proch!

Twarz jego słowem rozpromieniona,  
 Lampa dla sług,  
 Za nim rosnące pójdą plemiona  
 W światło, gdzie Bóg.  
 Na jego pacierz i rozkazanie  
 Nietylko lud —  
 Jeśli rozkaże, to słońce stanie,  
 Bo moc — to cud!  
 On się już zbliża — rozdawca nowy  
 Globowych sił:  
 Cofnie się w żyłach pod jego słowy  
 Krew naszych żył;  
 W sercach się zacznie światłości bożej  
 Strumienny ruch,  
 Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy.  
 Bo moc — to duch.

A trzeba mocy, byśmy ten pański  
 Dźwignęli świat:  
 Więc oto idzie papież słowiański,  
 Ludowy brat; —  
 Oto już leje balsamy świata  
 Do naszych łon,  
 A chór aniołów kwiatem umiata  
 Dla niego tron.

On rozda miłość, jak dziś mocarzo  
 Rozdają broń,  
 Sakramentalną moc on pokaże,  
 Świat wzięwszy w dłoń;

Gołab mu słowa w hymnie wyleci,  
 Poniesie wieść,  
 Nowinę słodką, że duch już świeci  
 I ma swą cześć;  
 Niebo się nad nim pięknie otworzy  
 Z obojga stron,  
 Bo on na świecie stanął i tworzy  
 I świat i tron.

On przez narody uczyni bratnie,  
 Wydawszy głos,  
 Ze duchy pójdą w cele ostatnie  
 Przez ofiar stos;  
 Moc mu pomoże sakramentalna  
 Narodów stu,  
 Moc ta przez duchy będzie widzialna  
 Przed trumną tu.  
 Takiego ducha wkrótce ujrzecie.  
 Cień, potem twarz:  
 Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość,  
 Robactwo, gad,  
 Zdrowie przyniesie, rozpali miłość  
 I zbawi świat;  
 Wnętrze kościołów on powymiała,  
 Oczyści sień,  
 Boga pokaże w twórczości świata,  
 Jasno, jak dzień.

XII

Niedawno jeszcze — kiedym spoczywał uśpiony,  
 A sen mój się zarzęsnął strzałem pełnym dymu,  
 I w dymie stanął anioł jak ogień czerwony  
 I szepnął mi do ucha: „Ja mord — lecę z Rzymu“.

Jam uciekał i tęczę tak za sobą snował  
 Jak Iryś... a po tęczęch gnał mnie ów przeklęty,  
 Tak żem spytać go musiał: „A któż tam mordował?“  
 A on mi znowu szepnął w ucho: . . . . .



I znowu uciekałem — i kwiatów kielichy  
I róże z ducha mego ciskałem za siebie  
Broniąc się — a on za mną jak kurz i wiatr cichy  
Gnał i szeptał: „Spełnione tu... osądzą w niebie!”

### XIII.

Na drzewie zawisł wąż,  
I rzekł szatan do Ewy:  
Patrz, pod ciemnymi drzewy  
We śnie leży twój mąż.

Jemu mówił Jehowa  
Tajemnicę stworzenia  
Ze światła i z promienia,  
Z miłości i ze słowa.

Ja ci dam tajemnicę  
Duchów, Jehowy sług,  
Ze duch w Trójcy — to Bóg  
Słowo — trzy błyskawice.

Zwycięż na ziemi zgon,  
Rozwesel cały Eden;  
Ja w was dwóch będę jeden,  
A we mnie ty i on.

Zdołaj duchy spłomienić,  
Spokojny ciału dom  
Chwilę zamienić w grom,  
Trójęc w jedność zamienić!

Sama ogniami stleję,  
A gdy się mąż zamroczy,  
Patrz mu ogniście w oczy,  
Usta z ustami zlej!

Szeptać do ucha wciąż,  
Czyń bez żalu i skruchy;

Ty i on — to dwa duchy,  
A z wami trzeci ja, wąż.

Jeśli masz ognia mało,  
To ściągnij oto dłoni  
Po owoc tej jabłoni,  
Jej duchem podkarm ciało.

Ty będziesz świata panią!...  
Lecz już z jabłkiem od drzewa  
Biegła w płomieniach Ewa,  
A szatan poszedł za nią.

Oto z ziemią się stało,  
Co z gwiazdy trapiionymi:  
Promiennosc poszła z ziemi,  
A duch węża wziął ciało.

### XIV.

#### CORKA CERERY.

Przez miedzę, która podobna do szlaków  
Różnych kolorów, między złotym kłosem  
Tyś szła, owieczka, białością i losem  
Podobna owcy wśród kłosów i maków.

Wtem Pluton ogniem wylatuje z krzaków,  
Porwał cię w ręce i unosił do piekła,  
Córko Cerery — a tyś nic nie rzekła;  
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła  
Porwie i znowu cudownie przemieni  
W córkę świecąca kłosów i promieni,  
Kiedyś ty piekła jak miesiąc świeciła  
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,  
Tyś nie umarła — lecz jadła i żyła.



X.

Karty się dają wszystkie wytłómaczyć tuzem,  
 Niemcy Niemcem — Francya ptaszkiem i Francuzem;  
 Polak jej nie rozumie, choć żyje od wieka,  
 Bo musi wprzód rozwiązać zadanie człowieka.

XVL (1)

Możnemu, który dzisiaj dom upięknia sobie,  
 Powiedz, że gdzieś jutro zbudzi się na globie,  
 A wnet złoto rozleje po świecie jak wodę,  
 Chcąc, aby w każdym domu jutro miał wygodę.

XVII (1).

. . . Patrz nad grota  
 Uwieńczona wstążką złotą  
 W którą polnych róż natknęto  
 Wydaje się jakaś święta,  
 Jakaś cudną mgieł dziewica,  
 Duchem stepów.... czarownica,  
 Stepy te koronująca.  
 — Niech ją wiatry stepów trąca  
 A jak tęcza.... wnet uleci;  
 — Niech noc spadnie — a zaświeci  
 Jako księżyc..... taka biała,  
 Albo ogniem spłonie cała,  
 Taka w oczach, patrz, ognista,  
 Albo w źródło się zamieni  
 Kryształowe.... taka czysta.  
 Lub jak gwiazda w sto promieni  
 Rozleci się duch niewinny,

A z promieni każdy inny  
 I w jasności i w kolorze....  
 Pod nią stepy.... stepy.... morze,  
 Co falami w słońce idą.  
 Ona traw oceanidą  
 Bez łabędzi wodnych płynie,  
 Taki wietrzny w tej dziewczynie  
 Duch, i taka czarów siła....

. . . . .

(1) Z autografu drukowanego w „Warcie“ roku 1880.  
 str. 2495.

PODROŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Z NEAPOLU.

Poemat niedokończony.

(1836).

Zebrawszy to, co z tego poematu było drukowane i to, co znajduje się w rękopiśmie przez Dr. A. Małeckiego opisanym, podajemy wszystko w porządku wskazanym przez załączony poniżej *itinéraire* podróży Słowackiego. — Dodana tam nota objaśnia, dla czego w napisach zmieniamy liczenie pieśni. — Znajdzie tu więc czytelnik pieśń I, (drugiej niema) III, IV, V, VI, VII-a, następnie początek VIII, niedokończonej, a z której powstał wiersz „*Do Teofila Januszeńskiego*,” podany przez nas na str. 266 t. III-go; tu bowiem przerywałby tok poematu nie tylko cofnięciem się w przeszłość, ale i odmienną formą. Następnie w porządku czasu idzie *Grób Agamemnona*, koniec pieśni VIII i pieśń IX, na której poemat się urywa. Tuż po niej dołączamy *Wschód słońca nad Salaminą*, acz nie należący do poematu i inną formą skreślony, ale zbliżonej treści.

## PIEŚŃ PIERWSZA

### Wyjazd z Neapolu.

1.

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,  
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko.  
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,  
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką  
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,  
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto

2.

Tymczasem pierwsze opowiedzieć musi,  
Skąd się wybrałem, po co i dlaczego?  
Chrystusa dyabeł kusił, i mnie kusi;  
Na wieży świata postawił smutnego  
Życia nicością, i pokazał wszędzie  
Pustynie, mówiąc: „tam ci lepiej będzie.”

3.

A jednak, gdyby mniej pamięci bolu,  
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku:  
Toby mi dobrze było w Neapolu,  
Gdzie przed oknami na prawym przyłądku  
Widziałem szare więzienie stolicy,  
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.



4.

Błękitne morze pomiędzy więzieniem  
 A między górą popiołów i lawy  
 Czekają ciche, aż góra płomieniem,  
 A konstytucją buchnie wulkan prawy.  
 Tak było niegdyś, nim się na Francuzów  
 Król i Fra-dyabeł ruszyli z Abruzów.

5.

To jest za króla ruszał się kardynał,  
 Za kardynałem Fra-dyabelska banda,  
 Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał  
 W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;  
 Gdy zaś wyrabiał do Kyrie Elejson  
 Litanią świętych, wyręczył go Nelson.

6.

Mówiłbym dalej, ale *Pan Podstoli*,  
*Dziady*, a zwłaszcza tych *Dziadłów* część czwarta,  
 Uczą porządku w opowiadań roli,  
 Rysując proste ścieżki. Więc do czarta  
 Mego pegaza wyskoki, i liczne  
 Opowiadania semi-historyczne!

7.

Więc do porządku! A jednak mię boli  
 Dawać odsyłacz do pana Coletty,  
 Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli  
 Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,  
 Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku  
 Apolinowym. Lecz powiem w przypisku (1).

(1) Przypisku tego w rękopiśmie niema. (P. W).

8.

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści  
 Z podróży wątkiem zlewa się przypisek,  
 To go pod strofą poprzednią umieści,  
 Zmazawszy parę skrzyżowanych kręsek,  
 I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem  
 Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

9.

Przypisek winien być pisany proza,  
 Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.  
 Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,  
 Ze sobie konno usiadłem na pierwszym.  
 A za mną drugi jedzie krok za krokiem  
 Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

10.

Wiercie mi jednak, że lepsza od rymu  
 (Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)  
 Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu;  
 Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.  
 Carozze jego i cabrioletti  
 Zalecam wszystkim — zowie się Paretti.

11.

Zalecam nowy hotelik Vittoria,  
 Który staremu nie ujawszy sławy,  
 Tak się podzielił famą, jak cykorya  
 Wmieszana zgrabnie do mokańskiej kawy.  
 I marmurami, wygodą i lukssem  
 Ze starym idzie, jak Kastor z Polluxem.

12.

Zalecam także (zostanę Astolfem,  
 Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),  
 Zalecam tobie mieszkanie nad golfem



Na świętej Lucy; (1) a jeśliś bogatym,  
Jeśli ci kura złote nosi jaja,  
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

13.

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,  
Ze pohamować nie umieję weny,  
Z wieszczą zostaną prozaicznym gidem;  
Ja, com zamierzał wypłakiwać trezy  
Nad Caracciolim i kłać Ferdynanda,  
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

14.

Bo też kto dzisiaj jest na stałym lądzie  
A jutro myśli wędrować po morzu,  
A pozajutro jeździć na wielbłądzie,  
Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu:  
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,  
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

.....

16.

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze  
Na Niderlandach kończy się zamknięte...  
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże  
Po święte myśli i szkaplerze święte.  
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,  
Ze będę nieco zabawny — lecz skromny.

17.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir  
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,  
Położę jaki suspir albo expir;

-----  
(1) Poeta mieszkał istotnie z Januszewskimi przy Via S-ta Lucia da Mare, N. 28 (obacz *Listy* z 20 września 1836 r.).

Z muzyki — znaku milczenia pożyczę  
I muzę moją w rymowym balecie  
Na zakręconym wstrzymam piurecie.

18.

O Neapolu! ty nie pożegnany  
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.  
Jak biała Wenus, urodzona z piany,  
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie  
Skrawymi słońca zachodniego łuny,  
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

19.

O Neapolu, gdzie jest twoja dusza?  
— Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! —  
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,  
A ty na niebie i na fal błękiecie  
Tak roztopiony w zorzy malowidła,  
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

20.

O Neapolu! wieczorne wyziewy  
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.  
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy  
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą;  
A twój domami okryty pagórek  
Ma białość lekkich na błękiecie chmurek.

21.

Tylko po Chiaj i po Margelinie  
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki:  
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,  
Wszystko się rusza. Grób wieszczą wysoki  
Właśnie tam stoi, *dove fa il torso*  
Ulica; — z grobu uatrzałem na Corso.

21. (1)

A choć przejeżdżał w prześwietnej osobie  
 Królewic mały, choć mu się rój kłaniał,  
 Jam się nie skłonił; bom siedział na grobie.  
 Masztalerz jechał i kijem rozganiał  
 Mrówki idące w przeznaczenia droge  
 Z królewicami..... gdzie? zgadnąć nie mogę.

22.

Choć bardzo lubię filozofię Kanta,  
 Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,  
 Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:  
 Właśnie je czytam podług nowych kluczy,  
 Które przyczyną może będą schizmu  
 Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu

23.

I w poemacie używał języka  
 Sekretnych związków. A gdy tajemniczo  
 Kładł majuskule, to podług krytyka  
 Na końcu rymu położone B. I. C. E.  
 Wcale znaczyło co innego w pieśni  
 Niż Beatricze. Wam się o tem nie śni!...

24.

A ja dowodzę, że Dant o kochance  
 Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie (2)  
 Albo Konwencyi — i nie topił w szklance  
 Cesarza Niemców, i w piekła retorcie  
 Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,  
 Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie.

(1) Poeta *pieśń* I ponumerował i przy tej zwrotce pomylił się wszakże, położywszy dwa razy 21. Stąd pochodzi, że ostatnia strofa tej pieśni, mającej istotnie 50 strof, oznaczona jest liczbą 49. (P. W.).

(2) *Vorort* Dyrektorjat federalny w Szwajcaryi. (P. W.).

25.

Z grobowca wieszczka widzę, jak nad głową  
 Wulkanu księżyc wysunął się biały,  
 A u stóp góry Castello dell'Ovo,  
 Zamek podobny do sterczącej skały,  
 Gmach, co się trzyma przez królewską wolę  
 W morzu, jak jaje Kolumba na stole —

26.

Zczerniał przy fali migającej złocie; —  
 A gdy na niebie szafirowem ze dna  
 Gwiazd zapalonych wychodziły (1) krocic:  
 I z okien zamku błysła gwiazda jedna  
 Czerwona, rubin zamglonych błękitów,  
 Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.

27.

O gladyatory, wydarci ludowi  
 W godzinie zgonu i mrący na słomie!  
 Idę powiedzieć o was Chrystusowi  
 Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;  
 Idę zapytać głośno w Oliwecie,  
 Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

28.

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie.  
 Z oliwy bladej gałązki rwać będę;  
 A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,  
 Liśćkami płaczu posypię tę grzędę,  
 Pod którą będzie cichy sen grobowy —  
 Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

.....

(1) W oryginale. wychodziła. (P. W.).



30.

Zegnam i ciebie, o garsteczko prochów  
 Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;  
 Turkot powozów z Pauzylipu lochów  
 Woła pod tobą hymnem romantycznym,  
 Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,  
 Ze ta bryk droga jest wieku Enejdą...

31.

Most pod Tamizą jest kupców Iliadą —  
 I wiele będzie do sprzeczeki powodów,  
 Czy jeden Rotszyld, jak wieszcz nad Helladą,  
 Czy też brzęczących kompania Rapsodów  
 Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby  
 Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

32.

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,  
 Jeśli okłamię Pauzylipu grotę!  
 W ciemny korytarz spadają latarnie —  
 Jedna za drugą, jak gwiazdeczki złote;  
 A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,  
 Światło dnia wpada, jak z dziurki od klucza

33.

I jeszcze wyżej wzniosłszy się na dachu,  
 Powie ci muza w opisaniach szczytna,  
 Że na uwitym z latarni łańcuchu  
 Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,  
 A w tej gwiazdeczki lazurówem łonie  
 Rodzą się ludzie, powozy i konie.

34.

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach  
 Ida, większejac długim korytarzem,  
 Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,

A jesteś przyszyłych wulkanów malarzem,  
 Tu, nie lękając się dyb i powroza,  
 Zbieraj modele, jak Salvator Rosa.

35.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,  
 A golf ubrany latarni przepaską.  
 Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,  
 Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,  
 Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte.  
 Na niemyślenie, jak na *far-niente!*

36.

Dyogenesów lud rynku zasiada.  
 Czego chcesz? pyta wolność Lazarona:  
 Zejdz z mego słońca — nędzarz odpowiada.  
 Jeżeli nie ma karlinów, to skona  
 Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon  
 Dusze przepławia..... wolność? czy Lazaron?

37.

Wolność!.. Już dla niej uszyto symarę  
 Z gazet *Giovine Italia*... Lazaron  
 Będzie żył, póki ma *frutti di mare*  
 Niebo błękitne i żółty makaron,  
 I koszyk, w którym leży jak ostryga.  
 Pytasz się, co w dzień porabia? — dościga!....

38.

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,  
 Tytuły contów i w oknach franki,  
 W cieniu dopiero się ledwo zieleni...  
 Kto temu winien? — Neapolitanki!..  
 One to winne, że się lud nie budzi;  
 Bo kto z młodzieży umie robić ludzi?..

Ja wiem, że wiele winienem kochance;  
 Sama po włosku uczyła mnie czytać,  
 Improwizować (ale nie przy szklance),  
 Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,  
 Na Archipelag uciekać po laur  
 I awantury — jak *Korsarz* i *Giaur*

## 40

Ona uczyła mnie chodzić, jak scenarz  
 (Lepsze niż aktor słowo niech zostanie),  
 Wmówiła we mnie, że zamiast Ojczyzny  
 Lepszą modlitwą... księżycy-wzdychanie;  
 Dziś mię nawraca bez żadnego skutku  
 Na katolicyzm... mam religię smutku!

## 41.

I odpisałem... co? już nie pamiętam —  
 Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco  
 Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham:  
 „Jako dwie skały, kiedy je roztrąca,  
 Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziera,  
 Patrzą na siebie niebem“ et cetera.

## 42.

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,  
 Zagrała w sercu i łzy moje płyną.  
 O Ludko! (1) dziecka kochanko, bądź zdrowa!...  
 Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,  
 Co nieraz kładła koralowe grona  
 Na twoje włosy, siadiesz zamysłona;

(1) Ludwika Śniadecka, córka Jędrzeja i później żona  
 Michała Czajkowskiego, Sadyka paszy: ob. *Godzina myśli*.  
 (P. W.).

Jeżeli książkę położysz przy sobie,  
 Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —  
 Kart nie odwracaj!... bo nim spoczne w grobie,  
 Będę ci śpiewał, jak mraże łabędzie  
 Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze  
 Łez brylantowych osypią cię deszcze.

## 44.

I lzy się żywe rozbiegną po łonie  
 I strumień palce różowe otworzy,  
 Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.  
 Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy  
 Gwiazda nienakładająca, błądząca; lub z obliczem  
 Pełnem promieni boskich... albo niczem.

## 45.

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,  
 Słyszał o słońca mówione zachodach  
 Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,  
 A tak rozlane na świat, jak na wodach  
 Mórz lazuruowych rozlewał się cały  
 Krąg tonącego słońca skrawo biały;

## 46.

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno  
 Do tego życia, co mi dał, przywyknąć  
 I nie przeklinać... i drogą bezludną  
 Iść po tym świecie szalonym, i niknąć,  
 Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,  
 Myślą tą modlić się... i nie przeklinać.

## 47.

Jeśli i Boga nie zwiodła udana  
 Spokojność moja, ta Chrystusa szata,  
 Krwia poplamiona i drugi raz wdzianna



Na duszę pełną bolu... i ze świata'  
 Uciekającą na chmurach jesiennych  
 We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

48.

To mojej duszy, dobytej z popiołów,  
 Da wiele ciszy — i na jaką bladą  
 Gwiazdę do smutnych krainy aniołów  
 Przeniesie senną. Trupi prędko jada,  
 Mówi poeta ballad w Leonorze;  
 Więc na niemieckim chciałbym sięść upiorze

49.

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze  
 Nie jedną jeszcze przerwana idea.  
 Jutro kurjerem wyjeżdżam na Lecce,  
 Jutro więc zacząć śpiewać Odyssea,  
 Albo wyprawę o Jazona runach  
 Na nowej lutni i na złotych strunach.

### PIEŚŃ TRZECIA.

#### Statek parowy.

Na morze statek wyleciał parowy;  
 Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny...  
 A jako z płaskiej wieloryba głowy  
 W niebo srebrzyste tryskają fontanny,  
 Tak z pod okrętu młyńskim bita kołem  
 Wytryska piana — a dym leci czołem.

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba  
 Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty  
 W drewniano-smolnem łonie wieloryba.  
 A jako niegdyś płynął Jonasz święty,  
 W łonie okrętu bez desek i miedzi  
 Weszło, w licznem towarzystwie śledzi,

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu  
 Trawionych flader, ostryg i czefalów:  
 Tak nasz kapitan i wódz paketbotu  
 Z pasażerami jak z tłumem wasalów,  
 Otyły, wesół, dowcipny i mądry  
 Nas ma za śledzie, ostrugi i flądry.

Tu majtek rudel obraca mosiężny;  
 Dalej zantejski sędzia i sędzina,  
 A między nimi synek niedołęzny,  
 Sędziatko z twarzą zwierzęcą kretyna,  
 Może przekleństwo jakiego klienta,  
 Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze;  
 Nie wie, co znaczą łzy na matki lieu,  
 Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze;  
 A nam widniejsze góry na księżycu,  
 Morza przy górach i na morzach statki,  
 Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

Kapitan krzyknął Wirgilem: „*et tantaee,  
 Tantaene divis coelestibus ira?*“  
 Na to się podniósł graf Solomon z Zante,  
 Poeta grecki; ucho mu rozdzięra  
 Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;  
 Więc chciał poprawić — lecz żałował słówek.

Może też słabość; bo prędko rękoma  
 Wziął się za serce i na dwóch lokai  
 Głośno zawołał nazwiskami dwoma;  
 Bo skoro tylko jeden się narai,  
 Zaraz poeta na drugiego krzyeży,  
 Aby wiadano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeta! Jako między skały  
 Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczkii  
 Stracon słabością; a twój surdut biały  
 I glansowane białe rękawiczki

I twój z usługnych lokajów paszalik  
Świadcza, że jesteś *coxcomb* (1) lub migdalik.

„O! znam ja ciebie, której ręka trzyma  
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;  
O! znam ja ciebie, skrawymi oczyma  
Na świat patrzącą, jak na przyszlą własność...“  
Z takim to niegdyś do Wolności żarem  
Przemówił ów graf — i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,  
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;  
Mówią, że wierszy popalonych szkoda;  
Mówią, że przy nim wszyscy wieszczę mali.  
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,  
Czyni z nich codzień pan graf *auto da fé!*

Przy tym poecie, co był tak ognistym  
Wewnątrz, a z wierzchu drżał jak galareta.  
Siedział na środku w krześle rozłożystem  
Senator, starzec z twarzą Epikteta,  
Z uśmiechem słodkiej starości na twarzy,  
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.

Jeden sekretarz był jak kropla wody  
Podobny... Muzo, cyt! niechaj opinia  
Żadna i żadnej nie poniesie szkody.  
Taki był pokład. Dalej biała linia  
Od indywiduów oddzielała masy,  
\*To jest podróżnych, ale drugiej klasy.

Tam pod żelazną kolumną komina  
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,  
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;  
A między nimi z tłómków pagórek  
Zółtych i czarnych — a koło tej góry  
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

(1) Koguci grzebień — fanfaron, błazen, chlęstek.  
(P. W.)

Przy piersi matek rozplakane dzieci,  
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;  
Czasem iskierka czerwona wyleci  
Z czeluści statku i pomiędzy liny  
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,  
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody,  
Nad drugą klasą cięży jakaś para  
I komin sypie deszczem wracej wody.  
Proszę! za czworo nędznego talara  
Można uniknąć piekła... ale za to  
W Paryżu nazwą cię arystokratą (1).

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie  
Po morzu cichem, jasno-lazurowém.  
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie  
Tłum pasażerów, i zostawi zdrowym  
Odgłos dalekiej po salonach czkawki,  
Rozległy pokład i bezładne ławki.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije  
Okręt kręcony machinami skrzelą.  
Już zbłękitniało Korfu — już się kryje;  
Już się fortece Santa Maura białą;  
A z drugiej strony przedzielona żwirem  
Forteca Turków, w górach pod Epirem.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,  
Ani w błyszczące pióro półksiężycą,  
Cicho jak kamień; kiedy zamek Joński,  
By ustrojona do ślubu dziewica,  
Ma kwiat na głowie, tysiąc isker w oku,  
Bukiet z latarni portowej u boku.

A niech wie każda poetyczna Laura,  
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą

(1) Poeta robi tu aluzję do przesadnych sądów i wy-  
magań demokratycznego stronnictwa, zwanego na wychodź-  
twie centralizacją.  
(P. W.)



I księżycową, że ta Santa Maura  
W starożytności zwała się Leukada  
I pod błękitnym unosi obłokiem  
Skałę wstawioną biednej Safo skokiem.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu  
Safonę, bardzo podobną do greckiej (1).

.....  
Ta poszła zabrać na Warneńskim polu  
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,  
Poszła nieszczęsna na brzegi Marimora,  
Kędy osobne biuro statystyczne  
Liczyło uszy z rana do wieczora  
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,  
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,  
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“  
— „Jakie?“ rzekł gruby Emir Bej Raszyda.  
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby  
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,  
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*....

„Wróćcie mi, wróćcie!“ i znowu zamilkła,  
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.  
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,  
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;  
Śmiał się, zważając na prośby szalone —  
Orfeuszowskie, co prosił o żonę

I musiał piekłu grać, jak Paganini,  
Na jednej strunie cały płaczu kwartet.

(1) Ludwikę Sniadecką, która kochała się była w synu generał-gubernatora Korsakowa. Ten istotnie zginął w r. 1828 pod Warną, dokąd potem udała się Sniadecka i założyła szpital. — Rzecz o uszach jest tylko licentia nieco złośliwa.  
(P. W.)

Ale powróćmy do naszej bogini:  
Chciała z rozpaczny umrzeć *broken-hearted* (1),  
Więc wiodła ciągną z doktorami sprzeczkę  
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady, tykająca nieba!  
Śmieję się ehami grot tłuczonych falą  
Z lancetów, mdłości i pigulek z chleba! —  
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą —  
Sam na pokładzie, wichrem bity, błądy,  
Płynę przy skałe nieszczęsnej Leukady.

Piana pod piersi okrętu się garnie,  
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;  
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie  
Pod obłokami kirowego dymu;  
Zda się, że światła te, zamglone sadzą,  
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Te same gwiazdy i ta sama skała,  
To samo morze! Lecz gdzież na tej skałe  
Postać kochanki pogardzonej biała  
Jak drugi księżyc? gdzie? tu — o dwa cale,  
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,  
Safo śpi jakaś — sama, w kobiet sali....

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,  
Siadła na ławce, spojrzała w błękitny  
Tak mglistym okiem, że się zeszły końce  
Rzęs długich, czarnych — i wzrok był przykryty  
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną  
Twarz na pokładzie. Kiedys była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność  
Na dno okrętu; a zwierchu mówiono,  
Ze tę kobietę dreczy niewzajemność,  
Ze przed miesiącem była mniej niż żoną,

(1) W oryginale jest błąd; powinno być *broken-hearted* mający serce rozdarte.  
(P. W.)



Więcej niż..... dyabła! niech dokończy zycer....  
Ze ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!  
Bądź na pokładzie okrętu, w noc ciemną,  
Przy skoku Safo: a będziemy szerszi.  
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną  
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem  
Biegło po morzu z przekleństwami i płaczem.

Sumienie moje, niewidome światu,  
Jak Nereida wyszło z morza głębi;  
Na czole pełne liliowego kwiatu —  
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi  
Leciało między gwiazd sferami śliczne,  
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą  
Co robić? — serce własne gryźć i kąsać?  
Trzeba nareszcie zostać panteistą,  
Poznać się z duszą natury i płaszać  
Z czarownicami, co się stają widne,  
Podług strawności — piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty  
Sypią się z nieba i niebo różowe.  
Już przepływamy — i nad czołem Zanty  
Widać fortecy uzbrojoną głowę  
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różni  
Na pokład statku zmytego podróźni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;  
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.  
(Nasze-by damy mówiły koronki).  
„Bon jour!” Tak do mnie akcentem z Genewy  
Przemówił młody Zantejczyk, figura  
Przez lat dwanaście kształcona na *jura*.

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,  
Zdała od ojca, matki i ojczyzny...  
Może, czy wszyscy jeszcze żyją — nie wie;

Może nie pozna pod śniegiem siwizny  
Zmienionych twarzy. Nim został studentem,  
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem...

Te same deski, co go dzieckiem niosły,  
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.  
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:  
Toby się sęki zasklepione wiekiem  
Same otwały, przez kory szczeliny  
Niepowstrzymanych też lejąc bursztyny.

Ala ten człowiek był, jako Ilissos  
Pod Atenami, bez fal i bez wody;  
I ten sam statek, ten sam Heptanissos (1),  
Co go odnosił w rodzinne zagrody,  
Dla niego prostą był tylko machiną.  
Na której ludzie za pieniądze płyną.

Z jakiejże gliny byli ulepiani  
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,  
Padali czołem na czoło kamieni  
Całując ziemię chwastami nieczystą,  
Zimną.... co nieraz, nim usta oddarli,  
Na głazach ziemi całowanej marli!..

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą  
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!  
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzuca,  
Na kamienistej drodze życia — pluce  
Ogniem pożarte (2), widziane oczyma  
Śny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie  
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej  
Nim zmartwychwstanie twoje, o Syen.3.  
Jerozolimie, trapiiona boleśniej;  
Niż gród Chrystusa!.. A gdy i w. w. z. z. z. z. z.  
Ojczyzno, inni powrócą — spać będą!

(1) Siedm wysp. (P. Aut.). (2) Poeta przepowiedział tu sobie rodzaj śmierci. (P. W.).

## PIEŚŃ CZWARTA.

Grecya.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor  
Wyjechał z Zante na barce Trytonów;  
Na głowie swojej miał pomięty kastor,  
Surdut na plecach, parę pantalonów.  
Nie epopeję pisząc, nie idyllią,  
Powiem, że to był metr hotelu Giglio.

Stanął i zaczął trwożyć: O! nie płynicie  
Na greckie brzegi — w Patras kwarantana!  
Lepiej do mego hotelu zawińcie,  
Oberża moja podróżnikom znana!  
W Patras musicie dni dziesięć i cztery  
Przebyć kwarantan—od osp i cholery.

Chociaż poznałem, że to syn Adama,  
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,  
Zląkłem się bardziej, niż bohater Gama.  
Lecz pomysławszy rzekłem: nic nie szkodzi  
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,  
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

A ty, co trwożysz, małeńki Cyklopie,  
Zamiast nas pożreć zatrzymanych trwoga,  
A może miłych jakiej Penelopie,  
Prowadź nas w miasto, — albo lotną nogą  
Śpiesząc przed nami, na stołach bez Harpii  
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpia.

Zamiast nas pożreć, my ciebie pożremy,  
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.  
Z taką odprawą oberżysta niemy  
Odjechał. Ja zaś z czołem niepokodnym  
Jako Eneas modliłem się: „Panie,  
Nie daj mi w greckiej siedzicie kwarantanie!”

A potem wszedłszy na fortecy góry  
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,  
W szczyrych szafirów oprawna lazury,  
Niebem i morzem dokoła oblana,  
Tęta mnóstwo domków w głębi łona  
Z domkiem poety, hrabi Solomona:

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa  
Swoją kanapę i okno na morze,  
Swoją miłą stolik, gdzie pisze i zie  
Swoje gazami oskrzydłone łożę;  
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,  
Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał..

Miło powrócić i usiąść na ławach  
Przed własnym domkiem, gdy ucienna gwara,  
Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach  
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary  
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,  
Przyjdzie i u nóg pana się położy;

I myśleć wtenczas! O fale! o fale!  
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.  
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę  
I nieraz wielkim rozpaczę pokłonem  
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonię  
Błyska... modłę się... lecz nie proszę o nic,

Miło być także na morzu ozłotnym,  
Błyskawicami i białym ognikiem;  
Miło być także dumnym i samotnym,  
I niedzielone mieć uczucia z nikim  
I nad powietrza ulatując ciszą,  
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą

Chrystus nas woła: wy, którzyście smutni,  
Chodźcie na łono Ojca!.. Patrz w błękity:



Oto gwiazd siedem—wszystkie w kształcie lutni—(1)  
 Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty  
 Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,  
 Na tobie dzwoni północna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna -  
 Na wielkiem morzu falą wahanemu;  
 Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —  
 Dowiaż gwiazd dziesięć ogniowi zlotemu  
 Okiem i myślą, a z niebios wyleci  
 Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,  
 Już go nie straci i myślą nie zmaże.  
 Na strunach lutni położył kopyta;  
 W nozdrzach, jak w rumu zapalonej czarze,  
 Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,  
 Czasem, jak w nozdrzach arabskiego (2) krwawy.

Za tymi gwiazdy wychodzi Dyanna,  
 Z gwiazd najświetniejsza, a najmiłsza oku,  
 Gdy ją obleje światłem zorza ranna,  
 Kiedy w różanym topniejąc obłoku,  
 Z błękitnej razem staje się zielna  
 Jak listek, potem czerwieńjąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą poblądła,  
 Zapowiadając prędkie cieniom końce:  
 Błysnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,  
 Z którego dziecko rzucił ci słońce;  
 A gdy nad smutnym takie blaski roni,  
 Przywykasz razem do smutku i do niej.

Niebo na wschodzie okrywa purpura,  
 Potem ją skrawa zastępuje białość,  
 A róż odcięty, jako lekka chmura,  
 Płynie w błękity... O! klasyczna stałość!  
 Nieraz widziałem przez ten obłok cienki  
 Łono sypiącej różami jutrzeńki.

(2) W I wydaniu: arabczyka.

I dzisiaj — pełna jasnego brylantu,  
 Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie  
 Z błękitnej fali, z po nad gór Lepantu;  
 A za nią słońce rozlane ogromnie  
 Wyszło, jak zegar wieczystego czasu,  
 Nad błękitnymi górami Patrasu.

Takie olbrzymie twarze Nibelungi  
 W północnych pieśniach opisują. — Słońce!  
 Pierwszy twój promień padł na Missolungi,  
 Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce  
 Sto razy większym oparli się siłom,  
 Kapitulacyj nie biorąc mogułom.

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek  
 Poustawianych na dziecinnym stole,  
 Tak owo miasto. — Cóż to? biedny ptaszek  
 Leci przez morza lazuruwe pole,  
 I pada przy mnie na ławie, a potem  
 Kania z ogromnym twardych piór łoskotem

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno,  
 I długo w statku zabiłakana liny  
 Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.  
 A ja patrzałem na serce ptaszyny,  
 Jak było, jak się układały piórka  
 Do spokojności... była to przepiórka

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży  
 Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?  
 O Missolungi — Jak ta kania krąży  
 Żelaznem skrzydłem po morzu i niebie!  
 Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem...  
 — Ten biedny ptaszek jest prawie Polakiem.

.....

Lub niech cię kania zje — boś mi przerwała  
 Do Missolungi już zaczęta odę.  
 Ta sobie stoi małeńka i biała  
 Pod górą — patrząc na błękitną wodę,



Jako nad Styksem zebrane do kupy  
Białe umarłych domków kościotrupy.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem  
Zadnego drzewa; lecz na nią upada  
Z gór czatujących nad Lepantu wniściami  
Ciemność i światło — a każda z gór blada  
Mgłą błękitną, a jedna z gór mroczna,  
Jak piramida stoi sześcioboczna.

Tak równe ściany pokazuje słońcu,  
Tak równe boki ma cieniem pokryte,  
Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,  
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite  
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wstawił,  
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

Niewieńczona śniegowymi srebrzy,  
Musi być u stóp śniegiem kości biała.  
Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry.  
Ale od bomby, kuli, lub kindżała: —  
Dałbym tej górze posępnej nazwisko  
Grobu twojego — a Parnas tak blisko!

Y mnie dziś łatwiej wleźć na szczyt Parnasu,  
Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem  
Rów wykopany. Trzeba na to czasu!  
Na Parnas będą jeździć dylizansami  
Wieszczę Europy — a republikanie  
Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?

Wierzę w republik ojca jedynego  
Robespiera (to *Trybuny* wina,  
Ze został Ojcem). Credo w Mochnackiego,  
Rzeczpospolitej jedynaka syna,  
Co wielkich marzeń nie przestając snować,  
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potem zaś wstąpił do arystokracji  
I trzy dni bawił; a po tej troszeczce  
Przyszedł w obliczu przyszłej generacji

Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!  
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,  
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem  
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym  
I w zmarłychwstanie sejmu pod Herodem  
Obieranego: a gdyby mię śmiesznym  
Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,  
Ze w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

Zrobiwszy taki sumienia egzamen,  
Takie wyznanie, biedny wierszokleta,  
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen  
Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.  
Zacząłem pisać — teraz z wielką biedą  
Biję się w głowę, jak zakończyć Credo?

Wierzę, że idą ludy, jako chmura  
Pełna błyskawic na trony zachwiane,  
Wierzę, że nawet królewska purpura  
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane  
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;  
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris, (1)  
Bo właśnie teraz wracam z jego domu;  
Bo sam widziałem, jak błękitów Farys  
Od ogniowego opalony gromu  
W Patrasie grecką dowodzi flotylą,  
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

On, co żył niegdyś jako salamandra  
W ogniu brulotów — dziś spokojny mieszka

(1) Znakomity marynarz grecki i jeden z bohaterów walki o niepodległość Grecji. On to zaproponował admiralowi Miaulisowi spalić flotę turecką w porcie Chio i dokonał tego dwoma brulotami z niesłychaną śmiałością. Wiele razy czyn ten powtórzył; był później admirałem i ministrem marynarki. (P. W.).

W domku glinianym, jak domek Ewandra;  
 Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka  
 Do progów jego prowadzi — przed progiem  
 Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,  
 W ścianach obficie powietrza niż gliny;  
 Sosnowe szczelble i niebieskie szczelble,  
 To jest deszczutki z sosen i szczeliny,  
 Wiodą na piętro — wejście, pierwsza próba,  
 Już było dla mnie, jako sen Jakóba.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską  
 Niezabudkami rzeczukę — przy zdroju  
 Miejsce kładkową przeskoczono deską,  
 Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,  
 Dokoła w kalin ustrojone wianki  
 Było kąpielą gwiazd i mej kochanki.

Nie wiem, dla czego — lecz nieraz w gorąco,  
 Gdy się na upał zaczynają skarżyć  
 Swierszcze piosenką po trawach syczącą,  
 Szedłem na kładkę — czytać albo marzyć.  
 I tak czytałem niegdyś walkę Greka  
 Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,  
 (Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie)  
 Czeka, czy biała i powiewna postać  
 (Widać aleje i lipy w ogrodzie)  
 Może z pod wielkiej jarzębiny wstanie  
 I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

I czytam marząc, jako Ipsylanty  
 Zwyciężył — ginął... i dał Grecyi brata;  
 A kiedy czytam, to rosy brylanty  
 Strząsając, zefir po kwiatach przelata  
 I fale w złote pomarszczywszy prążki,  
 Przewraca karty welinowe książki...

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem

I będę czytał. Oto wódz naczelny  
 Demetrius, liczny dowodzący szykiem,  
 A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;  
 Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...  
 Skąd są? — powstałi z mogił Cheronei.. (1)

Wszyscy — prócz wodza!.. ten nie zmartwychwstanie,  
 Zabity mieczem zgubionej stolicy!  
 Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie  
 Chowane w piersiach marmurowej lwicy,  
 Która im była pomnikiem po śmierci,  
 Wyszły — i pomnik rozpadł się na ćwierci.

Piersź lwa rosnące roztrzaskały duszel  
 I dzisiaj leży na samotnem polu,  
 Jak wielkim prochem rozsądzone kusze;  
 A głowa pełna przedwiecznego bólu  
 Padła na ziemię — zda się, że spoczywa,  
 Wydana duszą smutna i straszliwa.

Długo Grek patrzył na tę lwicy głowę,  
 Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki.  
 Snycerz dał smutną marmurowi mowę;  
 Patrząc — słyszałem dwa słowa Kościuszki:  
*Finis Poloniae*, przechowane w głazie,  
 Jak iza w kamieniu — albo myśl w obrazie

O Cheroneo! o Maciejowice!  
 Cyt... coś białego wśród liści jaśnieje...  
 Ach nie! to tylko białe gołębia  
 Przez ogrodową leciały aleję...  
 Chodź znowu, książko na kwiaty rzucona,  
 Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.

Pieniędzy! krzyczą — Grek rzuca na szalę  
 Dyamentową oprawę pałasza;  
 Nie dosyć jeszcze — rzucił miecza stale,

---

(1) Ostatnia batalia Greków przeciw Aleksandrowi.  
 (P. 4).



Placi żelazem... Już Ibrahim basza,  
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,  
Lub jak wałaca się z gór piramida,

Spada na Grecyę. — Gdzie są Termopile,  
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelazł?  
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile  
Licząc, nie drżeli — i marli?... Zavellas  
W polach Klissowy z osmią set człowieka  
Zastąpił drogę dwom baszom — i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;  
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,  
Patrząc głęboko — czekam, aż ożyje: —  
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa  
Ani lejący aleja gołębek  
Nie obłąkały mych oczu, na ząbek.

Lecz wtem nadzieja odbiegła mię wszystka:  
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,  
I przywiązawszy do każdego listka  
Myśl i życzenie i życie rycerza  
I Zavellasa... o szaleństwo młode!  
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę.

I jeszcze listków zostało mi trocha:  
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,  
Więc jeszcze jeden listek — czy mnie kocha?  
Posłałem falą wędrować błękitną;  
I nie wiem, jaki los tamte pochłonał,  
Ale ostatni — pamiętam — utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą  
I zimne karty zacząłem całować,  
Wołając: Greki, niechaj ginę z chwałą!  
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,  
Jak rzucić drogę marzeń księżycową  
Z umarłym sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,  
Stępałem członki, krew czując na licu...

Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!  
W obóz turecki leci po księżycu;  
A nim się straża obudzone zwały,  
Botzaris w baszy namiot wpadł — umarły... (1)

I odezwały się w górach klasztory;  
A nie były to pogrzebowe dzwony;  
Które kupuje na śmierć człowiek chorey;  
Lecz jakieś wielkie pomieszane tony  
Płaczu, rozpacz — wyjące po skałach,  
I większej zemsty głos — zamknięty w działach.

A wielkie morze, lazuruwe morze  
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis  
Córy królewskie... ciebie teraz porze  
Między flotami tureckimi Miaulis (2):  
Z nim jest drewniana ateńska forteca  
Którą Kanaris brulotem oświeca.

Obydwa płyną uwiecznieni w laury  
Wydarte morzu — predkim idą łotom;  
A ów Kauaris zda się, jak centaury,  
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.  
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,  
Którymi niszczy — czy ma twarz aniołów?

Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,  
Cicha się łódka nastapiona nie gnije?  
Czy jego wiosło nieslyszane uchem?  
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?

(1) Botzaris, jeden z najsławniejszych przywódców powstania w Grecyi (1820 r.). Osaczony w Missolongi, które się poddać musiało, powziął myśl ocalenia miasta przez wybieżkę. W 200 ludzi napadł w nocy na obóz turecki i wielką w nim rzeź sprawił, ale padł od kuli. Do tego czynu robi tu poeta alluzję. (P. Wyd.).

(2) Wspomniany już admirał grecki. (P. W.)



Jak on wygląda, gdy błękitne morze  
Pięc jego czołu oblało w Bosforze?

Sultan go widzi, lecz zniszczyć niezdolny!  
Nie zgasi nawet płomyka w stambule  
Wodza greckiego... Oto konik polny  
Usiadł przedemną na cichej rzeczulce,  
I suszy skrzydeł przezroczystych szkiełka  
Błyszące w słońcu, by tęczy perełka.

I suchą nogą, na źdźble żółtej słomy,  
Dziecko powietrza, wędruje na łódce  
Przez zwierciadlane rzeczulki załomy,  
I port w rozechwianej znajdzie niezabudce.  
Albo popłynie dalej z nurtem wody  
Pod brzoź płaczących nachylone chłody.

A kiedy płynął i srebrzystym rysem  
Znaczył rzeczulki fale zwierciadlane,  
Myśl moja cała z wielkim Kanarisem  
Płynęła za nim w kraje malowane  
Piękną przyszłością... i widziałem życie  
Z twarzą na słońcu — z oczyma w błękicie.

O przyszłość, przyszłość! — Jam się tak do ciebie  
Uśmiechał dzieckiem: — ty z taką światłością  
Dni moje siałas, jak gwiazdy na niebie!  
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.  
Kwiat spodziewany na watej łodydze  
Życia mojego — rozwinął się... widzę —

Co? Jeszcze w myślach owa przeszła chwila,  
Jeszcze marzone dawniej Greków twarze  
Jeszcze Kanaris — na słonce motyla,  
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...  
I chciałbym cały włosem się osłonić  
Nad dawną księgą — i dawne łzy ronić;

I być zbudzonym, jak dawniej — nad rzeką,  
Gdy na aleje złote słońce spadło;  
Kiedy słyszany jakiś głos daleko

Wolał, jak echo; gdy w rzeki zwierciadło  
Patrząc — patrzałem na twój wzrok uroczy,  
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy.

## PIEŚŃ PIĄTA.

### P o d r ó ż k o n n a .

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...  
Jak wystawiony na niebieskie rosy  
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,  
Listek uwiedły, co mu spadł na włosy.  
Odrzuca z czoła: — takeś ty skaliste  
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste! (1).

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,  
Kiedy się skończy sen pełny omamień:  
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,  
Aby odwalić nasz grobowy kamień?...  
Ow marmur, pełny naszych cierpień rytych,  
Na którym modlą się dzieci — zabitych?

Patrząc na oczy pełne błyskawicy.  
Na czoło króla płomieni brązowe,  
Pytałem znanej mu już tajemnicy,  
Bo sam odwalał kamienie grobowe  
Z grobu uspiionej głęboko ojezyny;  
Musi znać leki — bo zna wszystkie blizny.

Pytałem Greka — ale w nim już nie ta  
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!  
Moje pytanie było, jak Hamleta  
Metafizyczne słowo — czy śni dusza?  
Kładzione zawsze na grobach od wieka,  
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

(1) Oda Manzonięgo na Zmartwychwstanie Jezusa  
Chrystusa. (P. Aut.)

Chciałem mu nadać wielkość Waszingtona,  
 Mojem pytaniem na zbawcę pasować;  
 Bo też mu złotych brakło miliona,  
 A mógłby spalić Stambuł, zamordować (1)  
 Tyle wezyrow, tyle krwi wytoczyć,  
 Ze Sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

I czem podpisać na wolność firmy  
 I Kanarisa odesłać z krainą  
 Temistoklesa, przez drewniane ściany  
 Zdobyta. Dzisiaj Rigny — Navarino (2)  
 Kanarisowi wykradły jak Paris  
 Helenę sławy. — Czy cierpi Kanaris?

Nie wiem... Czy orzeł kiedy myśli o tem,  
 Ze kiedy w zimie słońce zda się nisko,  
 Mógł o południu natężonym lotem  
 Dolecieć — patrząc oczyma w ognisko  
 Niebieskich krain? — myśl głupia dla ludzi,  
 Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata  
 Mogła się przyśnić orłowi na skale,  
 Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...  
 Dosyć! — cygare hawańskie zapalę  
 Tymi strofami, które nie są odą  
 I do niczego mądrego nie wiada

I właśnie takie ciężkie i nietrafne  
 Z ust wychodziły moich parabole.  
 Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne  
 W laur przemienione kładły się na czoło  
 Zapomnianego przez ludzi Greczyna;  
 Lecz że świat taki — to nie moja wina.

(1) Był pod Stambułem i Aleksandryą. (P. Auf.)

(2) Rigny dowodził eskadrą francuską w bitwie pod Nawarynem d. 20 paźd. 1827, w której połączone floty Anglii, Rosji i Francji zniszczyły flotę turecko-egipską i tym sposobem przyczyniły się do zupełnego oswobodzenia Grecji.

(P. W.)

Możebym także chciat, (to wszystko mary),  
 By jaki człowiek, spotkawszy w ulicy  
 Moją figure... włożył okulary...  
 Po dyabła nosić sławę w tajemnicy?  
 Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:  
 Patrziel ten człowiek dziś powrócił z piątkła

Ja bardzo lubię sławę popularną,  
 Lękam się bardzo wymuskaney sławy;  
 Dla tego każe na bibulę czarną  
 Bić nowe dzieło — gołe, bez oprawy;  
 I wyjdzie na świat książeczka pokorna,  
 Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna (1).

O moja grupia Muzo, zapominasz  
 Uszanowania winnego księgarzom!  
 Ja nie znam Korna — mówią, że luminarz...  
 A zaś skład jego podobny cmentarzom,  
 Gdzie sobie cicho autorowie leżą,  
 Co lato ziemią przysypani świeża.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,  
 Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu  
 Jaki kalendarz albo elementarz;  
 A kogo kocha — tego na świat targu  
 Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,  
 Wieńcząc go świeżą laurową erratą.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,  
 Dokończ tej strofy!... dalibóg zaczęta  
 I pindarycznie żywo i wytwornie  
 Lecz moje pióro nigdy nie pamięta  
 O drugim wierszu... wbrew dawnej przestrodze:  
 Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,  
 A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie;

(1) Głośny swego czasu księgarz i wydawca wrocławski. (P. W.)



A będą mocne — i łańcuch się długi  
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;  
Na takim niańki uwiązani pasie  
Chodzą dawniejsi wieszce po Parnasie.

Lecz ja... Dobranoc!... Jutro zorza złota  
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,  
Tam, gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,  
Utracił rękę — mój obraz w Lepancie  
Będzie odbijał się tak lazurowie,  
Jak cień Quichota w Cerwantesa głowie.

Naprzód malować trzeba kawalkadę,  
Która się brzegiem Lepantu pomyka.  
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę...  
Lecz wam opiszę pierwej przewodnika,  
Który albańsko rozwiawszy wyloty,  
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty

Na kapeluszu stómiąnym miał myce  
Do roziskrzonych podobną płomyków;  
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;  
Gadał mozajką dziesięciu języków;  
Śmiał się jak dziecko — a dzieckiem był prawie;  
Śpiewał — jak polny konik śpiewa w trawie.

Twarz jego młoda, gdzieś widziałeś we śnie,  
Może na jakim widziałeś rysunku,  
Gdzie młody Greczyn, wysłany zawczasie  
Z ojcowskiej chaty w wojennym rynsztunku,  
Patrzy na Turków oczyma tygrysa...  
Na litografii zgonu Botzarisa.

Są twarze w ludach powszechnie, *c'est tout clair* —  
Tłumaczyć przyczyn byłoby to wstydem;  
Wreszcie opisze go wam książę Pückler —  
Muskau — co z naszym podróżował guidem  
I pokazywał swą karykaturę  
Grekom, wylazłszy na Parnasu górę;

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;

Który chciał ogród założyć niemieck.  
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta;  
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,  
By się hojdając, z krainy Likurga  
Mogli przenosić myślą — do Strasburga;

Który — to zawsze mówię o tym księciu —  
Niechaj pamięta autor o autorze —  
Który zasnąwszy wieczór w przedświźnięciu,  
Zbudzony — spytał się: w jakim kolorze?  
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym  
W Sparcie ogrodzio — powiedział: w zielonym...

Który się na to obraził... i chwilę  
Zastanowiwszy się — po kilku chwilkach  
Tak zadrzał gniewem, że wszystkie motyle  
Na kapeluszu siedzące na szpilkach  
Zaczęły spadać i kłóć w nos Ottona (1).  
O zemsto... mówią, żeś słodka — ty słoń!

Zwłaszcza, gdy ciebie Pückler w sól attycką  
Całą osypie... i da na zabawkę  
Figurę wroga — pod Momusa mycką;  
Osolonego solą — jak pijawkę —  
Tak się zapewne kręcić i wieć będzie  
W ździele... pan Otton... na króla urzędzie.

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;  
Ziemia gruzami pozostanie skalna...  
Sparta zostanie na światowej karcie  
Sparta... historia straci naturalna  
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,  
Lub na rodzaju spartańskich kartofli.

Adieu, Pücklorze, bo mi nie do uszu  
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;  
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,  
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,

(1) Owcześniey krom greckł. (P. W.)



W górach jak tarcza okrągła Pelida,  
Nad ruinami bogów... jak egida...

Badź zdrowi! — a jednak miałbym prośbę małą  
Do waszej Mości książęco-autorskiej,  
Ażebys także moje grzeszne ciało  
Na koniu skreślił — na szkapie cecorskiej...  
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury  
W trzy dni po zgonie straszyc grzeszne ciury...

Trudno znać siebie, powiada przysłowie;  
A ja powiadam: trudniej widzieć siebie  
Przez to szkła biedne, które w naszej głowie  
Oprawił Stwórca — kryjąc się na niebie,  
Tak, że choć błękit przenikniecie do dna,  
Skryta wam jedna rzecz... widzenia godna...

A druga także rzecz bardzo ciekawa  
Dla nas — my sami... także nam ukryta;  
Szczęściem, że wierne zwierciadło — i sława  
Często niewierna — wszak wiccio, kobieta —  
Dopomagają nam szkłem i umysłem  
Patrzcie na siebie... i są szóstym zmysłem.

Dlatego bardzo i gorąco żadam  
Widzieć się kiedy w gazet artykule  
Takim, jak jestem — albo jak wyglądam...  
Tymczasem muszę całą ziemską kulię  
Przebiegać sobie samemu niezuanym  
Z twarzy i z głowy... niewymalowany.

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli  
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi  
Siebie samego w najciekawszej chwili  
Na każdej ścianie. — A niech nikt nie szydzi  
Z tej strofy, bo ją skończy myśl Sołona:  
Nie mów, że człowiek szczęśliwy — aż skona.“

Zaprawdę ja wam powiadam, co rzekły  
Przedemną usta filozofów wielu,

Że... Lecz nadzwyczaj staję się rozwlekły;  
Więc nie nio powiem — i prosto do celu  
Nie zatrzymany strofą ni morałem  
Na moim koniu biednym pędzę cwałem.

Hopl hop!... jak upiór... obracam tak nogi,  
Ze kwadratowe tureckie strzemiona  
Kołą w bok konia jakoby ostrogi;  
A moja szkapa z wiatrami puszczona  
Pędzi, jak gdyby czuła żłób konieczyn;  
Lecz wtem zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzyszy mój (a tu mi skłonno  
Aż do łez, pomnac na konia strukturę),  
Był jako człowiek, który idzie konno;  
A kiedy biedne zwierzę szło pod górę,  
I chociaż mogło iść o własnej mocy,  
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

I tak się razem nieśli. O widoku  
Rozczulający! lecz nie pojmie profan.  
A jako niegdyś w błękitnym obłoku  
Sokrata skreślił błazen Arystofan  
Latającego po niebieskim sklepie  
Na żółwia nogach, w szyldkretu czerepie:

Tak ja po grockich w gimnazyum naukach  
Mógłbym podobną ubawić was sceną,  
Wymalowawszy na głębokich jukach  
Ukochanego filozofa Zeno....  
Który w tej chwili przez niemożność skoku  
Był pierwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku (1).

Druga z tych przyczyn była także cnotą  
Filantropieczną; właściciele koni  
Za kochanymi końmi szli piechotą;  
Jeden, jak Turek, miał turban na skroni,

(1) Mowa jest o Zenonie Brzozowskim, który w tej  
podróżu towarzyszył Słowackiemu. (P. W.)

Drugi, jak ojciec podobny do syna,  
Belwederskiego miał twarz Apolina.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana  
Wietrzność mojego była wiatronoga:  
Oto że nagle ja i karawana  
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga  
Przeszkoda — wprawdzie dla Mojżesza mała:  
Z tej strony morzem, a z tej strony skałą —

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,  
Rzucam się w morze... czy w euda wierzyć?  
Z fali stracona ręka Cerwantesa  
Jak cień wielkiego nosa na suficie  
Wysła, figowe pokazując godła  
Światu — a mnie zaś przez fale przewodła.

I opryskani falą o brzeg bitą,  
Na popas w małym stanęliśmy khanie;  
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą  
Lini spoczęli przy chrześcianej ścianie,  
A ja, nie spity napojami maku,  
Znalazłem grotę — w rododendrów krzaku.

Na samej wstążce srebrzystego żwiru,  
Co się nad morzem pod krzakami winał,  
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,  
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginał  
I myśl smutniejsza przyszła mię kołysać  
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro  
Przyszło mię dręczyć — lub łza emigranta?  
Nie! — Ach, myślałem, że już madreporą  
Stało się ramię biednego Cerwanta  
Ramię nieszczęsno, które zaczęła  
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

i urodzony w Cerwantesa głowie  
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy,  
Ramię, co było w romansu połowie

Potem doznało takiej wielkiej przerwy,  
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,  
Potem milczenie... nie nie słychać więcej.

Dziwnie utracić jaki ciała członek  
I myśleć potem, że już leży trupem,  
Ze już w nim żadna z kosteczek ni z błonek  
Nie myśli o nas... i stała się łupem  
Robaków — a zaś dusza pełna smoru  
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką  
Własnej mogiły i czyścą męczarnie  
Od niej odwracać... bo jeszcze jest sprzeczką,  
Czy dusza za nas płaci solidarnie;  
Czy członek, co się na ciała pogrzebie  
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie.

A tu-bym bardzo mądrze i głęboko  
Dowiodł: że kiedy nasz Zbawiciel kazał  
Wylamać rękę lub wylupić oko...  
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,  
Bo jej dokończyć, jak chcecie, nie mogę,  
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę.

## PIEŚŃ SZÓSTA.

Nocleg w Vostizy.

Dalej, mój koniu, powoli — dość czasu  
Krajograficznie strofami wyłożę,  
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu,  
Po prawej stronie góry — z lewej morze.  
Za morzem znowu i skały i góry,  
Nad nimi niebo błękitne bez chmury.

Nie ma tu ziemia czego złożyć w stercy  
Koł dzwoni w głazy — depece chwast — dziewanny;  
Czasem po drodze w rozłożystym mircio



Widać rudery tureckiej fontanny,  
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,  
Na które patrząc, nawet Grecy smętni

Taka głęboka przy fontannach cisza,  
Tak ciemno mirty i tak liściem szumią.  
Nad fontannami, jak pacierz derwisza.  
Cały ten smutek błękitami tłumią  
Wody Lepantu i z czystego nieba  
Patrzące czoło (jestem w Grecyi) Feba.

Ani po drogach bawiącej się dziatwy,  
Ani człowieka w polu, ni na drodze;  
Czasem szumiącym lotem kuropatwy  
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,  
I padną blisko — i znów cisza wielka...  
Jaskółek żadna nie wyśle ci belka.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione —  
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym  
Krajem przeszłości leży zamyśłone  
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym  
Tylko samemu Bogu, co w niem duma.  
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiero wyrzyna;  
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą  
Jedwabnym kołcem... Jeżeli masz syna,  
A twego kraju ludzie nie zamęczą;  
Może zobaczy Grecyę pełną krasą,  
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy  
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych:  
My się przez wielkie pustynie wołamy  
W ciszy bezludnej; my przy źródłach suchych  
Szukamy wody spalenia zarzewiem.  
Gdzie będą szukać naszych mogił? — nie wiem

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary  
Przybywających wreszcie do Vostizy.

Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary  
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,  
Siedział spokojny. O tejto godzinie  
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

Lubiłem lipę, co nad sławny Janem  
Cień rozstrzelony zbierała pod siebie  
I co rok miodu obdarzała dżbanem  
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,  
Co była drugim poety mieszkaniem,  
Głośna słowików — szpaków narzekaniem;

Pod którą nieraz błyszczał dżban na stole;  
Co tak wysoko niosła czoła wianki,  
Jakby ze dworu wyglądała w pole  
Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki;  
Co nad szmerami słodkich ust dziewicy  
Szumiała cicho, pełna tajemnicy.

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,  
Ma pełno smutku niewymówionego.  
Stanąłem patrząc na ów dąb turecki:  
Smucił mię także — lecz nie wiem dlaczego;  
Bezużyteczny liśćmi i chłodem,  
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.

Pień jego w sobie ma siły potęgę  
I wielki smutek starości... i żalność,  
Nad tymi, co go znali... stone-henge  
Zanieśie myśli w olbrzymią zuchwałość  
Tytanów dawnych... W tej świątyni progę  
Myślisz o czteku, co ją siał... i Bogu

O mój turecki dębie, dębie stary!  
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem:  
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,  
Tu wszyscy ludzie bić ugiętem czołem.  
Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,  
Z liściem rozwianem, jak skrzydło anioła.

Szczęśliwi ludzie, którzych anioł dzierży



W swojej opiece! szczęśliwe te kraje,  
Co mają drzewa — na miejscu oberży —  
Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje:  
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...  
Nagle krzyknąłem — do kroćset tysięcy

Milionów!... tu mi kochany Eurypid  
Słowo Eumenid dał do wykrzyknika:  
A mój towarzysz rzekł: *mais c'est insipide*  
Spać tu... w tej klatce... co ma kształt kurnika:  
Comment, Giuliano? — tak się zwał nasz sługa  
W Vostizv musi być oberża druga!

*Non c'è*, rzekł sługa. Więc spać tu—na ziemi?  
Wszak to nie ściany, lecz z łuczywa krata,  
Pajęczynami wybita czarnymi —  
A ja dodałem: jak horyzont świata  
Zawarty zewsząd, bez okien, któredy  
Dusza-by mogła wyjść za zmysłów błędy...

I zakończyłem słowami: daj świecy!  
— Świecy? rzekł kompan—wszak tu wiatr zagasił  
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!  
Rzekłem: Giuliano, hej! *tho se mu krassi...* (1)  
Gorzkie jak piotun — niech Bóg będzie z nami!  
Jest co jeść? nie ma? więc *tho se mu psami!*

To się po grecku znaczy: daj mi chleba!  
Przyniósł... postawił... i znowu zapytał  
Bardzo układnie: czego panom trzeba?  
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał.  
Zdjęty przecuciem nieszczęśliwych wrożeń,  
Nie spodziewając się, wolałem — łózek!

I światła! Tu jak na biegunie  
Północnym ciemno — i wiatr wszędy świszcze;  
Pusto jak w zgniłym orzechu świstunie...  
Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę

(1) Wino w całej Grecji zaprawiają żywica. (P. Aut.).

Na hebanowym moim flażolecie  
Tę noc — przepędzę ją najlepiej w świetle.

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;  
Lecz ledwie zaczął, dmuchnąwszy w otwory,  
Przegrywać: jakiś głos: *I beg you pardon* (1)  
*But I don't like the music, I am sorry*  
Z prawej się strony wydobył przez kratki —  
Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

I była Babel okropna języków,  
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka  
Zesłała parę płonących knocików,  
I dwa, napięte jak struny, krosienka;  
To były łózka... jeśli kto nie wierzy,  
Tłómacze jaśniej — to, na czym się leży.

Ach! leży tylko! — bo wszystkie zefiry  
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pisał;  
A dar krosienek, jako Dejaniry  
Koszula — gdzie się go dotkniesz, tam kasał.  
Ach, jam się dotknął — i ogień mię złapał  
I byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się  
Samemu sobie bardzo poetycznym:  
Na skały igie — na ruin terasie  
W usposobieniu umysłu Vehmiczném, (2)  
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada  
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy patrzy w słońce, o zachodzie krwawsze,  
Kiedy się żegna z kim, i przy miesiącu  
Mówi z westchnieniem głębokim: na zawsze!  
Gdy przy dognanym zeskoceży zającu,

(1) Bardzo przepraszam, lecz nie lubię muzyki, bardzo mi przykro. (P. W.).

(2) Sądy Vehmiczne, tajemne w Niemczech. Usądzony na śmierć był ostrzegany o wyroku trzykrotnym wykrzykiem: biada. (P. W.).

Dobędzie noża i obcina skoki —  
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,  
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor:  
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki  
Obsiądą — gdy kraj obroni, jak Hektor,  
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów —  
Gdy wygra partycę bilardu lub szachów;

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz:  
I na kochanki usiadzie mogile;  
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz  
Paryż? — Są różne poetyczne chwile:  
Kiedy naprzykład w towarzystwie znanem  
Siądziesz pośrodku... na cenzurowanem —

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,  
To jest, że możesz zgasić oświecenie;  
Albo gdy jesteś dział asekurantem  
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie,  
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu:  
Gdy „Comte“ przeczytasz na kopercie listu —

Gdy... i tam dalej. Z tych miłości własnych  
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;  
Przy dwóch światelkach, jak gwiazdy niejasnych,  
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać,  
Czekając zorzy różowego świtu,  
Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

I zawolałem: ty śpisz, Eneaszu,  
A tu deszcz na nas leje się z dachówek!  
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,  
Więcej do czynu sposobni niż słówek,  
Wściekać się więcej zdolni, niż łzy ronić,  
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

Szczęściem, że w ścianie uwitej z sośniny  
Po obu stronach były dwie framugi;  
Ach nie framugi — zaczęte kominy!

Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,  
Oba jak dżutem z marmuru wycięci  
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,  
Rece złożone na piersiach pobożnie;  
Každy z nas biały, jak w operze Zampy  
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie  
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;  
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

Lub jak mumija w ścianie piramidy...  
Niech porównania dalej lecą klusem.  
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy  
Zakryty wody srebrzystym obrusem,  
Stojący sucho w wodnej samolówce,  
Którą czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz,  
Głosem żalonym rzekł: czy żyjesz? — Żyje.  
A on mi znowu rzekł: o czem ty marzysz?  
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje  
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;  
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

*Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,  
Nie spali ogień... a kompan: nie słyszę;  
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...  
A ja mu na to: cierp, a ja opiszę  
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy  
I przedam wiernie córkom Mnemozyny —*

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel  
I tu postawi hotel, mości panie!  
Tu, na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel  
Mógłby duszeczki kapać, jak w Jordanie;  
Tu, gdzie stoimy — ja ci przepowiadam —  
Ze stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam,



W nurty natchnionia, myśląc o żegludze  
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa...  
A mój towarzysz rzekł mi: ja się nudzę,  
Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;  
Wyznaj, że Grecya *c'est ennuyeux en diable*,  
Ja cały mokry — *mais c'est insupportable!*

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu  
Zregulowałem, tam na łóżku leży;  
A ja mu na to: mamy dosyć czasu!  
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,  
Gadajmy sobie o czem pożytecznym,  
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiewajmy sobie kontredansy  
Tańczone dawniej — ja dyszkantem wlekę;  
Albo ci powiem powieść Sancho Pansy  
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —  
Ty licz, ja będę tron mowcy dziedziczył;  
Jeśli chcesz, ty mów... a ja będę liczył.

Oczy znasz Byrona? — Niel — To wielka szkoda!  
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;  
Czajłd Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda  
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały.  
Czy znasz Platona?... przyszł mi do głowy  
Zaczącie jednej Sokrata rozmowy:

„Chodźmy — rzekł — w kłonu szerokiego cieniu  
Na pochyłonej odpocząć murawie;  
Oto zanurzmy tu stopy w strumieniu; —  
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie  
Śpiewają słońcu!...” Dalej w mowie walnej  
Sokrat piękności daje idealnej

Rysy, granice — i w mgliste przezrocze  
Obwija posąg cudownego wdzięku,  
A strumień żywy stopy mu łaskocze...  
Tu nasz Giuliano z latarenką w ręku  
Wszedł i zobaczył nasze dwie figury,  
Jak dwa posągi, opravione w mury.

Z lampami w nogach. — Rzekłem: Pigmalionie,  
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,  
Przynieś parasol! — Tak przez wodne tonie  
Przeszliśmy oba — a jeśli was nudzi  
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem  
Greckich oberży, łózek... i nas razem,

## PIEŚŃ SIÓDMA.

Megaspilcon klasztor

Wiem, że ze śmiechu przeszkakiwać w smutek  
Jest wielkim błędem... charakteru wina,  
A raczej nerwów rozkiełznanych skutek —  
Brak sentymentu — że w trop Lamartina  
Idąc, nie łączę w pieniach — o herezya! —  
Trzech westchnień ciągłych: Miłość—Bóg—Poezya!

Miłość od Boga staje się odporem,  
(Spytaj się o to panny... (Choł)niewskiej,  
Co rządzi młodych panienek klasztorem).  
Miłość — (prócz czystej miłości niebieskiej) —  
Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt —  
Niewolno kochać, jak święty Sakrament.

Lecz pierwsza miłość — pierwsza, platoniczna...  
O wstaw się za mną — o Najświętsza Panno!  
Ty jesteś taka na obrazach śliczna —  
Widziałem Ciebie dziś — pod tęczą ranną,  
Nad błękitami Lepantu — w niebiosach —  
W tęczy — na chmury rozplakanej włosach!.

Poezya także często walczy z Bogiem;  
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie,  
Jak *Pan Tadeusz* obeznany z rogiem. —  
Bóg Lamartina jest w złem towarzystwie!  
Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,  
Byłby znów Chrystus między dwójgiem łotrów.



Więc rozwiązawszy tak dobrze zawilosc  
Teologiczną, przyjmuje za godło  
Tych kart — Poezye, Chrystusa i Miłość  
I to mię będzie teraz ciągle wiodło  
Z góry na górę — od boru do boru —  
Do Megaspilion, na tę noc, klasztoru.

A ty, Poezyo, nie bądź więcej mniszka,  
Ale opowiedz, jak szedłem wysoko  
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;  
Jak coraz dalej posyłałem oko  
Za laurem pięknie kwitnącym podemną,  
I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolezatej gruszy  
Ostonił całą podróżnych gromadę;  
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,  
Dały nam ogień w oczach słońca blade;  
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,  
Jakośmy orłów słyszeli krakanie...

A morze jasnym wabiące lazurem  
Daleko od nas — szukane oczyma —  
Za' gór przebytych błysnęło się murem  
Przez dwie szczeliny maczugą olbrzyma  
Albo Rolanda (1) rozcięte zamachem.  
Powietrze cząbrów poilo zapachem...

A teraz myślę, jak z liter i cyfer  
Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,  
Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer  
Mahometowi — tak długo, jak Iliion,  
Albo jak nasza piękna Częstochowa,  
Kulami ryta — cudem boskim zdrowa...

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką!  
Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę  
Slimaczą drogą... teraz podnieś oko!

(1) Bohater średniowiecznego poematu. (P. Wyd.)

Gdzie patrzysz? wyżej!... tam, tam aż pod chmure!  
O jaki widok!... skała rośnie złota  
Z arabeskowym rysunkiem Callota (1).

Z łona zielonych krzewin i cyprysów  
Wyrasta ścianą prostopadłą skała  
Porysowana, jak mnóstwem napisów,  
Mnóstwami domków — a jaskółka śmiała.  
Ów miły piastun wieśniaczy i boży,  
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży

Cała budowa, jako wachlarz płaska,  
Jeden ma tylko bok i jedno lice;  
A wytnij sobie z jakiego obrazka  
Całą niemieckich miasteczek ulicę,  
Niechaj mur jeden jednostajnie siny  
Nosi te domki — krużganki — kominy

I galeryjki — i sine okienka —  
I domki wczora tynkowane świeżo,  
Niechaj to wszystko różnorodnie wsięka  
W jedną podstawę — pożegnaj się z wieżą  
I dzwonicami, któreś sobie roił,  
A jeśliś domki pobudował, spoił,

I sobie całą ułożył strukturę —  
Zanieś to wszystko wyobraźni okiem  
Na szmaragdową cyprysami górę,  
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem  
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek  
Postaw forteczkę i jaskółczy domek..

Niech dym, co mnichów kominami goni,  
Framugę sadzy robi nad klasztorem;  
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,  
Niech teraz będzie spokojne wieczorem,  
I zda się lekkim pajęczyny włóknem,  
W promieniach słońca jasne każdym oknem;

(1) Sławny rysownik arabesków i snów dziwacznych,  
(P. Aut.)

Niechaj to wszystko razem się pokaze  
Nad głową twoją i za drzewy znika,  
I znów, jak dziewię szpiegujące twarze,  
Gdy z poza liści śledzą wędrownika  
I same także śledzone ciekawie,  
Znów błyska — znika — i śni się na jawie; —

A będziesz widział — nie widzisz? więc próżno!  
Ja doskonalej nie opiszę rymem...  
Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,  
Mój czytelniku, i został pielgrzymem;  
Inaczej z wielką litością i żalem  
Będę o tobie myślał w Jeruzalem.

Tymczasem... co to? wieczorny skowronek  
Śpiewa nad nami w obłoków błękitcie?  
Nie—to klasztorny na krążanku dzwonek  
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.  
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,  
Znów karawana idzie w górę — cicha.

Oczy po takim ciąglem wniebowzięciu  
Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,  
A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu  
W błękitnych szatach, z czarnymi brodami  
Snuło się w słońca złotego odbłyску,  
Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku,

Lub jak rój pszczelni — bo tak doskonale  
W plastrze tynkowym porobił komory;  
Tak poświęcił korytarze w skałę,  
Wiszącym domkom takie dał podpory;  
Tyle zapasów nagromadził w doły,  
Ze Bóg się spyta: ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,  
Co w przyklepionym na skałę listeczku  
Nagromadziliście wina, tabaki,  
Cnot po troszeczkę, grzechów po troszeczkę,  
Czekając jasnej zmartwychwstania chwały,  
Gdy cicho listek oddeje ze skały?

I wy myślicie, że ja wam przepuszcze,  
Patrząc na tynku odpadłego łate,  
Na korytarze wasze — co jak bluszcze  
Idą na skałę kręte, węzłowate —  
Na źródło wasze cudowne, na składy?  
O moje małe bezpłciowe owady!

Wy, którzy świecę zapalacie jasną,  
Gdy pielgrzym kładzie swój grosz do skarby,  
Nie obrazowi — lecz na miłość własną  
Rzucając blaski, wy, kracząc wrony  
W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,  
Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!

A tażto beczka? (to wszystko Jehowa  
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,  
A ja powtarzam tylko boże słowa)  
Ta beczka, votum chorego człowieka,  
Którą dał biedny — ach, nie mnie Jehowie,  
Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie...

I wasze głupstwo, żeście się chwalili  
Z takiego daru, i wasza ciemnota —  
Życie podobne do próżniackiej chwili —  
I wasza grubość chłopska, nie prostota —  
I wasze kłamstwa cudów — i tam dalej...  
Weź, Lucyferze! niech ich piekło spali!

Tu się jednego twarz archimandryty  
Odwróci, z jednym mnichów pokoleniem,  
I rzeknie Bogu: „Nasz dom, niezdobyty  
Ibrahimiowym mieczem i płomieniem,  
Zniszczyłeś, Boże; a Lucyfer dumny,  
Ześ odkrył pełno prochem grzechów trumny.

„A ślad na skałę gmachu — jak na belce  
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;  
A pomyśl, kiedyś, zatrwożony wielce  
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,  
Wtenczas widziałbyś dla mrących z przestracnu  
Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.



I gmach się w on czas cały w lud zamienił,  
 Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;  
 Tak wiele duchów zebrał i spromienił  
 W twoje podnóże... i do naszych stołów  
 Siadało wiele—nas mnichów niegodnych,  
 Lecz wiele sierot płaczących i głodnych...

„I w nocy pełnej piorunów i błysku  
 Sam szedłem — własne zapalić szpichlerze (1)  
 Co pod nogami na skały urwisku  
 Stały, ubrane w cyprysowe wieże;  
 I zapaliłem... i przy tym pożarze  
 Widziałem w dół białe Turków twarze.

„Potem z klasztoru patrzaliśmy mnichy  
 Na mur poryty ognistymi rysy,  
 Na dom nasz własny... jak na węgiel lichy,  
 I na stojące w płomieniach cyprysy,  
 Jak ci szatani, co tam — widzisz, Boże —  
 Stoją przy piekła płomiennym otworze.

„Niejedon mrący, spragniony i ranny -  
 W ostatniej chwili — usłyszał nad sobą  
 Płacz brylantowej cudami fontanny,  
 Otworzył usta — westchnął — i był z Tobą...  
 Zródło, że wiecznie płakało nad ludem  
 Żywych i mrących — nazwaliśmy cudem.“

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,  
 Na potępienie mnicha rzekłem z boku:  
 A owa, owa — w tysięcznym ósmsetnym  
 Trzydziestym szóstym (nie mylę się) roku,  
 Dnia trzynastego września (tak mi świeża (2)  
 Data i dzień ten) (1) dana mi wieczerza?

Sam ją kazałeś zastawić na stole

(1) Budynek spalony. (P. Aut.)  
 (2) Wary. w I wydaniu: (fakt powierza  
 Dziennik mój szczerzy)..

I sam przyszedłeś, o archimandryto,  
 Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole  
 Kość twoich garnków — twego chleba żyto —  
 Mszcząc się, że paszport wydała mi Francya,  
 Ze częcżą papieża — lecz gdzie tolerancya?

.....  
 Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli  
 W ciemną altanę — lub na sklep, gdzie *prix fixe*  
 Błyszcza klejnoty — lub do księżej celi  
 Złotym promieniem lejąc na krucyfiks —  
 Albo na rzymskich kościołów mozaiki,  
 Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

Lubię, gdy pada promień złotolity  
 Na siwe włosy starego żebraka;  
 Albo na czoło umarłej kobiety,  
 Albo na skrzydła pływające ptaka  
 Albo na róże, co wysoko noszą  
 Jesienne czoła błyszczące się rosa.

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną  
 W pochmurnym rynku statwę Kopernika;  
 Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono  
 I znów z człowieka robi słonecznika,  
 Za świstłem życia obracając twarzą  
 Myśli marzące... póty, póki marzą.

W komnacie mniszej, otoczonej w koło  
 Rzędem tureckich sof kwiecistej barwy,  
 Promień słoneczny padł na moje czoło;  
 I snów zwichrzone rozpedziwszy larwy,  
 Rozwinął znowu moje myśli senne  
 Na życie marzeń mglistych... cało-dziennie.



PIEŚŃ ÓSMA (1).

Napoli di Romania.

Gdzie nasz Neapol—i morze—i ganek,  
Skąd widać było dwa białe miesiące,  
Skąd widać było wybrzeże — i wianek  
Białych żagielków — i światła płonące  
Pod żagielkami — gdzie ostrzygi szare  
Ze srebrną piersią — i *frutti di mare?*

Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,  
Żagiel przy żaglu—przy świetle światełko  
I tych światełek na brzegu bez liku,  
A każde swoje białe ma skrzydełko,  
Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemie,  
Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.

Czarowny widok — czarowne wieczory!  
Ciebie zachwycał zgiełk ludzi i tęcza,  
W jaką się ludzkie wiązały kolory  
Nad błękitnawem morzem w pół obręcza.  
Jam patrzył w księżyc — co lotem aniołów  
Puszczał się w błękit — z mogiły popiołów (2).

Dziwnie dziś jestem w mieście — miniaturze  
Znanego tobie Neapolu. Domy

(1) Obacz w tomie III-cim str. 266: *Do Teofila Janu-  
szewskiego.* (P. Wyd.).

2) Wariant tej trzeciej zwrotki opiewa:  
Czarowny widok — czarowne wieczory—  
Ciebie zachwyca ów zgiełk — owa tęcza  
W jaką się ludzkie wiązały kolory...  
Jam czekał cichy, aż po lawy ścianie  
Drący się księżyc wejździe na szczyt — stanie;  
Aż spojrzę na mnie z ogromnej mogiły  
Czarnych popiołów. — I mnie także trzeba  
Na jakim wielkim grobie nabrać siły,  
Nim się puścimy w świat... nie droga, nieba.

Zaległe tutaj ponad morskie wzgórze,  
Forteca weszła na szczyt skały stromej,  
Mniejsza zaś druga w otchłań lazuruwa  
Weszła się kąpać — jak Castel dell'Or

Morze błękitne — i góry z mgłą siną,  
Lecz nie tak ścięte, jako cukru głowa  
Ani jak krater...“ (2).

.....

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona  
Wtoruje myśli posępnej i ciemnej —  
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona  
I siedzę cichy w kopule podziemnej,  
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.  
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,  
Której mi tylko echo wiecznie słyhać!  
Druidyczna to z głązów wielkich grota,  
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wdychać  
I mą Elektry głos — ta bieli płótno  
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną  
Kłóci się wietrzyk, i rwie jej przedziwo.  
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;  
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,  
Napędza nasion kwiatów — a te puchy  
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie  
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,  
Jak by mi chciały nakazać milczenie,

(2) Więcej niema. (Przyp. W.)

Sykają. — Straszny jest Rapsodu końcem  
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:  
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,  
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —  
Ani mię teraz moja małość wstydzi,  
Ani się myśli tak jak orły waża.  
Głęboko jestem pokorny i cichy  
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie  
Wyrasta dąbek w trójkacie z kamieni;  
Posadziły go wróble lub gołębie,  
I listkami się czarnymi zieleni,  
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;  
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszca.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,  
Ani w gałazkach jęknęło widziadło;  
Tylko się słońcu stała większa szpara  
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.  
Z razu myślałem, że ten, co się wdziera  
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,  
By ją ułowieć i napiąć i drzącą  
Przymusić do łez i śpiewu i złości  
Nad wielkiem niezem grobów — i milczącą  
Garstką popiołów! — ale w mojem rękę  
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadao  
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.  
To los mój, senne królestwa posiadać,  
Niemo mieć harfy i słuchaczów głuchych  
Albo umarłych — i tak pełny wstretu —  
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentul!

Na koń! — Tu łozem suchego potoku,  
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,

Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,  
Jakby mię wicher gnał błyskawicowy.  
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,  
Jeżeli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheroniei  
Trzeba się memu załamać koniowi;  
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei  
Dla mało wiernych serc — podobne snowi.  
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,  
To tej mogiły, co równa jest — naszej!..

Mnie od mogiły termopilskiej gotów  
Odgonić legion umarłych Spartanów;  
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,  
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!  
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych  
Zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę  
Osadzić konia w wązowym szlaku,  
Bo tam być muszą tak patrzące twarze.  
Ze serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.  
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —  
Nie — pierwiej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,  
Gdyby stanęli męże nad mogiłą  
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,  
Potem spytali wręcz: — „Wielu was było?“ —  
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —  
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,  
Bez czerwonego leży trup kontusza —  
Ale jest nagi trup Leonidasa,  
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;  
I długo płakał lud takiej ofiary  
Ognia wonnego i rozbitej czary.

• • • • •



Przeklnij — lecz ciebie przepędzi ma dusza,  
Jak Eumenida, przez węzowe różgi.  
Boś ty, jedyny syn Prometeusza —  
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.  
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,  
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!  
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta  
Nademną — zwinie się w łak jak gadzina,  
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!  
I w proch ją czarne szatany rozechwyca;  
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

## PIESN VIII.

(Koniec).

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżąca  
Zakrywać piersi puste, owdowiałe,  
To ja nie klękne, nawet przed klęczącą,  
Bo ja mam inną, smutną matkę, chwale,  
Co mi ociera łzy płynące rzadko,  
I i tę trzecia mam, co mi jest matką.

O najbiedniejsza! tobie z pól myceńskich  
Chciałbym już posłać prochów moich urnę  
Wrzuć w proch ten dwoje obrączek małżeńskich,  
Zaklnij Dyannę i duchy pochmurne,  
Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły  
W promieniach... jam ci był drogi i miły.

Teraz nie jestem niczem, a te mary,  
Co okrzyły mnie, wzywają dalej,  
I pokazują girlandy i gwary  
Anielskich duchów, pójdę... krew mnie pali;  
Już osadzony śpiewam jak łabędzie,  
Lecz gdy cie dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

Tyś uśmiechała się, to było wczora,  
Kiedys mię smętnym w dzień znalazła inny  
Zaplakanego nad śmiercią Hektora.  
Nie był to głupi płacz, ani dziecinny,  
Głupsze są teraz łzy, co lecą skorsze,  
Gdy wspomnę los mój, ach! łzy stokroć gorsze.

Zórawie, co tam nad Koryntu górą  
Roziągnęłyście łańcuch ku północy,  
Weźcie na skrzydła moją pierś ponurą,  
Zanieście z sobą, może przyszłej nocy  
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,  
Jak dzwonn żałosny brzmiąc w krainach ducha.

Zórawiel wy co w powietrze różane  
Co rano długą wzlaturajecie szarfą,  
Wyscie mi były niegdyś ukochane,  
Wyscie jesienną moją były harfą!  
Wy i szumiąco sosny nad grobami,  
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,  
Ze będę kiedys nieszczęsny i błędny,  
Ze może z serca niedoli urosnę  
I będę z duchów miał wieniec podrzędny  
I z dziką kiedys pożegniam tęsknotą  
Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złota.

Dziś ta godzina przyszła, bądźcie zdrowe!  
Tam archipelag mnie woła błękitny,  
Tam Korynt trzyma koronową głowę  
A za Lepantem Parnas starożytny...  
O Muzo moja, jakże ty pozdrowisz  
Górze, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

O romantyczna Muzo, na kolana!  
Bo ja ukłony mam tu dla tej góry  
Od lipy wonnej klasycznego Jana  
I od śpiewaka dzieci i tonsury,  
I od śpiewaka Potockich ogrojca  
I cichy, łzawy pokłon mego ojca.

Ja wiem, że teraz jest on przy mnie duchem,  
 Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;  
 Oto mi nawet szeleści nad uchem  
 Figowe drzewo, jakby szmerem skargi.  
 Słyszę głos mi już ojca niepamiętny,  
 Lecz jego musi to być głos, bo smętny.

Więc smutnym głosem i niedomówionym  
 Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci  
 Góro, co błyskasz księżycem czerwonym,  
 Jak wulkan krwawy.... o pęknij na ćwierci....  
 Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem,  
 Albo zawczesnem rannych kurów pianionem.

.....

### PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

Jest na koryneckiej górze mała grotka,  
 Figowem drzewem od wejścia zakryta,  
 I tam odbiegła mię moja tęsknota;  
 Stamtąd albowiem oko tęskne wita  
 Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,  
 Przerżnięty wstęgą koryneckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe  
 Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie.  
 Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę  
 Oko na morze to błękitne wptynie,  
 To zamysłone odwrócić się nie chce,  
 Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,  
 Korynt.... już myślisz.... że tam kolumnady,  
 Jakich wzrok często północnika łaknie;  
 Lecz Korynt dzisiaj, to chatek gromady,  
 Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,  
 A matką wszystkich kolumn ten kościółek.

Wszedłem.... w świątyni dwie młode Greczynki

Miotłami z ziemi zmiatały na kopce  
 Czarne od prochu koryneckie rodzyńki,  
 A na kolumnach ściętych mali chłopce,  
 Pasterze.... w dudki z trzciny wycięte grali,  
 Kilka baranów sennych i tam dalej.....

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek....  
 Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;  
 Ten smutny kolumn już bezzennych wianek,  
 Te drzewa żywe, co z marmurowymi  
 Takimi są tu nieraz przyjacioły,  
 Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,  
 Pełny baranów cień każdej kolumny,  
 I pełny owiec cień każdej oliwy,  
 A pasterz na te cienie patrzy dumny,  
 Bo są jak sznury pereł dla kochanki,  
 A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości... spokojność rozlewa  
 Na śpiące owce.... na pasterzy twarze.  
 Zefir się rzadko na trawy rozgniewa  
 I Jowisz rzadko tu piorunem karze.  
 Wszystko zamknięte na wiekowe blizny...  
 I w takiej ziemi był i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?  
 Czemuż nie jestem panem tej winnicy,  
 Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,  
 Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,  
 Czuwa—i cicho sny bogów nastęcza,  
 Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny;  
 Od moich owiec raniej — od jaskółki,  
 Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,  
 Z Hymetu by się zlatywały — pszczołki,



I kładły miody w złamanej kolumnie,  
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na mej policy... czara starożytna  
I pełna wina starego amfora;  
Przed chatą — jaka Najada błękitna,  
Wylewająca łzy w ciszy wieczora.  
Brzęcząca smutno o marmur wymyty:  
Kilka drzew, kilka malw z jasnymi kity

I sad, gdzie ciemna liśćmi cytryna  
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,  
Pod którą wcześniej noc już być zaczyna,  
Noc sprzyjająca myślom zadumanym,  
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świeża,  
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy amora słudzy, wieczne duchy,  
Z motylowymi skrzydłami wietrzniki...  
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy  
I przez was wiedział natury tajniki,  
I co wieczora, pijąc nektar słodki,  
Strącałbym z czary — was mówiących plotki...

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,  
O sercach, które nie kochane — pękły,  
O skarbie w straży aniołów podziemnych.  
A gdybyście mi o czym smutnom jętki,  
O jakim kraju, co leży w mogile,  
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skapałbym całych w czerwonym Falernie,  
Malwy rozkwitła, schłostałbym łodyga,  
Między różami gdzie zarzucił ciernie;  
Lub wzięwszy za łeb, zrobiłbym go fryga,  
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,  
Ze mi przypomniat smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,  
Kiedy się dla nich cały baran piecze,  
Pokazałiby słońcu, co zachodzi,

W piryjskim tańcu wydobyte miecze;  
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą  
Grałbym na lutni i prowadził koło.

A tam na szarej kolumny ułamku  
Wianek sąsiadów moich siwobrodych,  
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku,  
Dawałby ręką takt tańcowi młodych...  
I przyklaskiwałby temu rymowi.  
Duchy, sny, straty, starce, bądźcie zdrowi...

Czy nie widzicie? żem chory: szatanizm,  
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;  
Wierzę w religię mas, w republikanizm,  
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści  
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,  
Ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpacz.

Mam także ufność wielką w jezuicką  
Reakcyę... lecz się nie łączę z czekam;  
Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,  
I z Europy znudzony uciekam,  
Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi  
I chce przekonać ludzi, że coś robi.

Najwywzięcieńsi w tej sztuce kłamania  
Nie warci są mi rozwiązać trzewika;  
Ciągłe mam czarny palec od pisania  
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka  
Poetycznego... stąd mię częściej wita  
Poetą — ten, co widzi, niż co czyta.

Biorę na świadki te strofy ostatnie,  
Czy w nich poezji jest choć za trzy grosze.  
Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie,  
Od nieprzyjaciół moich więcej znoszę,  
Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;  
Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie.

Te strofy są złe, no więc na to zgoda;  
Niepoetyczne... zgadzam się i na to...

Chodźcie tu do mnie... patrz... błękitna woda  
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;  
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,  
Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

Przez nachylone żagle księżyc blade  
Pokazuje mi majtki zadumane;  
Stoją jak dawni rycerze Hellady  
O maszt oparci... złotem haftowane  
Pancerze mają i białe kapoty...  
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Oni umieją zostać nieruchomi,  
Jako posągi, patrząc w niebo czyste,  
Eol sam wichry szalone poskromi  
I z żagłów muszle porobi srebrzyste,  
W których się oni... na pół skryci, mieszczą,  
Jak duchy — myślą, wywołane wieszczą.

I cicho, i wraz... o! godzino święta,  
Łódka się w morskie rzuciła głębiny.  
I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta...  
To była pierwsza fala Salaminy:  
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła.  
I wstrzęsła mnie tak... i jęka i legła.

A za nią inne fale z wielkim gwarem  
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.  
Jutrzenka żywym splonęła pożarem.  
Słońce... już było blizkie swego wstania;  
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju  
Stanie w piorunach, jak Bóg na Synaju.

### WSCHÓD SŁOŃCA NAD SALAMINĄ.

Pamiętam jedną godzinę żywota —  
Leżałem w greckiej łodzi... Spało morze —

A każdy żagiel był jak maska złota,  
W której się chował w albańskim ubiorze  
Majtek. Słuchałem, jak fala klekota,  
Kiedy ją złota pierś kaiku porze —  
Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki  
Jak słońce. Łódź płynęła z Kalamaki.

I zwolna wschód się oczerwienił siny.  
Po nad Pireą powiał wiater świeży.  
Łódź się wśród morskiej wzdrygnęła równiny,  
Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.  
Była to pierwsza fala Salaminy,  
Szła od mogiły, gdzie Temistoki leży —  
Zatrzęsła łodzią, w koło ją obeszła,  
Zagrzmiała, jęka żałostnie i przeszła.

Wstałem — tańczyły fal różane bryły —  
Switem się niebios okwiecała droga —  
Słońce! — myślałem, że wstaniesz z mogiły  
Temistoklesa, jak z mogiły Boga  
Zmartwychwstający anioł blasku, siły...  
Lecz nie — gdzie złoty tron był jego wroga,  
Skąd Xerxes patrzył na zniszczenia dzieło,  
Wyszło ogromne słońce i stanęło...

Wtenczas zacząłem urągać się w duchu  
Grobowi, co był rzucony w ciemnoty  
I morzu, które chodziło w łańcuchu —  
I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,  
Pałac się w słońca czerwonym wybuchu —  
Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty  
I za kraj marli rozpaczni obrońce...  
Xerxes na tronie tym ubrany w słońce!...



FRAGMENT (1).

I porzuciwszy drogę światowych omamień,  
 I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!  
 Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,  
 Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!  
 Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była  
 Ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu...

.....

TRZY FRAGMENTA Z POEMATU

Pan Tadeusz (?) (1).

I.

.....

Wielkimi gromadami — przez bramę do sieni  
 Wchodzą strzynadle (2) złote i gile w czerwieni.  
 A nawet ów dziw lasu, tak rzadko widziany  
 Halcyon, a na Litwie zimorodkiem zwany,  
 Który czasem strzelcowi pokaże się w borach  
 Przez mgłę gałązek — niby w anioła kolorach,  
 Nad zwierciadłem przełomki — piękny i błyszczący,  
 Jak anioł, w równi złote skrzydła trzymający —  
 Nawet ów ptak pięknnością zaklęty — i dziki  
 Zbłąkał się i nad domu zleciał gołębniki,

(1) Z autogr. druk. w „Warcie“ z r. 1881 Nr. 355 str. 3547 gdzie dodano następujący przypisek: „Jaki tytuł właściwie poeta chciał dać poematowi, z którego trzy tylko szczątki ocalały, nie wiadomo. Nazwaliliśmy go na domysł *Panem Tadeusem*, ponieważ w pozostałych fragmentach wchodzi: Wojski, Telimena, Zosia i Soplicowo. — Rzecz szczególna, że poeta brał sobie motywa z Mickiewicza, bo i o Wallenrodzie rzecz obrabiał dwa razy dramatycznie, a raz nadto jeszcze w niedokończonym poemacie.

(2) Strzynadle, tyle zapewne co nasze trznadle.  
 (P. Warty).

(1) Na grobie Chrystusa w Jerozolimie, ob. *Listy Słowackiego*, wydanie 3-ie, t. I, str 260. (Przyp. Wyd.)

A potem nad sadzawki, w ogrodzie kopane,  
 Gdzie leszcze, karpie, pstrągi pięknie malowane  
 Wojski kazał powpuszczać.... ów ptak z jasnym grzbietem  
 Poleciał — i bił w ryby dziobem, jak sztyletem.  
 Słowem wszystko, jak gdyby szukało uchrony  
 U człowieka, ciągnęło z lasów..... Smętne wrony  
 Zaludniły podwórze..... obozem się mieszczą  
 W topolach—gdzie pod wieczór wicherzają się—wrzeszczą,  
 I pod zorze gną czarną drzew obdartych głowę --  
 Wojski mówi, że wiodą swe sprawy sejmowe.  
 Tak ptactwem gadająca, choć mgłami ponura  
 Stała się ta litewska przemienna natura  
 Zawsze żywa—i z duchem ludzi zawsze zgodna,  
 Dobra — nie martwa — chociaż skościła i chłodna,  
 Właśnie jak Litwin, który wśród świętych przymierzy  
 Skupił się w sobie — stęzał — niby trupem leży,  
 A jednak pełny życia — i wielkiej pamięci  
 Gdy mu wróg wbiegnie — on go niby wąż określi  
 Od nóg po pierś — pierścienie swoich wieńców skróci.  
 Rozwinie się — i trupa z objęcia wyrzuci.

II.

.....  
 Ów to dwór Soplicowo, gdzie historia nasza  
 Odbyła się pod tchnieniem boga Boreasza  
 Inne wdział szaty, twarzy zupełnie odmienił --  
 Ów las topoli już się więcej nie zielenił.  
 Dziedziniec — gdzie bławatki, cykorye i maki  
 Barwiły się, jak szalów indyańskich szlaki,  
 Teraz biały, wczorajsza zasuty zawieją,  
 A na nim ścieżki świeżo deptane czernieją  
 Od folwarków do dworu — od stodół do gumien --  
 Wszystko smętne, a domy stoją nakształt trumien  
 Na podwalinach

Wszystko zamarło od czasu.

Z daleka ciemna wstęga sosnowego lasu  
 Siemniała — widać przez las błękit bitej drogi --

Wiatr przez nią leci — sosny jak litewskie bogi  
 Chwieją się — jodły siedzą, śniegiem przywalone --  
 Gdzieniegdzie drzewko ścięte — jak cegły czerwone  
 Poukładane w stosy.... inne do trójnogów  
 Podobne, jak ołtarze dawnych Litwy bogów,  
 Czerwienieją po lesie — osmętnione mgłami,  
 I sosen tak nakryte liściem — jak chmurami. --  
 O zimno! twoją piękność smętną — ucieszenie  
 Lasów — i rzadkie słońca złotego promienie  
 Czują dziś.... nakształt czaru i nakształt uroku,  
 Który wszystko ucisza.... i pod śniegiem chłonie. --  
 Z miłością—bym więc ciche zamieszkał ustronie,  
 W okrag którego puszcza czerni się bezbrzeżna,  
 A nad nią we mgłach błyszczczy Matka Boska Śnieżna.

W Soplicowie — choć już się zbliżyły zapusty,  
 Zjazdu nie było — dom był cichy — prawie pusty.  
 Wczora właśnie — francuskie oficerstw starsze,  
 Które wtenczas przez marsze i przez kontramarsze  
 Włóczyło się po Litwie z armią dowozową,  
 Opuściło gościnne zawsze Soplicowo.

III.

.....  
 Noc była — wietrzna, śnieżna — a wichry śpiewały  
 W kominach swoje zwykłe płaczące chorały. --  
 Kobiety.... przy dwóch świecach — w bawialnym pokoju  
 Siedziały przy robotce, w zaniedbanym stroju,  
 Same jedne — wizyt się w domu swoim żadnych  
 Nie spodziewając—dla mgieł i czasów szkaradnych,  
 Gdy nagle przed oknami — jak świst, grzechot węży,  
 Zaszumił przeraźliwie straszny brzęk uprząży --  
 Straszny dla domu łoskot — z którym zwykle jada  
 Sanie ogromne, liczne — tak zwaną szlichtadą,  
 Z napascią, która domy pólsemne odurza,  
 Jak napasć zbójców... Taka przyleciała burza  
 Na dziedziniec. — Złękła się Telimena mocno,



Spojrząwszy na szlafroczek i na odzież nocną —  
Spojrzała przez okiennic szpary — a śnieg złoty —  
Pełno kagańców; — białe — zrywa papiloty,  
W oczach widać, że straszne zobaczyła mary,  
Lecz nie brzydkie.... krzyknęła do Zosi: „huzary!“  
I uciekła.

Tymczasem wchodzi do pokoju  
Człowiek niewielki wzrostem, w podróżnego stroju;  
Sądziłbyś, że cywilny — gdyby nie miał szpady  
Pod pachą — dosyć piękny na twarzy — i blady  
Mimo zimna. Twarz była jak marmur niezmienna,  
Owszem—rzekłbyś, że bielsza od mrozu—promienna,  
Jak miesiąc złoty.... Oddał lekki ukłon Zośi,  
Ona się złękła — oczy spuszcza — nie podnosi,  
Nie śmie.... stoi jak posąg — a w sobie rozważa,  
Czy ma uciec, czy zostać — poznała cesarza  
Napoleona.....

.....

## USTĘPY Z PRZEKŁADU ILIADY HOMERA.

I.

Z PIEŚNI PIERWSZEJ.

(od wiersza 1—492).

Achilla gniew — i klęski zeń spadło na Greków  
Śpiewaj, bogini, bogów śpiewaczko i wieków:  
Gniew śpiewaj, który w ciemne piekło zaprowadził  
Tyle dusz, i przed czasem tylu męży zgładził,  
Na polach trupem całe położył zastępy,  
Psy zwołał, i na ciała rzucił czarne sepy,  
Przed losem i przed bożym upokorzył tronem,  
Naprzód Achilla z czarnym skłóciwszy Memnonem.

Powiedz, w jakiej nieszczęsnej godzinie poczęta  
Tylu nieszczęść przyczyna, ta kłótnia niesświęta?  
Za jaką się swojego kapłana uraze  
Mścił Apollo, okropną zwaliwszy zaraze  
Na Greczyna obozy, tak że niesłychany  
Był mór, i z trupów całe urosły kurhany?  
A to wszystko, aby król krzywdzący kapłany  
Ujrzał się sam w cierpiącym ludu ukarany.

Stało się tak, że Chryzes, kapłan Apollina,  
Któremu wzięta była przez Greki dziewczyna,  
Jedynaczka, najmiłsze dziecko, córka droga,  
W płaczu wznosił naprzód ręce, niosąc je do boga,  
A potem się przed ludźmi rzucił na kolana



Postać ojca, a w laury kapłańskie ubrana,  
Wlokąc się z upodleniem i żebraczym wstydem  
Za wszystkimi, najgłośniej krzyząc za Atrydem;

„O króle! o hetmany, wołał, niech wam Bogi  
„Miasto upokorzone położą pod nogi!  
„Niech wszystko podług myśli wam zdarzą i dadzą,  
„I cało do ojczyzny mój doprowadzą;  
„Ale niech stąd z próżnymi rękami nie idę!  
„Oddajcie mi najmilszą córkę — Chryzeidę,  
„Jeżeli nie z litości: złota wam odważę —  
„Weźcie, lub was przed słońca obliczem zaskarzę...”

Krzyk był Greków i prawie jednomyślna zgoda,  
Aby mu wrócić dziecko; lecz ojciec naroda,  
Agamemnon, król dumny, w brance rozkochany,  
Odepchnął kłęczącego starca przed kolany  
I rzekł: „Precz stąd, żebraku! włóczęgo i szpiegu!  
„Precz od greckich namiotów i srebrnego brzegu!  
„Jeżeli dbasz o głowę i o kości stare,  
„Precz stąd — ani mi ufaj w święconą tyarę,  
„Ani myśl, że na Bogów twoich zdrzę wzmiankę.  
„Twoją córkę, a moją dziś miłosną branke  
„Chowam — skłonioną mojej potędze i woli —  
„Aż ją czas... uwiędniała na licu wyzwoli  
„Z moich objęć i w korną służącą zamieni,  
„Płeć pozbawiwszy bieli — a oko płomienici.  
„A wtenczas... to dziś dziewczę kochane i młode  
„Posię do Argos... płótno myć i nosić wodę.“

Rzekł; i kapłan milczący z pochyloną głową,  
Smętny, do serca rdzenia rażony tą mową,  
Odszedł... i brzegiem morza, gdzie o skalne ściany  
Smętnie i głucho były szumiące bałwany,  
Szedł w myślach pogrążony, od świata daleki,  
I tam, gdzie go nie mogły już usłyszeć Greci,  
A bóg Apollo jeden ojcowskiej się męce  
Przypatrywał, do boga swego podniósł ręce  
I zawołał: „O władco Smintul urodzony —  
„Stróżu Cylicki — z jasnej i świętej Latony!  
„Ty, któremu Tenedu lud się kłania drżący,

„I tu i tam na moją ojczyznę świecący  
„Boże! jeśli ja tobie z modlitwą i łzami  
„Opasywał ołtarze lauru girlandami,  
„Jeśli tobie ofiary składał, starzec biały,  
„Puśćże teraz na Greków twoje wszystkie strzały!“

Tak się modlił; i zaraz émy sakramentaine  
Opuściły Olimpu mgły i czoła skalne.  
Sam Apollo — ognistym łukiem jak obręczą  
Otoczony — w mgłach idzie, strzały na nim brzęczą  
I smętną wróżbę niosą na doliny klęte;  
Czoło boga ciemności chmurą obwinięte —  
Pod nim flota, nad którą staje bóg wspaniały;  
Łuk swój krzywy naciąga, srebrne puszcza strzały.  
Naprzód muły oborne, i psy postrzelane  
Padają, potem ludzie; powietrze rumiane  
We mgłach ciężąca parą oddechy naciska —  
Ciągły strzał szelest, ciągle widać płomieniska.  
Przez dziewięć dni i nocy trupy wożą blade,  
Nareszcie dziesiątego dnia zwolują radę,  
Na którą sprasza Achil, syn srebrnej Tetydy,  
Przez Junonę natchnięty, i tak na Atrydy,  
Króle wyprawy, zaraz powstający z góry:

„Długoż tak zapatrzeni na Trojańskie mury  
„Na tym fatalnym brzegu mamy podle ginąć?  
„Nie lepiej nam do mój ojczyzny odpłynąć,  
„Póki mamy do rudła ludzi i do wiosła,  
„Niż czekać, ażby trupem zaraza wyniosła  
„Ostatki ludu, Troi mieczem niewycięte?  
„Wezwijcie też nareszcie jakie ludzkie święte,  
„Wezwijcie tu proroki: niech powiedzą, czemu  
„Kazał nas Pan Bóg słońcu zarażać złotemu;  
„A odkrywszy przyczynę, niech lekarstwo dadzą  
„I odnow się o to, z Boga idących, poradzą!  
„A jeżeli to grzechy nasze temu winne:  
„Pobijemy ofiarą barany niewinne,  
„Cielce tłuste, a Boga łaskę ublagamy,  
„Ze zdejmie te ze słońca i ciał sine plamy.“

To rzekł i siadł; — a Kalchas, ksiądz grecki sędziwy,  
Pan ofiar i rozlewacz przeświętej oliwy,

Jasnowidzący starzec, któremu mogiła  
 Nigdy nie nie wydarła i nie zostawiła,  
 Bo przeszłości i całej przyszłości był świadom —  
 Wstał — i trwożny, bo nie śmiał rycerskim się radom  
 Wręcz sprzeciwić... takimi słowy odpowiedział:

„Achillesie, kochanku Bogów! gdybyś wiedział,  
 „Jaką na grzechy nasze Bogi patrzają twarzą,  
 „Przez co znienawidziły, za co morem karzą:  
 „Zadrżałbyś! Lecz po wiedzę tych rzeczy nie sięgniesz;  
 „Chyba mi tu na głowę i na miecz przysięgniesz,  
 „Ze co powiem, rozkrywszy tajemnicze światy,  
 „Choćby to obraziło króle i magnaty  
 .....  
 .....  
 ..... (1)

(1) Miejsce tu wypuszczone wpisujemy z przekładu, do-  
 tąd drukiem nieogłoszonego, przez Jana Zborowskiego:  
 Powiem, lecz przysięż wprzód, wodzu mężny,  
 Ze mi i słowem i ręką dasz wsparcie.  
 Bo że przeciwko mnie stanie mąż gniewny,  
 Król możny Argów, tego jestem pewny.  
 Gdy na słabego mocny się rozjuszy,  
 Choć w czas gniew strawi, z sobą go uniesie  
 I żywi póty, aż wyleje z duszy.  
 Powiedz, czy chcesz mnie bronić, Achillesie?  
 — Kalchasie, Achil przedkonogi mowi,  
 Co wiesz, mów śmiało, daremnie się trwożysz;  
 Bo nikt, na Feba miłego Zeusowi,  
 Którego wzywasz, gdy Achiwom wróżysz,  
 Nikt, póki żyje i widzę, z Danajów  
 U naw ci czarnych krzywdy nie wyrządzi,  
 Ni Agamemnon, pan szerokich krajów,  
 Który się w wojsku być najlepszym sądzi!  
 — Ani dla ślubów, ani dla ofiary,  
 Rzekł wieszcz ośmielony, gubi nas gniew Feba;  
 Lecz że znieważył Atryd sługę nieba,  
 Nie wydał córki i odrzucił dary:  
 Za to nas chłoszcze okrutnymi razy!  
 I nie odwróci Feb od nas zarazy,  
 Aż bez okupu będzie odesłana

„O rzekł prorok; a zaraz się w Agamemnonie:  
 Złość zapaliła: powstał na błyszczącym tronie,  
 Pociemniał... piersi charknęła — oczy zapalone  
 Jak u psa pokazały w galkach skry czerwone,  
 I tak straszliwy stojąc, z błyskawicą w oku  
 Zawołał: „O przeklęty nieszczęścia proroku,  
 „Którego spróbowałem nędzny tyle razy,  
 „Wieczny wróżbiarzu nieszczęść—i plag—i zarazy!  
 „Jeszczeż i teraz język rozwiązałeś na to,  
 „Śmiały starcze, abys mię z wojskiem i armatą  
 „Poróżnił?... aby znowu przeciw mojej głowie  
 „Jeśli wierzczać i bunty podnosić Grekowie?  
 „Patrz, co mówisz... widzicie sztukę tego dziada?  
 „Oto na mnie jednego całą winę składał  
 „Oto ja gniewu Bogów winien — syn szatana!  
 „Za to, że m słońcego obraził kapłana,  
 „Zem ku brance nachylon, uwiedzion pieszczotą —  
 „Nie chciał oddać niebieskiej dziewczyny za złoto...  
 „Prawda! bo mi też drogie to nieporównane  
 „Dziecko, sztuk umiejętnie — białe i różane...  
 „Ani mię Klitemnestra, gdym ją brał dziewicą,  
 „Nie zczarowała taką wonią — błyskawicą,  
 „Jako ta, wzięta ojcu gwałtem panna biała;  
 „Wszakże... gdyby dziś sprawa nasza na tem stała,  
 „Abym ja miłośnicy tej ustąpił komu,  
 „Zgodzę się: niech ma ojciec! niech wraca do domu  
 „Jeśli tego wymaga sprawa pospolita —  
 „Choć kochana, choć moja, choć mieczem zdobyta,  
 „Niech idzie!... Słusznaż jednak jest rzecz, mówcie sami,  
 „Abym ja jeden, pierwszy wódz i król nad wami,  
 „Miał utratę? i wszemu panując ludowi,  
 „Sam jeden próżne serce miał — i namiot wdowi?...  
 „Byćże to może, aby bez żadnej nagrody  
 „Król został — i ponosił wszystko wasze szkody?

Ojcu dziewczyna z pięknymi oczyma;  
 Gdy Chryza stugłów wspaniały otrzyma,  
 Może gniewnego prześlągamy Pana.



„Krew wylewał — i królem był — a tak jak sługa?...  
 „Nie, za tę branke — Grecya musi mi dać drugą!...  
 — Nienasycony! krzyknął Achilles, zgłodniały  
 Na łup! a więcej branek łakomy, niż chwaty!  
 Zajęty ciągle tylko zuchwałą grabieżą!  
 Myślałby kto, że wszystkie do ciebie należą  
 Dziewczyny i bogactwa, przez rycerzy krocie  
 Pojmane... wszystko twoje, co leży na flocie!  
 A my — sam dym łykamy tylko, paląc grody.  
 Słuchaj! — Jeżeli jakiej, królu, chcesz nagrody  
 Od wolnych... bo ja wolny tu przed tobą stoję —  
 Jeśli więc chcesz, to czekaj, aż weźmiemy Troję.  
 Wtenczas i ty pożywisz się, miast obdzieraczu,  
 Wśród płomieni, posoki, i wrzasku i płaczu...  
 Na to zaś król: „To ja się mam obedrzeć z łyka,  
 „A ty nic nie dasz?... patrzcie tego wojownika!  
 „Ze silny, to już myśli, że jakie półboże,  
 „Nad Greci Pan—nademną królem—wszystko może!  
 „Nie, mówię wam, a próżnych słów nie będę tracić,  
 „Za branke mi musicie po królewsku spłacić,  
 „Odliczywszy mi za nią złota góry spore...  
 „A nie — to pójdę i sam któremu odbiorę  
 „Jego branke!... nie patrzę, na którego przyjdzie,  
 „Czy Ajax czy Ulisses — czy ty sam, Pelidzie!  
 „Choćbyście się wścickali, nic to nie pomoże...  
 „Zresztą czas to pokaże... A teraz na morze  
 „Spuścimy łódź i wybierzmy sprawniejszych wioślar.  
 „A potem tę dziewicę precudownej twarzy  
 „Który z was książąt przez fal poprowadzi grzbiety.  
 „Ulisses mi to zrobi — albo też król Krety,  
 „Albo Ajax... a może też lepiej przystoi,  
 „Ze sam Pelid — i siebie razem uspokoi.  
 „Podjąwszy się poselstwa, i Bogi ułaga...“  
 Na to Achilles — stokroć chmurniejszy, niż plaga  
 Niebieska — do zachwianej podobny kolumny,  
 „Tyranie! krzyknął, zółcią zaprawny i dumny!  
 Niewolniku łakomstwa własnego i zbytku!  
 Wiecznie tylko swojego patrzący pożytku,  
 Podły — a nam rycarzom wiażący na plecyl  
 Nie wiem prawdziwie, za co my się bijem Grecy,  
 Dla czego ja sam twoje wypełniam rozkazy?

Wszak mi Trojanie żadnej dalekiej obrazy  
 Nie zadali... w spokojne mi państwo nie wpadli,  
 Zyt nie palili—koni na łakach nie kradli...  
 Daleko stąd się pasty moje tłuste stada —  
 W cichym kraju, gdzie jedno sam brzeg odpowiada  
 Grzmotowi srebrnej fali, złote żniwa stoją...  
 Dziś — ja sam nie wiem, co za szalony pod Troją  
 Ja — i wojska, krzywdami tylko tutaj płatno,  
 Nie za obelgi kraju, ale za prywatne  
 Krzywdy, zjochaliśmy się tu całe pół świata  
 Walczyć — za jakąś ot tam krzywdę twego brata;  
 Dotychczas nie zyskawszy nic dla siebie sami,  
 Tylko guzy i ciała okryte ranami,  
 Lub podłe fraszki, które trzeba było kupić  
 Krwią własną... I ty jeszcze i z tych mię chcesz złupić,  
 Z tych jeszcze?... to, com dostał, całe ludu hordy  
 Wyrabawszy — przez ogień i szable i mordy —  
 Tę okruszynę, co tak wygląda nikczemie,  
 Tak mniejsza od twych łupów, jak ty sam odemnie,  
 Chcesz splądrować?... Więc złoto do twego namiotu  
 Płynię — a ze mnie tylko morze krwi i potu?  
 Albo mi to oddają, czego wszyscy nie chcą,  
 I miłość własną próżnem kadzidłem podłuchca,  
 Bo sam wyznaj, tak ze mną czyniliście długo...  
 Ale odtąd ja waszym niewolnikiem, sługą  
 Nie będę! Mnie do kraju flota odprowadzi,  
 A z Trojanami sobie Atryd sam poradzi.“  
 — Na to rzekł król: „Uciekaj... z serca tobie życzę,  
 „Uciekaj, ja na ciebie bynajmniej nie liczę,  
 „A na groźby też nie dbam, sercem się nie trwożę.  
 „Patrz, ilu tu rycerzy — Pan Bóg sam pomoże,  
 „A królestwu szwankować nie da i osobio!  
 „Nikom tak nie cięży wyższość — ile tobie.  
 „Gdzie kłótnie, gdzie krew tryska, gdzie pożar wybucha,  
 „Tam ty — tam kąpiesz swego okropnego ducha!  
 „Silniejszy jest od wielu ludzi — sam wyznaje.  
 „Ale i siłę — to Bóg człowiekowi daje;  
 „Więc uciekaj! — więc łódzie swoje kładź na wałach! —  
 „Więc panuj tam gdzieś sobie spokojnie na skałach!  
 „Ja ciebie zatrzymywać i prosić nie każę,  
 „Tyle twój gniew, jak sobie twoją przyjaźń ważę:

„Jedź więc i Mirmidony two trzymaj w pokorze!  
 „Ale tu — ja król — rządę, panuję i trwożę,  
 „Ty ulegasz! i to wiedz, że gdy Chryzeidę  
 „Pośle, wnet do namiotu twego prosto idę,  
 „A choćby gwałtem — jeśli opór kto utrzyma —  
 „Wezmę ci błyskającą ciemnymi oczyma  
 „Bryskę twoją... Wtenczas to przeklniesz po sto razy  
 „Dumę twoją i skore do obelg wyrazi,  
 „I pokażesz w osobie swojej pełnej sromu,  
 „Ze nad króla nikt wyższy — jedno Pan, Bóg gromu...“  
 — Słyszący taką mowę Achilles skamieniał,  
 Drżał cały — na przemiany potniał i czerwieniał,  
 Pierś mu się podnosiła — wściekłość i rozwaga  
 Walczą w nim jak dwie wiedźmy... Gdy pierwsza przemaga,  
 To oczyma jak ognia pieczęciami piecze,  
 Już już na króla leci, zda się, że rozsiecze —  
 I znowu go rozsądek gdy zimny zatrzyma,  
 Stoi... i tylko błyska po Grekach oczyma.  
 W takich burzach gdy lewą prawicę zacisnął,  
 A prawą dobył miecza wpół z pochwy — i błysnął.  
 Gdy już miał biec, a cały zdawał się szalony,  
 Zbiegła z nieba Minerwa — z rozkazu Junony —  
 Równo sobie wążąca dwóch rycerzy losy.  
 Zbiegła i Achillea porwawszy za włosy  
 Złote i rozwichrzono, wstrzymała w zamachu.  
 Nikt jej nie widział — stała ciemnościami strachu  
 Otoczona, sam tylko patrzy się w anioła  
 Achil i widzi oczu płomieniste koła  
 Swiejące na powietrzu ogniście, i woła:  
 — „Przychodź, Minerwo — ręce do ciebie podnoszę!  
 Patrz! co ja cierpię... patrzaj, co od ludzi znoszę!  
 Patrz na tego Atryda bez czci i bez wiary!  
 Przychodź, świadkiem bądź razem obelgi i kary.“  
 — Na to Minerwa: „Na to mię widzisz zjawioną,  
 Aby ci uciszyła gniewu pełne łono.  
 Poddaj się rozsądkowi i spuść się na Boga,  
 Juno każe... A to wiedz, że zarówno droga  
 Niebiosom gwiazda twoja, jak gwiazda Atryda.  
 Mów łagodnie, miecz schowaj — na Trojan się przyda —  
 A zawier mi niebieskiej, która ma żrenicę  
 Niebieską wtracam w złotą przeszłości świetlice

I czytam jasno w przyszłej życia twego zorzy  
 Zawierz, że ci Atryda tego upokorzy  
 Czas i wypadki same — tak że przed namiotem  
 Ujrysz go z pokłonami dla ciebie i złotem.  
 — Na to Polid: — „Łagodność mi wlałaś do uszu,  
 O Minerwo! gniew ciebie serdeczny posłucha,  
 A krzywdę swoją ludzką wam Bogom zostawi.  
 Kto Bogu, temu także Pan Bóg błogosławi...“  
 Rzekł; i pośród zdziwionych Greków — jak z kamienia —  
 Stał, patrząc ciągle w oczy miesięczne zjawienia,  
 Aż się cień boski w kręgi tysiączne rozprysnął  
 I wrócił w niebo. Wtenczas miecz do pochwy cisnął  
 A sam ostatkiem gniewu wrząc, rzekł do Atryda:  
 — „Greków to wstyd i ziemi tej całej ohyda,  
 Ze cię nosi, straszdydo z różnych jędz uwite!  
 Ty psie na twarzy, serce masz tchórzem podszyte!  
 Bo kiedyż cię widziano, podły, czego wadmym  
 Gdziekolwiek — czy w zasadzkach, czy w boju otwartym?  
 Za tyłem zawsze wojska, jak szatan się witasz,  
 My ginim, a ty na śmierć rycerzy posyłasz:  
 Bo też to łatwiej włóczyć po obozie nogi,  
 Łatwiej okradać swoich — niż obdzierać wrogi!  
 I gdyby nie to, że cię nam na karki wwiodyły  
 Losy... i gniew Jowisza, o łakomeo podły,  
 Gdybym w Grekach swobodę znał i miłość bratnią:  
 To ta twoja obelga byłaby ostatnią.  
 Bo już... lecz zatrzymany tu byłem przez zmore.  
 Słuchaj więc, oto berło na świadectwo biore:  
 Na to martwe w niem drewno, na tę gałąź suchą  
 Przysięgam, że na jęki greckie zamknę ucho  
 Ze tak jako ta gałąź umarła zostanie  
 Wiecznie! na Styxu ognio przysięgam rumiane,  
 Na Jowisza tron złoty — na Olimpu chmury,  
 Ze choćby tu z ciał waszych Hektor walił góry,  
 A z żył waszych lał morze i rzeki czerwone:  
 Nie przyjdę — choć wołanv, na waszą obronę  
 Nie przyjdę! — a poznasz to wtedy, gwałcicielu  
 Ze człowiek jeden taki, jak ja, waży wielu;  
 Poznasz — w Trojańskich ci się to tarczach pokaże.  
 Ile ty wart, i wiele ja na polu waże!“  
 — Rzekł; i z największym gniewem rzucił pośród Greków





Na ziemię berło, złote tysiącami ówieków.  
Rzekłbyś, że z garści rzucił złotymi gwiazdami —  
I siadł — nie dbając, że nań król namarszczył brwiami.

A wtem dźwignął się z krzesła zwolna Nestor stary,  
Pylijski król — szanowny i mądry bez miary,  
Hamujący od dawna to rycerze szybkie.

Słowa mu z ust płynęły, jak miód, słodkie — lipkie —  
Wnikające. Przy szmerze tej słodkiej wymowy

Dwa pokolenia przeszły — on zaś Nestorowy

Zył wiek, a swe pylijskie dobrze rządził Greki

Przez dwa (i coś na trzeci zachodząc) półwieki.

Ten w obozie przez wszystkich starzec poważany!

Wstał i zaczął z powagą, przez wszystkich słuchany:

„O! jaki wstyd dla Greków — pociecha dla Troi,

„Gdy tu pomiędzy wami rzecz publiczna stoi

„Od klóteń rozerwana... O! jakże to smutnie,

„Ze nam przeciwno duchy wsiady takie klótnie!...

„Wy młodzi—wy najpierwsi — we wszystkim na czołe,

„Na Boga! ten wasz ogień zagaście w popiole!

„Nie ważcie sobie lekce, co wam Nestor gada —

„Wielkim ja kiedyś królom byłem za sąsiada!

„Takich już nie obaczy ziemia... Któż dziś śmiało

„Z dawną Pirotousza porówna się chwałą?

„Z Dryjantesem odwagą, wziętością z Kneuszem,

„A cóż rzec z cudownikiem owym Tezeuszem,

„Albo choć z Polyfemem?... Tych ja wyliczyłem.

„Z którymi niegdyś ściśle i przyjaźnie żyłem,

„Będąc młody — palący się ogniem krwi żywej

„I uczciwą zazdrością ku sławie uczciwej.

„Straszni to byli ludzior — straszne wojownicy

„I łowce, czy to poszli z oszczepem na dziki,

„Czy na potworne jakie w pustyni straszycia

„Wpadali, tnąc lby centauirom, smokom z ognia skrzydła.

„Straszni ludzie! a często jednak radę brałi

„Odemnie — nawet mądrość pewną przyznawali

„Mnie młodemu... Bywało, ci bohaterowie

„Nieraz mówią: słuchajmy, co nam Nestor powie.

„Tożby się i wam także posłuchać mnie zdało...

„Królu, nie bierz mu branki! wojsko mu ja dała

„A ty też, Achillesie, spuść nieco z tej dumy

„Niech król będzie nad nasze serca i rozum;

„Ty pierwszy—tam gdzie człowiek sprawę mieczem czyni,

„Bogom podobny siłą — urodzon z Bogini;

„On — powagą wzniesiony i godnością trwoży

„Nad wszelkie syny boże — nad wszelki lud boży.

„Złączcie więc razem, złączcie niezgodne umysły!

„Niech siła i powaga wejdą w związek ściśle.

„Ty, królu, pozwól, że ja Achilla złączę.

„A ty sam swego gniewu sobie ukróć wodze.

„A Boże broń — takiego nam stracić rycerza,

„Jak Achil, piorun wojska naszego i wieża...”

Skończył i usiadł. — Na to król ludów odrzecho:

„Lata twoje sędziwe, z ust miód słodki ciecie.

Ale powiedz, kto tego uhamuje ducha?

Krółami on pogardza, nawet praw nie słucha!

Mająż mu wszyscy starsi uderzyć kolanom — —

On ma być prawodawcą — i wszechwładnym panem?

Jemu wojsko — wodzowie — ja sam się pokłonię?

Któż zniesie taką dumę siedzącą przy tronie?

Czyliż mu tutaj siła za przywilej stanie,

Gdy — —“

Przerwał mu Achilles i krzyknął:—„Tyranie!

Mam za to, że ci służył — że wkladał na szyję

Twój łańcuch — nie zapomnę tego, póki żyję!

Zem dekretem bezprawnym ulegał, mam za to!

Idź i rozkazuj sługom — nie mnie, autokrato!

Weź Bryzejdę — choć mieczem zdobyta na wojnie

I przez naród przyznana — weźmiesz ją spokojnie...

Co do mnie, od spraw greckich ręce mam unyte.

Odtąd — walczyć nie będę za żadną kobietę.

Tę oddam — Bogi każą zapomnieć urazy.

Ale ty się nie skuszaj na gwałty dwa razy,

Bo drugi raz ci tytuł króla nie posłuży

I twoja krew się na tym ot mieczu zakurzy!”

Na tem ustała kłótnia — zakończona rada --

I rozeszła się wodzów poważna gromada.

Achilles z Patroklusem do swoich namiotów,

Atryd zaś na brzeg idzie... Tam wkrótce był gotów

Okret o licznych wiosłach — na nim posadzona

Piękna Chryzeis — przydan od Agamemnona

Ulisses w przenajświętszym posła charakterze;

I ciełce złotorogie w błagalnej ofierze

Ofiarowane, niższe zaległy pokłady.  
Więc rozwinięto żagle i przez błękit blady  
Poszła łódź...

Agememnon zaś sam przedsięwzię  
Oczyścić wojsko — święte zaczęto pacierze,  
Wotywy, wodozłania, oplókania boże.  
Myje się lud — wylewa czarne męty w morze.  
Skróś, jak brzeg długi, leżą poświęcone w darze  
Cielce, byki — kamienne Apolla oitarze —  
Na nich ogień — i wstęga dymu czarnowłosa  
Wonnóści miłe bogom unosi w niebiosach.

Gdy tak wojsko zajęte za świętymi prosi,  
W Aganemnonie gniew się na nowo podnosi  
Przy nim dwaj heroldowie stali do posługi,  
Eurybates zwan jeden, a Taltybiusz drugi.  
Do nich obu król krzyczy: „Wrzód mi do namiotów  
Achilowych po brankę, jeśli dać ją gotów!  
Jeśliby się zaś wahał — człowiek niespokojny,  
Powiedzcie mu, że przyjdę ja sam po nią zbrojny...”  
Z niechęcią wypełniając srogi rozkaz pana,  
Idzie brzegiem heroldów para zadumana —  
Przychodzą. Namiot widzą do głębi otwarty —  
Rycerz siedzi ponury, cichy, o broń wsparty —  
Jba stanęli cicho w milczeniu na boku,  
Nie śmieją ust otworzyć, ani pomknąć kroku —  
Spuścili laski — niby zgaszone pochodnie —  
O! piękny wstyd... Achilles wstawszy, rzekł łagodnie:  
„Przeź nie wchodzicie? czemu stoicie u proga,  
Święci posłowie ludzi, a czasem od Boga.  
Wchodźcie! z czcią i pokojem będziecie przyjeści.  
Do was ja, starco, żadnej nie czuję niechęci;  
Wiem, co poselstwo wasze od króla mi niesie,  
Wyście temu niewiuni. — Spieszaj, Patroklesie,  
Przyprowadź Bryzeidę! — Wy zaś, ludzie święci,  
Zapiszcie to, co powiem, głęboko w pamięci,  
A z branką razem rzućcie to królowi w oczy,  
Ten ślub: Ze niech się Grecya krwią zraniona broczy,  
Niech ginie, niech z całego obędzie się ciała,  
Z krwi wysączy — to Achil tu jak trup, jak skara,  
Tu... I ten król wścieczony — ten ohydny zdzierca  
W przestrachu, bez rozumu nad wojskiem — bez serca,

Niezdolny sobie w żadnej zaradzić potrzebie,  
Złęknie się i zrozpacza — wściekły sam na siebie...“  
Rzekł. — A Patrokles brankę przyprowadził — Ona  
Żalosa w uciszonym smutku pogrążona —  
Idzie — pod ręce starzy heroldowie wiodą  
Żalosa dziewczę, brzegiem kręconym nad wodą.

Achilles także w próżnym nie został namiocie.  
Idzie na brzeg najdzikszy — siada przy fal grzmocie,  
W błękit oczy utapia i siedzi, jak skała...  
Z tych to błękitów niegdyś jego matka wstała  
On też nad niemi — we łzach — serdecznej goryczy  
Siedzi i do krzyżących fal tę skargę krzyczy:

„O Matko, o Bogini rządząca tą wodą!  
Oto ja syn twój, umrzeć przeznaczony młodo,  
Pod takim smętnym losom miałem przecie prawo  
Żywoć mieć krótki, ale otoczony sławą...  
I patrz, co ze mną czynią Bogowie — co czyni  
Ciskacz gromu — patrz, matko moja, o Bogini!  
Tak-że to dotrzymuje Jowisz obietnicy?  
Otom zhańbion wydarciem miłej niewolnicy,  
Zelżony przez Atryda, pod obelgą jęczę...”

Słyszy to biała Tetys, gdzie w podwodne tęcza  
Zanurzona w pałacach boga Oceana,  
Słyszy i z fal wytryska tak niespodziewana,  
Jak widmo z mgły; do syna po fali przybiega,  
Pyta o troskę — prosi — miłośnie nalega.

„Zwierz mi się, mów, bożku przesrebrnego lica!  
Ja matka — ja najlepsza twoja powiernica.“  
Na to Achil westchnawszy: — „Wiadomo ci pewnie  
Wszystko wiedzącej Boży, Olimpu królownie,  
Ześmy tu przyptywając z naszą grecką flotą,  
Zdobyli gród Apolla jasny — Tebę złotą,  
Skąd zdobył krwią żołnierzy i Greków czerwoną  
Była równo pomiędzy wodze podzielona.  
W tym podziale dla Agi naszego Memnon  
Przypadła, jak powszechna była na to zgoda,  
Najcudniejsza dziewczyna — panna — Chryze młoda,  
Eoskie stworzenie, bogom ulana do miary...  
O to się dziewczę zgłosił ojciec — kapłan stary;  
Z podarunkiem i królów też ufając łascie,  
Kapłan o złotem berło, w laurowej przepasce



Przyszedeł — starzec kurzawą okryty podróżną;  
 Chciał płacić — błagał — jęczał: lecz wszystko napróżno.  
 Choć za nim brat królewski mówił — choć zdaleka  
 Za tym ojcem przemawiał głos każdego Greka;  
 Wszystko napróżno! Atryd był na prośby głuchy...  
 Wtenczas ojciec ów, Boga swojego i duchy  
 Zakląwszy, to uczynił, że Bóg słońca mściwy  
 Szelestem strzał i jękiem powietrznej ościwy  
 W słońcu zaćmionem stanął, i wypuścił morzy.  
 Wnet to odgadli nasze obożne znachory —  
 Wnet kapłan pojął krzywdę Bogom uczynioną.  
 Rósł gwar — ja sam kapłanom stanąłem obroną,  
 Zwołałem radę. — Na niej nasz kapłan proroczy  
 Królowi jego winę prosto oczy w oczy  
 Wypowiedział. Wtenczas to ten monarcha w gniewie  
 Niehamowny, przez ehuci spalony zarzewie,  
 Cóż czyni?... Oto Chryzę oddaje, a za to  
 Bryzeidę, co była moich ran zapłata,  
 Moich namiotów światłem — porywa mi w złości  
 Przeciwko wszelkiej wierze i sprawiedliwości  
 W obliczu Greków!... I gwałt taki krwi nie zrodzi?...  
 O! nie—Ty Matko, której białe skrzydło chodzi  
 Po niebieskich błękitach, gdzie jest gwiazdom droga,  
 Ty leć, ty nieś tę krzywdę syna przed tron Boga!  
 Wszak mi często mówiłaś, że Bóstwo czerwone  
 Piorunami... raz tobie winno swą obronę,  
 Gdy się przeciwko niemu — pod Olimp wysoki  
 Podniosły zbuntowanych aniołów obtoki;  
 Gdy sama Juno pawie skrzydła przeciw Panu,  
 I Duch mądrości — i Bóg straszny Oceanu  
 Podnieśli — zapalone straszną dumą duchy —  
 Gdy szli i Boga chcieli już okuć w łańcuchy;  
 Ty jedna, jeśli dobrze pamiętam... z otchłani,  
 Kędy leżeli twórcy skat spiorunowani,  
 Wywołałaś straszycło dawno niewidziane,  
 Sturęczne, Bryjarejem na Olimpie zwane,  
 U nas zaś Egeonem... i duchów potopem  
 Pochwycony tron Boga, onymto Cyklopem  
 Podparłaś. Sam się Neptun cofnął przed tym entopem,  
 Sama Juno — gdy on przez obłok różnotęczny

Zaczął swój ruch okropny, wichrowy, sturęczny, (1)  
 Cofnęła się — ukorzył się wnet Olimp cały,  
 Duchy się zlekły, Boga jednego wyznały,  
 Łańcuchy upuściły... To, matko, z zapalem  
 Powtórz, klęcząc przed Boga wielkim trybunałem;  
 Tą usługą — u kolan Boga położoną —  
 Skrusz go! niechaj na Greki spojrzy brwią zmarszczoną,  
 Niech ja uciśnie!... Niech się gnącymi widzą!  
 Niech sobie tego króla, sprawcę nieszczęść, zbrzydzą!  
 Niech go samego wreszcie przymusi niedola  
 Spuścić głowę nad smętnią przegranego pola!  
 Niechaj krwawe — żalobne myśli go przymuszają  
 Wyznać się względem ducha mego — niższym duszą!...  
 Na to Tetys: — „O! dziecię moje nieszczęśliwe,  
 Rzekła, a mówiąc, z oczu sypała łzy żywe,  
 Perły oceanowe — bogdajbym ja była  
 Nigdy cię przeciw sądom losów nie rodziła!...  
 Bo i krótko żyć tobie! i żyć taki smutek!...  
 Albo przynajmniej, gdyby jakikolwiek skutek  
 Miały matki pacierzo — a ty był na wojnę  
 Nie przyjechał, lecz w kraju życie wiódł spokojne,  
 Ani się znalazł pod tym strasznym Ilionem,  
 Gdzie każda prawie chwila tobie grozi zgonem!...  
 A teraz — cóż ja mogę?... To jedno, uboga  
 Matka, że twe modlitwy zaniosę przed Boga,  
 Że dotrę do samego Jowisza na tronie;  
 A ty, synu—nic nie czyń! czekaj, stój na stronie!...  
 Jowisz teraz z Bogami odszedł nieba stropów,  
 I udał się na ucztę — aż do Etyjopów,  
 Aż na kraniec ostatni gorącego świata,  
 Gdzie zwykle na dwanaście dni co roku lata  
 I widzialnie z duchami między ludźmi gości  
 Dla niesłychanej tego ludu niewinności,  
 W której się dziwnie kocha... Czekaj więc, aż z onych  
 Puszcz złotych—ludów czarnych—granitów czerwonych  
 Bogi wrócą na śnieżną Olimpu fortecę,

(1) Ruch ducha, który broni Bóstwa, straszniej-  
 y w silach, niż Morze i Powietrze, Neptun i Juno.  
 (P. Ant.)

A wtenczas ja z prośbami twojemi polecę,  
I one Jowiszowi samemu przełożę.“

To rzekłszy, odstąpiła cokolwiek na morze  
Piękna Tetys — na miejsce skąd wyblęśta była,  
I w otwarte się fale zielone wrzuciła;  
A one ją wieńcami kąpiącego śniegu  
Zarzuciły. Sam Achil został się na brzegu  
Zropaczony — —

Tymczasem Ulisses przybywa  
Do Chryzy — dna złotego kotwicą zarywa,  
Zagle powiązać każe; potem ofiar stada /  
Wychodzą na brzeg — Chryzys ostatnia wysiada,  
Wygnanek — w swo rodzinne wraca okolice...  
Sam Ulisses przedudną prowadzi dziewicę —  
Prosto z nią do świątyni Feba... gdzie ją stawia  
Przed ojcem i w te słowa do starca przemawia:

„Witaj, święty kapłanie! w kościół poświęcony  
Wchodzę jako suplikant od Atryda strony.  
Nietylkoć bez okupu dziewczę twoje hoże  
Wracam — ofiarę jeszcze na ołtarz przywożę.  
Bóg daj, aby się anioł tem ubłagał biały  
A przestał na nas ciskać morowymi strzały.“

Rzekł; a ojciec przyciskał już dziewczeczkę oną  
Próżno odszukiwaną, boleśnie straconą —  
Rozradowany. Greki zaś już ołtarz święty  
Otoczyli tłustymi byki i skopięty,  
Na ręce zlali wody przeczyste, lastralne,  
Przygotowali słone placki ubłagalne,  
Kapłan nareszcie w strasznej wystąpił powadze,  
Wzniósł ręce i niebieskie tak upraszał władzę:

„Boże srebrnego łuka! o ty, który złotą  
Cyllę napełniasz twoją świecą istotą,  
A na Tenedu fali zachodzisz i wracasz  
I wyspę moją Chryzę cudownie ozłacasz:  
Jeśli się to starego kapłana obraży  
Mściłeś, o Panie, takiej rozsianiem zarazy:  
Bądźże mu teraz łaskaw, gdy twój łaski szuka,  
Prosząc za ludźmi, a spuść twą cięciwę z łuka.“

Tak Chryzes prosił — wnet go usłuchał Apollo.  
Tymczasem Greki zboże pomieszane z solą  
Sypią owdzie, gdzie rogi nosi byk wspaniały;

Bydła głowy podnoszą, rzną — i tną w kawały,  
Ze skóry łupią, cząstki najlepsze z łopatek  
Oczyszczone, w słoniny srebrny liść i kwiatek  
Ubrano, bogom święcą — składają na stronie;  
Kapłan staje nad ogniem świętym, wznosi dłonie,  
Poświęca Bogu jadło woniące — ofiarne,  
Obrzędy święte pełni — wino leje czarne;  
Ogień za modlitwami w niebo czyste goni,  
W około młodź w złożone instrumenta dzwoni.  
A gdy się zadość stało przez człowieka ręce  
I ogień, gdy łopatki i wnętrza bydłęce  
Poszły ofiarą bogom będącym daleko,  
Resztę mięsiwa Greki rozdzielają — pieką,  
Na stołach kładą, równo między sobą dzielą;  
Syca głód — potem winem swe duchy weselą.  
Stokroć czara obchodzi młodzieńców gromadę  
I wraca. Pieśń nareszcie zakończy biesiadę.  
Już słońce zaszło w mroczne, mgliste oceany,  
A oni jeszcze ciągną długie swe peany  
I wyciągają długie, smętne nuty z ducha —  
Brzmi powietrze, Apollo przyzwala — i słucha.

Tę noc przy łodziach spali; lecz skoro różana  
Jutrzenka nad błękitny boga Oceana  
Rozsypała swe róże, oni ze dniem wstają,  
Zagle podnoszą — wiążą — łódź czyszczą, zmywają,  
Wiatr pomyślny napełnia zagle i wydyma —  
Płyną — morze przed łodzią grzmi, pieni się, żyłma,  
Nareszcie już Tenedos piaszczysty i złoty  
Widzą i pomieszane z łodziami namioty.  
Przybijają do brzegu — wyciągają nawę  
Na piasek — sami idą zdać z poselstwa sprawę;  
Weszli w obóz, z gwarą się pomieszali zgrają...  
W Pelidzie zaś okropne gniewy nie ustają.  
Pod namiotami swymi beczynny się kładzie,  
Ani go w boju widać, ani też na radzie.  
Żuje zemstę — na wiatr zeń idzie próżno siła,  
Mgła go ognistych, czarnych duchów otoczyła...



Ani niedźwiedź — pasterskiej przestrasz okolicy,  
 Nie dmie się tak, jak próżni ludzie — śmiertelnicy.  
 Ale nad ludzi rodzaj gorzej się napusza —  
 Bóg widzi — to potomstwo nędzne Panteusza,  
 Wczoraj jeszcze zgładziłem i zmiotłem ze świata  
 Temuto samochwalcy rodzonego brata;  
 Wczoraj Hyperenora te skrwawione dłonie  
 Wydarły żywotowi i ojcu i żonie;  
 A ty równego losu cheesz, próżna istoto?  
 Ha! jeśli tak, to dobrze, idź w Stygijskie błoto!  
 Idź — albo mi się celem nie stawiaj na oku  
 I mądry — póki pora — uchroni się wyrok!

## II.

## Z PIEŚNI XVII.

(od wiersza 1—131).

Gdy tak trup Patroklusa zabity na ziemi  
 Pomiędzy zwyczajnymi leżał umarłymi,  
 Menelaj — pierwszy serce poczuwszy, przypada  
 Staje przy trupie, tarczą złotą go zakłada,  
 Broni, a kopią w rękę miedzianą pobrząka.  
 Tak łani zabitego gdy widzi jelonka,  
 Matka biedna — przybiega i łzami go rosi,  
 Pyszczykiem dzieciątko swoje rusza i podnosi;  
 Podobnież i on — gdzie nań grad pocisków leci,  
 Stoi — i przy tym trupie, tarczą kraglą świecci.  
 Wtenczas syn Panteusza — ów co sławnie strzela —  
 I z trupa i z wiernego zwłokom przyjacielu  
 Urągowisko czyniąc, wybiega i mówi:  
 „Słuchaj! jeśli być nie chcesz podobny trupowi.  
 Ty coś starał strażnikiem umarłego ciała,  
 Precz stąd! Jam zabił — Dla mnie z niego łup i chwala.  
 W Menelaju się na to złość zagotowała,  
 Wzgarda wytrysła, podniósł do Jowisza dłonie,  
 „O! jak ty się tam musisz, krzyknął, śmiać na tronie!  
 Ty Boże na piorunach siedzący czerwonych,  
 Ilekroć się tu ludzko chępią z dzieł kradzionych.  
 Lew w mocy taką dumą na kudłach nie wzbiera,  
 Ani się tak najeża skacząca pantera,

Na to Euforb: „Strasznymiś mi przypomniał słowy,  
 Że mi za krew braterską trzeba twojej głowy  
 Ze ojca ona memu i brata się wdowie  
 Należy... Walcz, a sami osądzą Bogowie,  
 Któremu z nas fortuna zostanie i sława!  
 To mówiąc, cisnął włócznią. Ale ta niekrwawa  
 Po puklerzu wydawszy brząk, na dół złościła.  
 Atrydowi Jowiszem ojcem pierś nabrzmiła,  
 Uderzył — w gardło trafił — od razu zabija.  
 Świeci się wielką raną przewiercona szyja —  
 Wali się na wznak ciało — z mosiężnymi grzmoty  
 Upada — we krwi swej włos rozsypuje złoty,  
 Kamionkami i złotą przetykany nicią —  
 Włos, który wodne nimfy z ulotną kibicią  
 Prawie mogłyby za swój wpleść w perłę korony —  
 Teraz na ziemi — w prochu i we krwi zbroczony!..  
 Tak w pięknej okolicy, gdzie oliwne drzewko  
 Tańcem listków i kwiatów i ptaszecą śpiewką  
 Wesołe — na błękitach jak wymalowane  
 Stało, od źródeł w ciągłą zieloność ubrane —  
 Wtem wionął wiatr z północy — a oliwka ona  
 Leży odarta z liści i wykorzeniona;  
 Już nie ozdoba, ale gościńca zawada...  
 Tak właśnie Euforb. Atryd ku niemu przypada,  
 Zbroję zdziera — podnosi w górę — dumą płonie,  
 Pierzchają przed nim ludzi szeregi i konie,  
 Pierzchają, jako kiedy z gór królewskie zwierzę,  
 Lew, schodzi — to zmykają przed nim psy — pasterce,

A on zwaliwszy wołu — łapami przytłoczy  
 I spokojnie w nim swoje białe zęby broczy  
 I tak bezpiecznie swoją zatrudnion zdobyczą,  
 Ani dba, że pasterze, psy i echa krzyczą. —  
 Wtenczasto już Apollo sam ujrzał, że pora  
 Pobudzić duchy — choćby samego Hektora.  
 Postać więc wzięwszy na się Hektorowi znaną  
 Menteja, stanął zdala mgłą wymalowaną,  
 Niby ów wódz Cykończyk, i krzyknął z daleka:  
 „Nie złowisz woza, który przed tobą ucieka,  
 Ani dogonisz z wiatru urodzone konie,  
 Przyzwyczajone jeno pod Achilla dłonie  
 Kark schylać. Próżno biegasz przez polne błękity!  
 Tu wróć — Troja pierzchnęła — Euforbisz zabity,  
 Euforbisz — pełny ognia — zabity na wieki —  
 Spartańczyk zabił — patrzaj, tryunafują Greki!“

To rzekłszy bóg, ulotnił swe mgły piękne, blade  
 I wmięszął się w rycerzy walczących gromadę.  
 Ale w ucho ścigacza Achillowych koni  
 Smętnie i przeraźliwie ten głos boga dzwoni. —  
 Spojrzał, jednem spojrzeniem obleciawszy, zoczył  
 Euforba ciała, który na piasku się broczył;  
 Spartańczyka, że zbroją zeń obdarta błyskał,  
 Widząc, rzucił się — Trojan szeregi pościskał.  
 Ogrzmiał głosem — jak Wulkan z nimi szedł, i szalał  
 I, wiódł i ogniem całe szeregi zapalał.

Na głos Hektora Atryd wielki podniósł głowę  
 I taką z sobą samym rozpoczął rozmowę:

„Mamże teraz odbieżeć podłe tego ciała,  
 Które tu za mnie ta śmierć nieszczęsna spotkała?  
 Mamże ścierpieć, że z mego przyjaciela zbroję  
 Zedrą? czy wziąć na siebie Hektora i Troję?..  
 Nie byłoby to — gdybym tak poczynął sobie —  
 Kusić Bogi, w Hektora stojące osobie?  
 Wszak zabić go nie w moim to stoi wyroku:  
 Przebac mi więc, o Grecyo, jeśli cofnę kroku  
 Ja, com się w boju teraz zmęczył i zadyszał...  
 Gdybym przynajmniej gdzie głos Ajaxa usłyszał,

Gdybym go gdzie wynalazł! Snadniejbyśmy razem  
 Obronili to ciało miedzią i żelazem  
 I Achillowym smętnym trupa łzom oddali“...  
 Rzekł; a już czas go naglił — Troja naksztat fali  
 Szła — Hektor sam na czele, za nim zbrojna tłuszcza.  
 Co widząc Atryd, ciało Patrokla opuszcza,  
 Cofa się walcząc. Tak lew z rozognioną skronią,  
 Gdy go krzykiem, strzelaniem od ścierwa odgonią,  
 Ucieka — ale oczy straszne w ludzi wraża,  
 Obraca niemi — strachem goniące przeraża.  
 Tak on... aż swe Spartany spotkawszy, na nowo  
 Postawił pierś ku wrogom — w krąg obrócił głową,  
 Przez chmurę pyłu ujrzał, jak wyniosłe drzewo  
 Boską postać Ajaxa, szeregom na lewo  
 Stojącą, ociemnioną strachem, krwią zmazaną,  
 Pierś jego, która Grekom dzisiaj była ścianą,  
 Odwagę, z której ciągle szło w boju natchnienie.  
 Ku niemu król: „Ajaxie, błagam cię na cienie  
 Miłych, trup Patroklusa zastępuję niemy;  
 Chodź, zbawmy go od hańby — więcej nie możemy —  
 Chodź — Achillowi wróćmy przyjaciela zwłokil  
 One tam nagie — we krwi zwalone potoki  
 Pod Hektora nogami i uragowiskiem...  
 Chodź!“ — Odpowiedział na to Ajax oczu błyskiem  
 W serce ruszony. I wnet oba wodze wściekli  
 Przez tłumy się walczących rycerzy przesiekli,  
 Nadchodzą... Hektor trupa już miał włosy krwawe,  
 Już go dać psom trojańskim przysięgał na strawę,  
 Już ciągnął, gdy ogromną tarcz Ajaxa zoczył;  
 Zadrzał — porzucił trupa — na wóz złoty wskoczył  
 I odjechał, a sługi wprzód wyprawił swoje,  
 By do miasta odnieśli Achillea zbroję.



Słabszy — mdleję. Niech będzie los, niech Troja kon  
A ty zdejm ze mnie twoje ogniste ramiona.“

Rzekł; i znowu ogniewi będący zdobyczą  
Zajęczał; wrą ukropy, fale kipią, syczą.  
Tak ogień, gdy miechami ofiarnymi wzmaga  
Otoczy pełny wody i tłustości sagan,  
Obwija go tysiącem jasnych, złotych węży,  
Jęczy sagan, wytryska para — w dymach cięży:  
Podobnie woda ogniem Wulkana dotknięta  
Huczy, wytryska, staje, zdębia się cofnięta,  
Aż nie widząc ratunku sobie z żadnej strony,  
Ozwała się do boskiej powietrznej Junony:

„O Saturnina żono — ze łzami powiada,  
Dla czego twój syn na mnie taki wściekły wpada?  
Przeciwko innym Bogom niech używa siły!  
Jeśli chce, niech ma z Troi gruzy i mogiły!  
Ja się poddam pod twoje rozkazy książęce,  
Lecz każ, niech zdejmie ze mnie te ogniste ręce!  
Jeśli nie wierzysz, słuchaj duchowej przysięgi:  
Niech Ilijon otoczą te pożarne kręgi,  
Niechaj wieżom porobią warkocze i włosy!  
Ja się temu nie oprę; choć Bóg — uczczę losy.“

Ta prośba tak Junony poruszyła serce,  
Że zaraz ognistego wstrzymała mordercę.  
„Stój, rzekła; za śmiertelnych ty nie walcz, archaniół,  
Przeciwko archaniółom!“ — Ogień zaraz stanął  
A fale w spokojniejsze powróciły życie  
I znów słodko zagrały w mrużącym korycie.

Gdy tak Junony wola uśmierza rozłogi,  
Więszym gniewem na siebie szły duchowe bogi,  
Wściekłością zapalone na siebie wzajemno.  
Wichrzą się — na Eterze od wzburzonych ciemno,  
Pod ciemnością posępnym chmury biją grzotem.  
Dalej ziemia grobowym odtętnia łoskotem,  
Walka pełna zawiehru, huku i płomieni —  
Jowisz patrzy z góry i twarzy nie mieni,  
Puszcza los, a tymczasem drzewce piorunową

### III.

#### Z PIEŚNI XXI.)

(od wiersza 342—396).

Zaraz ją wysłuchawszy, duch elementarny  
Błysnął złotym płomieniem, dym wyrzucił czarny,  
Biegnie, zapala trupy — zwiędnięte wywędza,  
Wodę w wrątek zamienia, w koryto odpędza;  
A jako pod jesiennym Boreasza tchnieniem  
Srebrzą się pola letnim spalone płomieniem,  
Podobnie grunt się szary i kośćciami biały  
Świecił w ogniu, już cały żałośnie zwiędniały.  
Prędko po trzcinach płomień chwytą się, przelata,  
Rzekę jakoby w pierścień ognisty oplata;  
Drzewa się popalone węglem, prochem wala,  
Lilije wędną — czarne tamarynty pała,  
Cyprys w piramidalne zamienia się zgłiszcze.  
Ogniem dotknięta woda burzy się, wre, świszczco  
Zajmuje się płomieniem... w roztworzone płuca  
Ryba chwytą powietrze, z wody się wyrzuca —  
Znów nurtuje i zimna szuka w ciemnej skale  
I wywrócona, brzuchem wychodzi na fale.  
Aż nareszcie duch rzeki sitowianą głowę  
Podniósł, spojrzął ogniewi w oczy, schwytał mowę  
Razem z krótkim oddechem i rzekł: „Ognia Boże!  
Któż twoim płomienistym skrzydłom dotrzeć może?

Podniósł straszny bóg bitew — na wojny królowę.

„Coć, rzekł, szalona wiedźmo, do tego powiodło,  
Ześ między Bogi nawet wniosła twoje godło?  
Jestże to dziw, że twoim odurzony szalem  
Człowiek na Boga godził mieczem i postrzałem?  
O Tydeuszu mówię, który mi za wroga  
Stanął i zaczerwienił dzidę we krwi Boga...“

.....

BENIOWSKI.

CIĄG DALSZY.

Z wydania pośmiertnego.



## PIEŚŃ VI

### I.

Widzieliście Pana Sawę  
Pośród Stepów ze Swentyną...  
Burzanami szyki płyną  
Jak brąz czarne, słońcem krwawe,  
I proporce wieją złote  
I czerwone z Archaniołem...  
Przyjechali po przed grootę,  
Wyszli z tłumu dwaj lirnicy,  
Uderzyli Sawie czołem,  
Uśmiechnęli do dziewicy...

— „Bóg nam ciebie bohaterą  
Niechaj chowa po wsze czasy!  
Przysłał tobie pan Kozyra,  
Hetman Siczy... pułk kozacki,  
Szczob ty z Rusią szedł w zapasy,  
Hulał jak syn hajdamacki...”

• • • • •  
• • • • •

### II.

Przybył więc Sawio gdzieś z po nad Limanó  
kureń kozacki, i wnet się przed grootę  
Rozłożył; sotkę zawiesił saganów.

Ogień zapłonął piramidą złotą.  
Tysiąc spis, tysiąc szabel, jataganów,  
Łyska na słońcu; lecz jakaś tęsknota  
Zafarbowane niebiosa nad niemi.  
I także jakaś tęsknota na ziemi.

Lirnicy siedli na wyższym kamieniu,  
Bajda i Znachor — lecz nie dzwonią w liry;  
Konie się włóczą i szukają cieniu,  
Wysokich orłów dolatują skwiry.  
Swentyna stoi przy jednym płomieniu,  
Rzęsami oczu nakryła szafiry —  
Duma... jak kwiaty w pól zwiędłe jesienne;  
Na jej ramionach dwa gołębie senna

Wszystko ponure; choć blizka wyprawa,  
Choć pójdać biec się — śnią, nie wiedzą sami  
O czem... Na szabli oparty pan Sawa  
Rozmawia cicho, ważnie — ze starcami.  
„Gdzież nas powiedziesz? — mówią — to rzecz krwawa  
Biec się z naszymi braćmi rzeźniami!  
Co za nagroda? co za przyszłość nasza?  
Wiszniowieckiego pomnij Jeremiasza!

„Oj! ta mogiła kiedyś się otworzy,  
Gdzie zasnął stary kat, i miecz wykinie;  
Na naszych głowach ten się miecz położy  
I nasza, znowu krwią gorącą spłynie.  
Gdy wychodziły pulki, to na zorzy  
Cztery świeciły słońca w Ukrainie  
Pozadnieprzańskie! — wojna będzie krwawa,  
A tobie w głowie co? — grób, czy buława?

„Jeśli mogiła... to dobrze! — pójdziemy,  
Z janzerek hukniemy Lachom i z moździerzy;  
My chcemy ginać z tobą — i biec chcemy,  
Każdemu serce w pałazie uderzył  
Mieczami tobie kurhan wykopiemy,  
Jeśli chcesz spać, jak wódz, co we krwi leży.  
Lecz może lepiej krwawej czekać doby,  
A tobie przyjdzie kłaść... na ziemi groby ;

„Z mohyły na mohyły, taj zalecisz  
Aż na hetmaństwo! — Ej, podumaj Sawa!  
Komu ty szabłą pod okiem zaświecisz,  
Ten na trybunał nie pójdzie do prawa;  
Rozkaż — a pożar ty taki zaniecisz,  
Ze go zobaczy z okien aż Warszawa!  
Stepowy ty król! — Tutaj na kolano  
Kłęknał, i z ognia dobywszy polano.

Podał je Sawie; gdy z żarzącej główki  
Szły iskry, mruknął: „Weź, niech Lachy giną  
Słyszac, jak byli kozacy wymowni,  
Sawa z samotną poszeptał Swentyną;  
Ta szła do groty zaraz, i z lodowni,  
W której Calińskich było stare wino,  
Dawny zabytek szlacheckiego mienia,  
Dostała spoić czem głowy Kurenia —

To jest poetów i starszyznę. Potem  
Pozyla osiodłać rumaka Sawynie.  
Grzywę mu białą przeplatała złotem  
Oraz kwiatkami, co na eglantynie  
Kwitną. — Pod żadnym Araba namiotem  
Zaden koń taką lotnością nie słygnie,  
Jak ów koń srebrny Sawy, koń jedyny,  
Zmyslny jak człowiek, drugi brat Swentyny.

Z grzywy mu polno róże pełne rosy  
Spadają, parska jak płomień czerwono;  
Zna różne dźwięki i rozumie głosy,  
Wie, kiedy głowę spuścić zamyśloną.  
Teraz wargami wziął Swentyny włosy  
I niby gryzie, lecz gryzienie ono  
W kolory usta ubrało dziewicze  
I przeszedł przez nią dreszcz. Są tajemniczo

Błyski, szmery krwi, nieznanne szelesty  
W głębi dziewięcnych ciał, i te się budzą  
Bóg wie jak — są to anielskie incesty  
Dusz bratnich. — Ale rymy znów marudzą  
I znów się ze strof tych robią Oresty



Szalone z włosem rozczochranym, z cudzą  
Krwia na obliczu, znów jestem gotowy...  
Lecz wróćmy lepiej nad kureń stepowy.

Potem na konia wskoczył Sawa rzesko,  
Rycerskie bardzo zamysławiając czyny...  
A był pod nieba otchłania niebieską  
Jako archanioł Michał, Ukrainy  
Patron — choć młody — z powagą królewską  
Przemówił do tej kozackiej starszyny  
Tak dobrze, że miał echo w setnych głosach  
I widział w szablach stop — jak w złotych kłosach...

PIEŚŃ VII

Nie wy, Cheruby, co mieczo z łuczywa  
Macie, z papieru złotego przyłbice,  
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa,  
I wami sławy wysokiej kaplice  
Oszyldwachuje... przed tym, co się wrywa  
Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice,  
Nie wy, brytany, wejścia mi broniecie!  
Ja jestem gwiazdą życia — co o świecie

Skapana w krwawej jutrzence wychodzi  
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,  
Gdy ja zagasnę.—Duch w cierpieniach rodzi  
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały!  
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi  
W najwyższe czoła alpejskie i skały.  
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie  
I śnić to, o czym śnie... niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura  
Dla serc stroskanych cisza; tu ja czerpię

Ogień i maczam w ogniu orle pióra;  
Tu na księżycu rumianego sierpie  
Piękności dawnych nieśmiertelna córka  
Rozwidnia oczy me, a kiedy cierpię,  
Przeszłości dawnej cień na szczycie skalnym  
Stawia i czyni przedemną widzialnym.

Tak widzieliście próchnem wysrebrzone  
Dębów umarłych wnętrza — i kaplice,  
Rumaki białe w polach wystrzelone —  
Kozaków — księży — szlachtę i dziewice.  
Ariost by patrzył sam na te szalone  
Miłostki, boje, szturmy, nawałnice,  
Rycerzy przy kielichu i w podróży,  
Którym za całą czar — fantazyja służy.

Zaczarowanych palm tu nie ma wcale;  
Dęby i sosny i brzozy rodzime  
Odbite w stawów podolskich kryształe  
Reprezentują mi nową Solimę.  
Z krzyżami złotych miast i wież nie wale,  
Dla prawdy nagiej sensu nie mam estymę,  
Do rymu nigdy nigdy nie naginam,  
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

Więc Mnemozyno, pomóż... niech przypomne,  
Gdzie mój bohater został? — Rzecz nie lada!  
Człowiek, co takie podróże ogromne  
Odył, ten musi jeździć jak ballada  
Na upiorowym koniu: siodło skromne,  
Dwie kości na krzyż, a tam gdzie się siada,  
Mała czaszeczka ludzka, co wyszczerza  
Oczy błyszczące, jak żar, z pod rycerza.

Siodła dziś takie w modzie, oraz z czaszek  
Robione w modzie są puhary;  
Ja sam się złowię raz dajem jak ptaszek  
I pijem z trupiej głowy tokaj stary;  
O czym tak wiele już było baraszek,  
Ze... dalej, pani Muzo — okulary

Tęczowe włóż mi na nos; niech wypatrze  
Znów bohatera mego na teatrze

Wypadków. — Szekspir mówi, że to życie  
Scenicznym bardzo jest podobne zmianom;  
Bóg, jako wielki widz, siedzi w błękicie;  
Sufferstwo dawnym zostawił kurhanom.  
Mimo to jednak jest bardzo obficie  
Złych dram... a pierwsze role, dane panom,  
Najgorsze! — smętną uderzeni stała,  
Bez żadnej rzymskiej gracyi z nog się wała.

I gdyby u nóg kochanek, wpatrzeni  
W oczy błękitne albo w czarne oczy,  
Rzucali duszę swą pełną płomieni  
Zharfy westchnieniom--Lecz nie... czerw ich toczy!  
Śmierć ich zastaje w szambelańskiej sieni  
W zielonym fraku!... czasem ich przeskoczy  
W biegu tańcząca królowa szkieletów,  
Takie zrobili niskie progi z grzbietów!

Ale czas wrócić już i do porządku  
Przywołać rymy, chodzące samopas;  
Poemat mój szedł tak dobrze z początku,  
Kiedy był głodny — teraz, kiedy popas  
Zdaje się, że mu znów zabrakło wątku.  
Kaźda z tych moich strof jak bładny topaz  
Oszlifowany w różne kostki rymu...  
Lecz muszę z panem Beniowskim do Krymu.

Gdzieżem zostawił go? — Tak! przy księżycu  
Ujrzał rycerzy błędnych koczowisko;  
Zbroja błyszczała na jednym szlachcicu —  
Zbyt rzadkie na ten już wiek widowisko.  
Beniowski z miłym uśmiechem na licu,  
Widząc, że kuchnia była bardzo blisko,  
Zsiadł z konia i rzekł: — Czy wolno zapytać  
Kogo mam honor i przyjemność witać?

Na to pancernik gruby, lecz ostrożny  
Jak Litwin: — A Wać kto sam, Mości Panie?

— Jestem Beniowski, rzekł, patrząc na rożny  
Rycerz. — Tu drugi rozpoczął śpiewanie  
Opowiadając, że się zwie Wielmożny  
Borejsza, że ma wielkie zachowanie  
U Radziwiłła i wieś do przeżycia  
I bardzo grzmiącą w Litwie stawę — z picia.

Dodał, że posłem jest, do Krymu jedzie  
Zaprosić Khana w całe sto tysięcy  
Tatarów, wrzкомо tylko na niedźwiedzie,  
Tylko na białe niedźwiedzie, nic więcej  
W tym sensie książę Karol po obiedzie  
Ręki swej własnej mordując książęcej,  
Napisał list do Khana, w najdziwniejsze  
Esy... i z listem wyprawił Borejszę.

Przydał mu także Tatara z pod Waki,  
Syna jednego Mołły, na tłomacza.  
Są to od dawna zagnieżdżone ptaki  
W Litwie: lud prosty, lecz jeszcze oracza  
Pozłota wschodnia trzyma się — i znaki,  
Które na twarzach rycerstwo wytłacza,  
Widome dotąd, z wieśniaczego lica  
Błysna, jak krzywych mieczów błyskawica.

Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary.  
To nieraz stanie i w dźwięk się zasłucha;  
Sosny mu wtenczas szumią, jak sztandary.  
A chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha  
Mahometańskich wojsk pędzone mary,  
Idą na północ; a gdy kosa krucha,  
Osełką tarta, na puszcę zabrzęczy —  
Allach! il Alach! z puszczy, jak echo jęczy.

W Tatarze wtenczas jak w ognistym ptaku  
Pała się oczy — stepy przypomina  
I słone jakieś jeziora Kipeczaku,  
O których tylko wieś z ojca do syna  
Przeszła po mglistym i tęczowym szlaku,  
Który nad głową ludu już zaozyna



Gasnąć i zorzę zdejmować różaną —  
Aż w ciemnej nocy — bez pamiątek wstaną.

To wtenczas próżno już śród mogił pola  
Głupim poetom budzić lutnię smętną;  
Zostawić lepiej ją skrzydłom Eola,  
Nieprzewidziane z niej dobędzie tętno;  
Lub skowronkowa ją przyszłości rola  
Zaspiewa pieśnią dziwną, nienamiętną  
I tak spokojna, jak wiośniane szmery,  
I tak wysoka, jak grające sfery.

Taką pieśń dziwnej do smutku podniety  
Śpiewają czarny modrzew z czarnym cisem,  
Tuląc skrzydłami wygnańce. Meczety  
I groby z dawnym koranu napisem,  
Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,  
Jakby wstawały na sąd przed Eblisem,  
Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,  
O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.

W powietrzu smętny półksiężyc blaszany  
Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,  
Za grobowcami prosząc, co z pod ściany  
Meczetu, jako pochodnie jarzące  
Pała się ogniem do Pana nad Pany,  
O jego życiu i ranach i męce  
I o tem, jako z ludzi był najkrwawszy,  
Pierwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy.

Każda tych liter nieznanomych zgłoska  
Zda się w ten kamień coraz głębiej wrywać.  
Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,  
Że umiem serca zranione odkrywać:  
Ty na ten księżyc, który się tak troska  
O groby swoje, musisz przylatywać  
I w ogniu zorzy, jak róża Jerycho,  
Na tym meczecie smętym kwitnąć cicho

Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,  
Nad muzudmańskim cmentarzem ty stoisz

I słuchasz sosen smętnego hałasu,  
A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,  
Aż groby życia płaczące i czasu  
Ty spokojnością swoją uspokoisz,  
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,  
Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów.

Przy jednym z takich cmentarzy syn mołły,  
Pan Abdulewicz Hamet się wychował.  
Potem go ojciec dał, by pańskie stoły  
Nakrywał, pańskie kolana całował.  
Młodzieniec wyszedł z Radziwiłła szkoły  
Jak flet przedęty; dzikie serce schował  
Głęboko w piersi przed szlacheckim gminem;  
Pierś — Radziwiłła nakrył karmazynem.

I myślał, że już jako kuropatwa,  
Gdy głowę w śniegu pochowa i oczy,  
Myśli, że już ją pies ani też dziatwa,  
Idąc z podjazdem, nie dojrzy, przeskoczy;  
Tymczasem w śniegu skryć się rzecz niełatwa,  
Ani też rybie w lodowej przezroczy  
Znaleźć schronienie przed rybaka ością,  
Ni wśród pijaków ukryć się — z miłością.

Łatwiej wulkanom wybuchnąć na morzu  
I znowu cicho stać pod falną skałą;  
Łatwiej kwitnąć różom na bezdrożu  
Niebiosom liście i woń oddać całą,  
Niżli na pańskim pijackim przydworzu  
Przed ludźmi miłość jasną i nieśmiałą  
Ukryć! Tem bardziej tę strofę zaostrzę,  
Mówiąc, że w księcia się zakochał siostrz...

.....  
O! ileż razy, ognisty proroku  
Boga, śród twoich wielbłądów kłęczących,  
Z księżycem srebrnym w rozgorzałem oku,  
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących  
Wychodził krwawy par nakształt obfoku

I szedł po stepie... Królu konających,  
Wiara twa odlatuje i zostawi  
Hymn taki smutny, jak echo żórawi!

Wkrótce Słowianin z twoich wież postrąca  
Śpiewaki, Boga śpiewające imię;  
Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,  
Na piersiach twoich odalisk zadrżmie.  
Na falach twoich twoja flota drżąca  
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;  
Chciałaby zakryć twoje piersi całe  
Spróchniałym żaglem — królestwo spróchniało.

Próżno — o próżno! rany tajemnicze  
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;  
Twoje mi śmiercią już blade oblicze  
Umarłych moich ojców przypomniało  
I tę godzinę, gdy byli pod bicze  
Dani, jak Chrystus... i gdy w nich konało  
Serce... i gorszą jeszcze, niż skonanie,  
Tę—gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,  
Co się nad tobą teraz rozpostarła,  
Zabłądzonemu w twoich palm zaciszę  
Serceś mi wzięła, moje łzy wydarła!  
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,  
I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,  
Ani się podłem ułęknięciem spodlisz,  
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki — a w pustyni  
Pod namiotami kiedyś Arab stary  
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,  
Twe księżycowa śpiewając sztandary,  
Gdy z wiatrem nieśli je Salahedyni  
Przeciwno złotym krzyżom innej wiary.  
Araby ogień obsiedą stepowy  
I będą słuchać, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,

Które od wieków nie zmieniły chodu  
I są dla ludów rodzonych, jak znaki,  
I takie same po zgonie narodu.  
Tymczasem płomyk wstający z kulbaki  
Palcami gasi olbrzymi król lodu —  
I gaśnie państwo białego księżycyca,  
Jak w poemacie *Dziadło* druga świeca.

Pieśń moja gaśnie także, z tej posępnej  
Barwy nie mogąc wyjść na blaski świtu;  
Smutek ma w sobie tyle siły wstępnej,  
Ze coraz wyżej w krainy błękitu  
Prowadzi — a więc do pieśni następnej  
Odsyłam wszystkich ciekawych pobytu  
Ambasadorów moich wśród meczetów  
I gór, co mają wszystkie kształt sonetów.

Więc tu, kochany czytelniku, chciej się  
Zatrzymać nieco, odpocząć wraz ze mną.  
Jeśli wesoły jesteś — z ludzi śmieję się;  
Jeżeliś smutny, wiedz, że się daremno  
Smucisz. Gotuj się być na Kikinejsie  
I Czatyrdachu; w noc zupełnie ciemną  
Samego z moją Muzą cię zostawię,  
Jeśli przyrzeczesz, że... (żałuję prawie,

Zem wyrzekł) jeśli przyrzeczesz na cienie  
Ojców, że... zresztą, jako chcesz: dość stara,  
I panna!... zaraz mówi o hymenie,  
Za gorsem kontrakt ma ślubny; Ikara  
Złowiłaby za skrzydła i sumienie;  
Zaraz się pyta, jaki twój ród, wiara,  
Majątek... i wnet łączy się akordem;  
Mówią, że już raz była za milordem.

Tak mówi *Dziennik Narodowy*; — przeczę!  
Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewczicą!  
Nawet zaręczam.. Lecz oczyma piecze,  
A głowę nosi swą pod błyskawicą.



Dlatego chociaż mnie przed ołtarz wlecze,  
Wolę w ciemności żyć, niż z taką świecą  
Usque ad mortem... kirielejson kiriel!  
Nie żonę mieć przy sobie — lecz Walkiryę.

### P I E Ś Ń VIII.

Jak zajęchali me ambasadorzy  
Do Krymu, nie wiem; ale pan Borejsza  
Mówił, że spotkał na stepie upiory,  
Drobie, limany, a rzecz najdziwniejsza,  
Z bodiaków wielkich i kolących bory,  
Od których puszcza białowiejska mniejsza;  
W tej puszczy wielkio skrzydlate połosy  
I ludzie, którzy mają płaskie nosy.

Później to w Litwie o swojej podróży  
Mówiąc, jak Ariost jaki nierymowy,  
Mówił, jak okręt pośród wielkiej burzy  
Płynąc podierał i dopłynął zdrowy.  
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy,  
A zresztą była kobietą, prócz głowy,  
A ogon wielki, gdyby u Sylena —  
Szlachta krzyknęła wnet, że to Syrena!

Na co Borejsza zgodził się — u stołu  
To było — wtenczas wszystko prawdą zda się;  
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu  
Zdusić na wieży, a on się po pasie  
Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu  
Sztukując; potem napomknął w nawiasie  
I od niechcenia, że tej sztuki sztucznej  
Przyczyną był — mąż jeden trzy-buńczuczny

I rogał; bowiem o jedną godzinę  
Spóźnił się ze swą popiołową wieżą.  
Tak mówiac, wino połykał i ślinę,  
Mrugał oczyma: Niechaj mnie uderzą  
Pioruny, jeśli kłamię! — niechaj zginę!

Zakłęcia, którym dziś nie wszyscy wierzą...  
Lecz w owym czasie dobre i bezpieczne  
Śród ludzi, którym już dziś światło wieczne

Przyświeca. — Mówi wszakże pan Trentowski,  
Ze nie należy kłamać... ja tak sądzę;  
I ten poemat drukując bez troski  
O duszę moją, nigdy w nim nie błędę;  
Wszystko jest albo prawda, lub sen boski,  
Przez odemknięte słońcowe wrzeciądze,  
Jak mara z tęczy, z niebios wychodząca  
O cichej porze, przy blasku miesiąca.

Zamykam oczy i widzę i piszę,  
Co widzę. W jednym zrujnowanym khanie,  
Przy którym smutna palma się kołysze,  
I źródło szmerem swym radzi na spanie...  
— Wszystko na wschodzie ma ogromną ciszę,  
Wszystko ze światła złotego ubranie,  
Mury ze złota zdają się, choć glina,  
Są oblepione i grożą ruiną.

Na murach dziwne desenie lekkości  
Przydają wieżom i ruinom wdzięku;  
Wszystko się zdaje ze słońcowej kości  
Ze od nimf było niesione na rękę  
I postawione śród palm zieloności  
Cudownie, śród harf aniołowych dźwięku,  
Jak ta w Lorecie Matki Boskiej skała,  
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

W khanie więc, który dawniej był moskita,  
Dziś khanem (tak się zwie karczma na wschodzie)  
Pod jedną wielką framugą rozbitą.  
Gdzie wierzohem niebo w słonecznej pogodzie,  
Jak turkusowy szlak, albo koryto  
Szkłane, zrobiony wodociągów wodzie,  
Spokojnie płynie nad głową podróżnych;  
Ambasadorzy w kształtach bardzo różnych

Ci leżą, inni siedzą — trzech ich było.

I czas spędzali swój nienajzabawniej;  
 Serce w nich troska, utrapieniem biło,  
 I chleb swój własny jedli najniestrawniej,  
 Polskę czuć było już wtenczas mogiła,  
 Nie przyjmowano już posłów jak dawniej,  
 Lecz jak żebraka albo jak natręta.  
 Witwały małe w ruinach ptaszęta:

Wróbel wesołem witał świergotaniem,  
 Może dlatego, że jadł kiedyś zboże  
 Polskie; jaskółka, że pod stalowaniem  
 Polskiem rodziła się przy jakim dworze;  
 Jeżeli żóraw — to z powinszowaniem  
 Przyleciał, spytać na cudzym ugorze  
 Posłów w podartym chodaku i szacie,  
 I smutnym śpiewem wrzasnął: — jak się macie?

. . . . .

Nie budźcie, niech śpi! — Mówiłem więc w rymie,  
 Jak moje posły w starym siedzą khanie;  
 Borejsza w upał południowy drzémie,  
 Hamet się w ptaszków zasłuchał śpiewanie;  
 Beniowski wielkie zamiary, olbrzymie  
 Buduje w myśli: — dziś ma posłuchanie  
 U Khana Krymu, u Kierym Giraja;  
 Gotuje się więc z mową i zacząja.

Przypomniał sobie wszystkie z retoryki  
 Figury; Khana chce podejść wymową —  
 Przypominając, wyszedł na brzeg dziki,  
 Gdzie słońce było mu nad samą głową.  
 Z dala szum morza i żórawiów krzyki  
 I Bakezysaraj z koroną palmową,  
 Z minaretowym lasem, stał pod górą,  
 Lekką gołębi migocących chmurą

Owiány. — Smutno! o smutno samemu  
 Na morskim brzegu, gdzie się fale kładą,  
 Śpiewając ciągły hymn nieśmiertelnemu,  
 Który pustynie roześwieca bladą

Gorącym słońcem! smutno tam jednemu  
 Z europejskich pamiątek gromada  
 Śród gorącego pustyni kobierca  
 Błądzić z strzaskanem sercem, lub bez serca...

Jednak jest jakaś дума, co podnosi  
 Ozoło północnych ludzi, gdy po świecie  
 Wicher nieszczęścia ich jak liście nosi —  
 Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie  
 Kochany; wiedział, że ktoś Boga prosi  
 Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie  
 Bez śladu, wzięwszy pod swych skrzydeł loty,  
 Jak zwiewa błędne w pustyni namioty.

Wiedział, że w Polsce ktoś pamiętać będzie,  
 Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola  
 Osłania groble; że zawsze i wszędzie  
 Dusze kochanków, jak harfy Eola  
 Albo pod niebem gdzieś, jak dwa łabędzie,  
 Latają razem, choć je smutna dola  
 Rozłącza tu na ziemi i rozgania;  
 Wiedział to, i te wszystkie porównania.

Pełny więc melancholii szedł po brzegu;  
 Wtem ujrzał dziwną rzecz i zbladł na twarzy  
 Patrząc... I mój rym także stanął w biegu,  
 A nim opisze tę rzecz, słowa waży.  
 Niech mi żórawie zabrzmią hymn noclegu,  
 Niech pełny księżyc krwawo się rozzarzy  
 I stanie jedną czerwoną pochodnią  
 Nad widzimy tymi z piekła i tą zbrodnią!

Arabki dwie, w koszulach czarnych, z pod zasłony  
 Patrzące na świat dziko i jaszczurczo,  
 Siedzą na ziemi, jak dwie czarne wrony  
 Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą,  
 Śpiewają dziwnie i dziwnymi tony  
 Albo zakłęcia jakies ciemne burczą,  
 I palą dzikie bladym ogniem zielska.  
 Pomiędzy niemi główeczka anielska.



Główeczka tylko leży, ale żywa;  
 Oczki błękitno w niej ciągle latają.  
 Czasem się z ziemi jak gołąbek zrywa,  
 Złote jej włoski już powietrze kraja  
 Jak dwa skrzydełka; ale rzecz straszliwa,  
 Złękniono złote piórka opadają,  
 Nie mogły podnieść z ziemi białej róży,  
 Która zasypia — i znów oczka mruży.

Anioł lub jakaś nieszczęsna istota  
 Leżała w mocy czarownicy zaklęta;  
 Rzuciły ciągle na nią garści błota,  
 Mogiła z piasku, jak bąbel wydęta  
 Wstawała... z ogni piramida złota  
 Lub jak kręcony miecz, z płomieni kręta  
 Stała z ogromną powagą ogniową  
 Nad Arabkami dwiema i tą głową.

Pan Zbigniew dobył szabli — brzęk żelaza  
 Spłoszył dwa widma czarne, i z wybrzeża  
 Odlatywały żółte jak zaraza,  
 Jakby na skrzydłach czarnych nietoperza;  
 Na piasku żadna nie została zmaza,  
 Tylko ten ogień, jak piekielna wieża,  
 Tylko ta główka leżąca na ziemi  
 Z oczkiem niebieskiem i z koralowymi

Ustami.. Oczki otworzyła, żywa  
 Na Beniowskiego głos; ten leciał z krzykiem  
 Jak rycerz, który do szanca się wrywa,  
 Wołając... polskim wołając językiem:  
 Stójcie! to zemsta jest jakaś straszliwa!  
 To pewnie jaki Basza z sercem dzikiem.  
 Syryjczyk, lub Cyliczyk, lub Natolaki!..  
 Na to krzyknęła główka: — Ach! Pan Polak?

Beniowski stanął i otworzył usta.  
 Gdyby weń piorun uderzył, nie więcej  
 Złakłby się; ale trwoga była pusta,  
 Poznał to zaraz rycerz rajgorecej  
 Zagrzany; wnet mu stanęła Prokusta

W myśli — Medea — Cyrce, jeszcze więcej  
 Kobiet z historii dawnej, starożytnej,  
 I na szabli się oparłszy błękitnej,

Rzekł: Polak jestem... tak, i Podolanin,  
 A ty kto, biedna? — Ja także z Podola,  
 Rzekła; targuje mnie teraz poganin,  
 W haremie ciężka czeka mnie niewola!

.....

Jestem szlachecką córką, dom nasz cały —  
 Może słyszałeś o Gruszczyńskich dworze?  
 Hajdamaki nas w dzień napadli biały,  
 Ojca nie było, my same w komorze  
 Kobiety, kiedy rznęli, my krzyczały,  
 Matkę i babkę i maleńkich — Boże!  
 Nie mogę o tem ja oświecić Pana,  
 Ja patrząc, byłam sparaliżowana.

.....

A jednak biedna lękam się ozdrowieć,  
 Udaję zawsze martwą i kamienną.  
 Oto jest cała moja, Panie, spowiedź.  
 W tem błocie skwarnem leżąc, jestem senną;  
 Od słońca tego lękam się osowieć,  
 Taką ma dla mnie straszną twarz płomienną,  
 A jeszcze gorzej, gdy noc, chociaż zdrowa.  
 Nie śpię .....

Stary turecki jakiś domek trupa  
 Na górach stoi z okrągłą kopułką,  
 Tam jest nademną nietoperzów kupa  
 I gniazda z ciągle piszczącą jaskółką;  
 Na drzewie także coś ciągle kołupa,  
 A okno jedno nad glinianą półką,  
 Gdzie mnie położą, a drzwi zawsze strzegą,  
 Świci księżycem, jak twarz umarłego.

O Panie. ratuj mnie! choćby potrzeba

Samej się bronić, w noc uciekać ciemną...  
Beniowski przerwał: niech ogniste nieba!

Wstawaj Acanna z ziemi i chodź ze mną,  
Znajdziesz schronienie i kawałek chleba,

A ja przybyłem tutaj nie darcemno,  
Jeśli Bóg przez mię sierotę wspomaga...  
Wstawaj! A ona rzekła: jestem naga —

To rzekła cicho i głoskiem dziecięcy;

A rzekłszy, cała się ogniem zażęła,  
I krew, jak jeden za drugim rubiny,  
Po ustkach wstydem rozpalonych biegła;  
Szyja się także stała u dziewczyny

Różaną — ale ziemia reszty strzegła,  
Ziemia ognista, i nie pokazała,  
Czy była cała różana, czy biała.

Beniowski także spłonął, potem zbiegał —

Widać, że szukał w głowie prędkiej rady;  
Oczyma smętny w różne strony strzelał,  
Czuł, że rycerzem był dziwnej ballady.  
Czy grób rozkopać?... Jakby się ośmielał,

Postąpił naprzód, wdaje się w układy  
Z młodzieńczym wstydem, rozważą człowieka;  
Wtem główka wrzasła: Aj! niech Pan ucieka!

Na ten wrzask rycerz obrócił się, patrzy —

Z pospólstwa chmurą leci ktoś na czele;  
Rycerz za pasem miał nabo i na trzy  
Głowy; pomyślał sobie, że nie wiele.

Obejrzał szablę, jak człowiek, co patrzy  
Pierwej na siebie, niż nieprzyjaciele;  
I stanął, patrząc srogo na pohańce —  
Była to chmura kobiet i rzezańce.

Turecki jeden święty, cały nagi

I krzywy, oczów pokazywał białka,  
A w ręku jego była wielkiej wagi  
Sękata z drzewa Darfurskiego pałka:  
Tłum cały sobie dodawał odwagi  
Wrzaskiem; lecz w tłumie tym nie było śmiałka.

Beniowski więc stał z rycerskim wyrazem  
Na twarzy, gotów sice po grzbietach płazem.

Wtem niespodziana rzecz! Gdzie indziej błoto  
Rzucają, albo kamień, lub kartofel  
Chmury — w krainie, gdzie między hołotą  
Zjawi się jaki szary Mefistofel;  
Na wschodzie biała pieć, która jest złota,  
Babusz (tak się zwie czerwony pantofel)  
Zdejmując z pięknej nóżki, i zwycięża  
Pantoflem gacha, lub wroga, lub męża.

Coby powiedział pan Trentowski, który

W swych Aforyzmach ostrzega małżonka,  
Ze każda piękność nowa tej struktury,  
Jakiej Klorynda była Amazonka,  
Chociażby piękną była jak Ahury.

A miała tyle cnót, co Jagiellonka,  
Dla tego właśnie, że jest taka chobra,  
Nie jest na żonę zdalna ani dobra.

Coby powiedział — widząc tę gromadę

Z bocianią czarną na nosie kitajką,  
Z którejby każdą wziąć mógł za Palladę,  
Zwłaszcza, że dzida jest u Niemców fajka!  
Niech mówi, co chce — a ja dalej jadę  
Z tym poematem, powieścią czy bajką  
I w miniaturze ten bój, jak Izabej,  
Dam — lecz z szacunkiem zawsze dla pici słabej.

Więc, jak mówiłem, już chmura babuszów

Czerwonych nagle zaćmiła powietrze;  
Świstać zaczęły smutnie koło uszów  
Jak afrykański tuman, gdy się zetrze  
Z tumanem. Naksztalt pierwszych karteluszków  
Pantofle naprzód przyleciały lepsze,  
Potem ze starych nóg, ciężkie, schodzone,  
Podbite ćwiekiem, żółte i czerwone.

Jak bomby w ogniu rozgrzane, lub w burzy,  
Z wulkanów głązy, lub aerolity.



Gdyby z kochanek nóg — listkami róży  
 Takimi chciałbym być nawet zabity;  
 Jeden mi taki teraz trzewik służy  
 Za lampę; płomień wspomnień w nim ukryty  
 Gore.. w różowym ujęty atlasie,  
 A tak małeńki jest, jak oko w asie.

O! gdyby takie, z listków róż robione  
 Sylfów trzewiczki padały mu w oczy..  
 Pewnie by krzyknął: niech w różach utone,  
 Niech mnie nakryją, niech mnie blask zamroczy!  
 Ale ogromne babusze czerwone,  
 Jak ogień albo grad, co żyto tłoczy,  
 Albo pioruny z alpejskich obłoków,  
 Albo też chmura latających smoków,

Z dołu i z góry krzyżują się, lecą —  
 Świata nie widać, słońce nawet ćmi się.  
 Próżno w nim gniewy się gorące nieca,  
 Zęby o zęby zgrzytają tygrysie;  
 Zamyka oczy — one ciągle miecą  
 Ten grad, za którym wszystko w oczach mgli się;  
 Zrazu się wahał — potem się ośmielił  
 I z pistoletu na wiatr w górę strzelił.

„Jaki wstyd będzie, krzyczy, gdy Giaurowi,  
 Co widział Khana małżonkę w kąpieli,  
 Zostaną oczy we łbie! Co Khan powie?  
 Jak się z was będą małżonkowie śmieli!  
 Ranioną babę święty wnet uzdrowi;  
 Ja dam na tytoń.“ — 'Tu blask karabeli  
 Mignął mu w oczach; uderzony płazem  
 Padł okręcony jak węzem — żelazem.

Taka w niej była giętkość, w owej szabl.  
 Którą Beniowski przypasał do boku.  
 Więc naksztalt korabli,  
 Złamał się rycerz śród szarego tłoku:  
 Aż uczył coś we włosach naksztalt grabli

I coś kociego razem uczył w oku,  
 I coś cięższego obciążało łokcie —  
 Były to ręce kobiet — i paznokcie...

Reszta tej walki i rycerza wzięcie  
 Nie opisano jest w mojej kronice;  
 Sądzę, że gdyby nie miał być na wstępie  
 Rąbać pałaszem takie czarownice,  
 Byłby zwyciężył. Więc na dyjamoncie  
 Ryć tę szlachetność lwia! Jeśli krytyce  
 Jaki bok słaby tu w tych rymach podam,  
 To odwołuję się wnet zaraz do dam.

Niech sądzą, niech się litują, niech płaczą,  
 Niech utyskują na los, piszą treny;  
 Niech ten kawałek paznokciem naznaczą  
 I odczytują w dzień słoty, migreny.  
 A pewnie same sobie wytłomacza,  
 Dla czego dał się wziąć przez te Syreny;  
 I rzekną: ach nieszczęsny — to go broni,  
 Ze na tę biedną pleć nie podniósł dłoni!

Tak, to go broni — bo ja mam ważniejsze  
 Rzeczy i muszę rzucić bez obrony;  
 A sam do Khana prowadzę Borejszą,  
 Lutnię na wyższe nastroiwszy tony.

Rycerza mego wzięciem... kropki kładę,  
 A sam Borejszy śpiewam ambasadę.

Khan krymski Kierym Giraj, jak cytryna  
 Żółty... wasy miał długie jak sum, kare,  
 Ciało na szyi jak czerwona glina,  
 A oczu kocich, jasnych, takich parę,  
 Jak u tygrysa — dobry starowina,  
 Ale o luńczuk bardzo dbał i wiarcę;  
 Ministra także miał przy swoim boku,  
 Oba siedzieli jak duchy — w obłoku.

Rzeklibyś, że Pluton z brodatym Charonem

Siedzą i palą tytoń—w środku sali  
Rozkwitła fajka wywróconym dzwonem.  
Jak kocioł, gdzie się dusz tysiące pali.  
Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem  
Do ust im lazły, a oni je ssali,  
Smakując bardzo to, co bursztynową  
Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

Oba siedzieli niby na przydworzu,  
Choć nad głowami wisiała framuga:  
Widać im było i błękit na morzu,  
Gdzie lekkie skiby szły od wiatru pluga:  
Widać meczety, w których to dwurożu  
Dyjamentowo światło wiecznie mruga,  
Jak wiersz Bohdana, gdzie w ciągłym przymusie  
Pała różowy brylant — na turkusie.

Jak turkus bowiem było niebo wschodnie,  
A turkus nawet taki bardzo rzadki.  
Tatary moje siedzą więc wygodnie,  
Nio ściany mając wkoło, ale kratki  
Z drzewa, przez które czasem jak pochodnie  
Łysnęły... oczy panny lub mężatki,  
Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże —  
I usta, czasem nie usta, lecz róże.

Ciekawość taka żonom pozwolona  
Na wschodzie, byle twarz zakryły samę.  
Pokazać czasem wolno trochę łona  
Przez rozciętego wskroś gorsetu bramę —  
Ale twarz zawsze ściśle zasłoniona,  
Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci plamę.  
Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie  
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

U nas trwa jeszcze... nie w kobiecym stroju,  
Lecz w poetycznych szkołach; ale szkoda  
Na swiergocące te wróble naboju.  
Niech katolicka płynie sobie woda!  
Niechaj używa wiersz dawnego kroju!  
Niech epopeję nam pisza z Heroda,

Z biblii całej porobią obrazki  
I o potopie też napisza... skazki!

Co do mnie — wolę Rafaela łoża  
I te sufity, gdzie nad ludzką głową  
Wisi w tęczy blaskach dzieło boże  
A taką sztuką odświeżone nową,  
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,  
Lecz o Jehowie będąc — jest Jehową  
Iskierką Jego treści dotykálną,  
Ludzkiem filarem wspartą i widzialną.

I kiedym w górę spojrział, to przestraczem  
Zdjęty myślałem, że w braku sufitów  
Niebiosą wiszą otwarte nad gmachem  
I te kolumny są bez żadnych szczytów.  
I chciałem myśli tytańskiej zamachem.  
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,  
Gdzie powtórzone wisi boskie dzieło  
I trwa... a nasze co chwila — zginęło.

O tymto cudnie malowanym gipsie  
Mówił Jan święty: że będzie zwinięte —  
Mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie.  
Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte  
A Bóg światowi powie: w gruzy syp się!  
A grobom powie: stójcie odemknijcie!  
A tym sufitom: skrzydłami się nieście  
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina  
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!  
Na tożto przysłał Bóg Atyli syna,  
Aby gitary tam dźwięk taki marny  
Rzucił na wiatry?... a tam jednak glina  
Z Grachów... i z duchów stoi obfok czarny  
Na Koloseum: księżyc je upiększa,  
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowej. Z taką to koroną  
Stoia ruiny, czarne i zębate.



O! prawda, że tam ptaszków pełne łono,  
Ze im powoje stanęły za szatę;  
Ze tam krzyż duma — i gromnice płoną;  
Ze tam, kędy lwom odmykano kratę.  
Dzisiaj (widziałem sam biedny wygnaniec),  
Wypada jakiś księdz, mnich, obłąkaniec--

Rzuca się! pieni, klnie: *i Carbonari*  
Krzyczy, *la gente d'inferno!* i zgrzyta —  
Sam jak hyena jest albo wilk szary,  
Na żar polczy więźnia i wypyta;  
Do domu nakształt dymu albo pary  
Wciśnie się, zyzem tygrysim powita,  
Pieczenie zawsze nadybie gorąca,  
Spowiada panią.. uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli  
I z pyłu lice odsłoni pomnika,  
Z pyłu, co leciał przed wojskiem Atyli,  
Przed kopytami Hunnów, Alaryka  
I nakrył dawne miasto, nim przybyli;  
I jako ten grób, co się sam zamyka,  
Zniknęło, cudzej uchodzące włości  
I utonęło przed mieczem — w przepaści.

Dzisiaj dobyta kolumna niecała  
Pyta się biedna cicho: a co w Rzymie?  
Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?  
Czy macie jakie na grobowcu imię,  
Abym go strzegła ja i nad nim stała,  
Ja, co widziałam mogiły olbrzymie  
I wiem, co dola ludzi niepowrótna,  
I jeszcze po nich jestem dzisiaj — smutna...

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi  
I stawia znowu czołem na gwiazd wianek,  
O mój Bohdanie — ja ci tam posągi  
Pokażę smutne piękniejszych poganek;  
Ja ci pokażę dawne wodociągi,  
Co idą, jako tłum Samarytanek,

Niosąc na głowie dzbany, korowody  
Dzbanów! lecz wszystkie na głowach bez wody...

Choćbyś był jako Chrystus upragniony,  
Pić ci nie dadzą, zostawią u studni;  
Ja ci pokażę od Tybrowej strony  
Rzym, co się myciem swej bielizny trudni,  
A nie trudni się obmyciem korony,  
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni  
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,  
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała.

O miserere! jam go widział z góry  
Et de profundis—wiem, jak widać z grobu!  
Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,  
A w rękę uschły kwiat — z świętego żłobu;  
Nad nim z ognistych smoków lecą chmury,  
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,  
Dominikańskim mieniący się jadem,  
A każda w nim nić—czartem albo gadem.

O mój Bohdanie! pod ten, co się skłębia  
Płaszcz, i sam przez się jest wiecznie ruchawy,  
Ty lecisz z dziwną prostotą gołębia,  
Chciwy napoju — i blasku i strawy...  
I myśli się twój koń trwożą nie zdębiał  
Ześ jest niewinne dziecko — znać z postawy  
Dlatego piecza i strach mi o ciebie,  
Bo ten okropny duch żegnaniem — grzebie...

I byłem mędrszy z żórawi łańcucha,  
Kiedym się zerwał sam i poszedł przodem;  
A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha,  
Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem;  
Ja wtenczas silną różdżką mego ducha,  
Co w środku ma kwiat — choć okryta lodem,  
Zakląłem źródła, tak że w tej potrzebie  
Anioły złote mi dwa dały z siebie.

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta  
Skrzydła fontannom i włos im ubieła.

Wyszły anioły przewodne, bliźnięta,  
 Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;  
 I tę kopułę, która już pęknięta  
 Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,  
 Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem,  
 Abym nie zwałił jej echem i płaczem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,  
 To ją trzymała para jasnolica;  
 Wysokość — z niebios równałem otchłania,  
 Bo ta kopuła — to Alp rówieśnica!  
 Chmury stukają w okna, idąc na nią,  
 I do kościoła wchodzi błyskawica,  
 Za nią pioruny, te nawałnie wodze,  
 Spotkawszy kościół powietrzny — na drodze.

Potem bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,  
 Puszczom i sosnom błądy opowiada:  
 Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,  
 I kościół w chmurach stoi i nie spada —  
 Choć ja i wichry, — moi towarzysze,  
 Ja i me dzieci, piorunów gromada,  
 Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy  
 I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,  
 Tu na piorunach czerwonych przyleci;  
 Marzanny w nim się zagnieżdżą łabędzie  
 I orły będą w czerepie mieć dzieci...  
 — Tak mówi Perun — ja wiem, że zdobędzie  
 Błyskawicami to, co próchnem świeci;  
 Dlatego bronil gmach od zaginięcia  
 I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacz, Cezarów mogiło,  
 I wy, Piotrowych fontan Switezianki,  
 I ty, wisząca na powietrzu bryła,  
 I wy, kolumny, jak Pelejad wianki  
 Stojące w chmurach... i ty, świata sito,  
 Krzyżu pokorny! i wy, dawne szranki,

Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem,  
 Wybaczcie, zem się na was oparł czołem...

Strudzony byłem i smętny — lecz znowu  
 Wielkim popiołem posypawszy ciemie,  
 Znow do mojego powrócę narowu,  
 Do pieśni, ludzi malować i ziemię;  
 Znow do krymskiego pójdę półostrowu,  
 Rycerzy moich posadzić na strzemie  
 I nieść w pożarne Ukrainy łuny  
 Tych, którzy na mój głos powstałi z truny.

### PIEŚŃ DZIEWIĄTA

Więc gdy Borejsza przed czerwonym Khanem  
 Stał: przęgał się naprzód dwa razy  
 I stanął prosty jak drąg przed Dywanem  
 Z tłumaczem, który czekał na rozkazy.  
 Potem się ze swą godnością i mianem  
 Zaprodukował i rzekł te wyrazy,  
 Które w lot muza nieśmiertelna chwyta:  
 „Daj temu psu list księcia — niech przeczyta!”

So mówiąc, papier wydobył z cholewy,  
 I podał ów list dziwny przez tłumacza;  
 Minister, który stał jak anioł lewy,  
 Wziął list i wejrzał weń okiem puhacza.  
 Litery były w nim rajskimi drzewy;  
 Pomalowany był, jak pasmo tkacza,  
 Gdy na czółenka różnych blasków bierze  
 I nicią złotą przerabia szkaplerze.

Dyabełki miasto liter, dziwołagi,  
 Floresy, różnym świecą atramentem;  
 Z tych arabesków były różne ciagi,  
 A list fantazyi był dziwnym odmetem.  
 Książę się Karol pisząc kłął, że ongi



Sam u Sultana z młodu był skrybentem;  
Na słowo szlachta zaręczyła dziarska,  
Ze po turecku pisze — lecz z tatarska.

Ale minister Khana na kulasy  
Spojrzawszy i te dziwne malowidła  
Ujęte w różne klucze i nawiasy,  
Gdzie A chwyciło wielkie B za skrzydła:  
Skreślił na palec wasy dwa jak pasy,  
I twarz mu dziwnie pomarszczona zbrzydła,  
I ząb mu koci zaczął o ząb zgrzytać;  
Na co pan poseł rzekł: — nie umie czytać!

Ani przypuścił, by Pan na Nieświeżu  
Nie umiał pisać: czekał więc responsy.  
Wtem przyniesiono wielki pılan ryżu;  
Minister kręcił papier — a Khan wasy.  
W Krymie nie śpieszą się tak, jak w Paryżu;  
Gardzą tam słowa prędkimi i plasy;  
Wypadkom bożym otworzona brama,  
Rzecz każda robi się... aż zrobi sama.

Tymczasem ludzie jedzą ryż, sorbety  
Piją, i palą czarny tytoń dżebel;  
U pasa noszą złote amulety,  
Świat uważają ten za smutny szczebel  
Do nieba. W myślach nie grzebią jak krety,  
Pod katolicki też nie biorą hebel  
Mądrości; lubią wiersze pełne słońca  
I poematy trwające bez końca.

Wniesiono więc ryż i przyszły śpiewaki;  
A pan Borejsza do Abdulewicza:  
To polityki wielkie te sobaki!  
Nie chcą od razu nam trzasnąć, jak z bicia;  
Co odpowiedzieć, myślą, na list taki.  
Ja zaś z mojego pokażę oblicza,  
Ze nie dbam o nich; lecz proszę Acana,  
Wyzwij odemnie ich na próbę dzbana.

Jeśli nie szelmy i nie knują zdrady,

Niech w wino zajrzy ta wásata mordal!  
Zwyciężonemu ja podam układy,  
Do mnie należeć będzie złota Orda:  
Ochrzczę psów, będą chrzcili całe gromady,  
A potem wprawię do polskiego korda,  
Potem i haracz na tych psów nałożę.  
Wyzwij — bo gotów jestem wypić morze.

A że, jak sędzę, ten pies niepozorny  
Nie ma u siebie takiego kielicha,  
Jakim jest stawny kielich mój klasztorny,  
Który raz tylko był przez skórę mnicha  
Wypit aż do dna... łajdak był pokorny,  
Ale to była tylko skryta pycha,  
Bo zadrwił ze mnie, a z jego obrotów  
Widać, że wypić piwnicę był gotów —

Jeśli więc taki kielich nie istnieje  
W państwie, które zjesz można jak piernika,  
Niechaj w ten kocioł wgrzyna naleje  
(Wskazał na lulkę) — sędzę, że zamyka  
Trzy garnce... nie upoi... lecz rozgrzeje...  
Cóż Waópan czekasz? czy mnie masz za ówika?  
Wyzwij! — że niosę mu bój, już zobaczył,  
A Waópan jesteś na to, byś tkómaczył

Jak to wyzwanie w tatarskim języku  
Brzmiało, ja nie wiem; musiało nieść trwogę.  
Khan chwilę siedział jak na wężowniku,  
Gryzł wasy — nogę założył na nogę;  
Potem na Galiun spojrział, jak do krzyku  
Otworzył usta i rzekł: — Pić nie mogę.  
Samby Saladyn, Omar ni Hilderim  
Nie wypił takiej beczki — Allah Kerim!

W Koranie także stoi, że człek spity  
Jest jak na ludzi waląca się wieża,  
Albo wieprz skórą Adama przykryty,  
Lub miecz, co w oczy ojcowskie uderza.  
Więc ten pies wartby zostać wnet ubity  
Na miązgę w głębi wielkiego mózdzierza

Który w Stambule stoi — gdzie Salamon  
Nasz Sultán, tłucze Muftych jak cynamon.

Alo ja Giaurów, psów min belud, Lachy  
Oszczędzam jeszcze z wielkiej wspaniałości  
I wziętem nawet ich pod moje pachy,  
By nie zginęli: — więc nawet z litości  
Zagram z tym starym mopsem w święte szachy;  
Albo niechaj się tu jak pies umości  
I z jednej lulki piersi poi własne,  
A tak się spije, jak pies... nim ja zasnę. —

Tu klasnął: czarny zaraz wszedł rzezaniec  
I galiun szarym nasypał haszyszem.  
Litwin wyzwany rzekł: — Tylko pohaniec  
Pies dysem poi — musi być hołyszem!  
Niechno przyjedzie do mnie ten za.....  
Ja go z ministrem jego towarzyszem  
Tak spoję kiedyś, krupników gorących  
Dawszy, że nawet tych psów ochrzczę śpiących.

A teraz będę palić, co on pali.  
Choćby piekielny tytoń był, nie spoi.  
To mówiąc, usiadł; cybuch mu podali —  
W środku już szysze zapalone stoi.  
Tymczasem Hamet wzrok wodzi po sali,  
Coś mu się w oczach miga, coś się roi,  
Jakieś wspomnienia, których się sam wzdzi:  
To, o czem w Litwie roił — teraz widzi.

Przez złoto kratki zajrzał do ogrodu,  
Stamtąd go miła, cicha woń zawiewa;  
Kwietnego na twarz coś zachwycił chłodu,  
Usłyszał — coś mu jak w dzieciństwie śpiewa,  
Coś szumi, jak pieśń własnego narodu.  
Ujrzał fontanny, jak trzy srebrne drzewa  
Stojące cicho między zielonymi,  
Zda mu się, że on kiedyś spał pod niemi.

Może złudzenie duszy, którą zdala  
Piękność ojczyzny czarodziejstwem wabi,

W czar zaprowadzi i wyjść nie pozwala,  
Jak gąsienicę całą ojedwabi  
Tęczami. — Spojrzał: księżyc się zapala  
Na Czatyrdachu, i źrenicę słabi  
Ogromnym kręgiem, w którym nieco róży.  
Jakby zjawisko nowe, taki duży.

Witaj mi, gwiazdo! właśnie w tej altanie,  
Którą buduję z duchów i rycerzy,  
Twoje mi srebrne potrzebne błyskanie;  
Czasem twój promień jako miecz uderzy  
I przez zieloność do nimf się dostanie  
Alabastrowych; nawet do tej wieży,  
Gdzie śpi Danae, oczki mrużąc ładne,  
Nawet tam deszczem strof lunę i wpadnę.

O! świeć, księżycu! bo mi czas z rycerzem  
Do Polski wrócić, do rycerskich szyków,  
I moje orle pisklę odziać pierzem.  
Więc wam opowiem z dawnych pamiętników,  
Jak mu cud przyszedł w pomoc nad wybrzeżem  
Euxynu, i z rąk wydobyl Krymczyków.  
O uwolnieniu jego z rąk Tatarek  
Z ambony ludziom powiedział ksiądz Marek.

.....

Ut videbitis. — Jak pięknie owiewa  
Woń cudów młodość mego bohatera!  
Anieli patrzą przez palmowe drzewa,  
Jego więzienie w blaski się ubiera,  
Hymn Betlejemski nad głowami śpiewa,  
Z duchów się złotych wiąże jakaś lira  
Pod sklepieniami i blask bursztynowy.  
W tym blasku róże, światełka i głowy.

Był to sen tylko — ale nie zepsuta,  
Wraca młodości krew sny takie daje.  
Pan Zbigniew leżał w jednym Marabuta  
Grobowcu. — Wschodnie przebiegając kraje,  
Kiedy mnie noga wielbłądów niekuta



Niosła w piekielne stępy albo raje,  
Stałem na noc raz w grobie, i dobrze  
Spałem na martwych pościeli i ziobrze.

Była to wielka w żywocie pociecha  
Zasnąć, a jeszcze większa, wstać o wschodzie  
I otrząść włosy senne z prochu Szecha  
I zostawić go w mogilnej gospodzie,  
Nie dawszy mu za nocleg nic — prócz echa  
Z tej pieśni, w obcym dalekim narodzie  
Śpiewanej. — Ludzie z księżycową twarzą  
W mogiłach swoich wschodnich gospodarzą.

Przyjmują na noc smętne wędrowniki,  
Czasem przez wieczne nakażą zapisy  
Karmić ptaszęta — skąd są ciągle krzyki  
Wróblów, i ciągle pełne ziarna misy  
I ciągle różom miłosne słowiki  
Na cmentarzowe latają cyprysy,  
I ciągle szpaki po grobach gawędzą  
O trupach, którzy karmią i nie spędzą.

Lubiłem widzieć takie gospodarstwa  
Umarłych, szpaków podsłuchać rozmowy,  
I słyszeć różne ich o zmarłych łągarstwa,  
Bo pochlebiają; a posepne sowy,  
Grobów latarnie, senatory carstwa,  
Z grobów posepne pokazują głowy  
I zegarowe, wielkie, krągłe lice  
I oczy, co się pała, jak dwie świece.

W mogiłce Szecha — był to grób osobny  
Na górach, z białą kopułą glinianą —  
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny  
Do męczennika, bowiem go związano;  
A nad nim śpiewał nocy ptak żalobny  
Smutniejszy jeszcze, bo śpiewał za ścianą.  
Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę,  
Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy za pałac. Jej ogromne liście

Ciągle po głowie grobowca łopocą;  
Ptak umiłował ją sercem ogniście  
I nie opuszczał nigdy, nawet nocą.  
W grobie podwójne także było wniście  
I dwie izdebki; w jednej się szamocą  
Owe Tatarki strzegące dziewczyny,  
W drugiej Beniowski skropowany, siny,

Sam jeden leży na glinie i wzdycha,  
Któż mu w nieszczęściu srogiem dopomoże?  
Nad nim okropna zemsta, zemsta mnicha!  
Pod nim umarły! Wspomnił o upiorze,  
Potem (weselszą myślą myśl odpycha)  
O tej dziewczynie, co w drugiej komorze  
Leży i rączki może białe poda,  
Lecz ma rumatvzm w rękach — jaka szkoda!

W kamień członeczki białe Bóg zastudził;  
Chociażby chciała wstać i przyjść — nie wstanie,  
Chociażby wstała, toby się obudził  
Pop, lub Tatarki wiedmy. Chryste Paniol  
Także Cię rycerz mej powieści znudził,  
Ześ mu dał rozpacz, grobowe postanie,  
Więzy na rękach, łzę, co się nie leje,  
I odebrałeś w grobowcu nadzieję?

A jeszcze gorzej: jakiś gorączkowy  
Sen przyszedł, zamknął gorące zrenice;  
Czarne Arabki postawił u głowy,  
Ubrał je w brody jako czarownice,  
Zamiast warkocza z włosów, dał węzowy,  
Zamiast paznokci, ubrał tygrysyco  
W ohydno i krwią kapiące pazury,  
Zęby przemienił w kły, zawoje w chmury.

Stały nad nim, pierś mu obnażyły:  
Chce krzyczeć... głos mu stanął w gardle kołem;  
Chciał westchnąć — w sercu pękły wszystkie żyły,  
Chciał zgrzytnąć — usta zawiane popiołem;  
Wszystkie uczucia ludzkie ma — prócz sity...  
Leży, z widmami strasznymi nad czołem

Gdyby już uczuł wreszcie ból serdeczny —  
Lecz że strach tylko ma, i zda się wieczny,

Do omdlenia przychodzi. A owe  
Wiedmy do siebie szeptały: On słyszy...  
Odrąbamy jemu, rzekły, mieczem głowę  
I posłuchajmy, jak krew pluska w ciszy.  
A druga rzekła: Mam krupy perłowe  
I dorzucimy nieco szarych myszy,  
I masła nam da jaki kat przekupnik  
I da nam sadła z psów — zrobimy krupnik...

Beniowski styszał, czarne gospodynie  
Jak naradzały się, i uczuł zimno  
W kościach. Wtem jedna rzekła: Mam naczynie,  
Alo jak zrobię tę rzecz... mury hrymnał  
Czekaj; czoło mu językiem poślinię  
I zrobię nasz znak nad nim samym i mną...  
W Beniowskim serce aż przez sen zakrzepło,  
Uczuł przy twarzy bowiem twarz i ciepło,

Nareszcie usta — ale o! dziwaczne  
Sny... usta były świeże, miłe, młode.  
Jako dwio wiśnie, co się zdają smaczne,  
Choć okiem tylko rubinową wodę  
Pijesz. — O ustach więc tych śpiewać zaczęę  
I wejde z niemi poeta w ugode,  
Aby za wiersz mój lotny bezrozumnie  
Tak obudziły mnie tu — albo w trumnie.

Panny Gruszczyńskiej to były usteczka!...  
Ona w grobowcu leżąc z drugiej strony  
Biedna, w Tatarek rękach jak owieczka,  
Która na wełnie ma już krzyż czerwonny;  
A często jednak zachodziła sprzeczka  
Między leśnymi Idyll Korydony,  
Na której owcy były śmierci krzyże —  
Bo matka często je całując zliże,

I sama nie wie, że swym pocałunkiem  
Od śmierci małe dziecko obroniła

Tak właśnie dziwnym to było trafunkiem,  
A pewnie temu winna ta mogiła,  
Że się przed Matki Boskiej wizerunkiem,  
Przed tęczą swojej myśli pomodliła  
Panna Gruszczyńska, idąc na spoczynek;  
Wtem ją obudził wiatr z niezapominek,

Z róż, z tulipanów, z lili i z bratków,  
I otworzyła na pół senne oczy  
I ujrzała się w zawierusze z kwiatków,  
Które latały w błękitnej przezroczy.  
Srodek powietrza tego był z bławatków,  
W bławatkach był blask od czarnych warkoczy,  
Które przechodząc z jaśni do ciemnoty,  
Brały blask dziwny, rubinowo-złoty.

Twarz także była tej precudnej bieli,  
Co od błękitu także coś pożyca;  
Pod pachą byli skrzydlaci anieli,  
A co dziwniejsza, szata tajemnicza  
Z aniołów tkana — a na karabeli  
Trzymała stopy ta postać dziewicza —  
Stopki tak małe, że z tamtego świata  
Idąc, zapewne nie chodzi — lecz lata.

Przed nią na ziemi niemocą złożona  
Panna Gruszczyńska smętne oczki mruży,  
Jak alabaster, w którym zapalona  
Lampa rzuciła coś blasku, coś róży;  
Wtem święta rzekła do niej: wstań! — a ona  
Uczuła, że jej ruch i życie służy,  
I wnet rączkami, które już nie słabna,  
Zebrała na piersi koszulę jedwabną.

Potem usiadła, a potem ukłękła,  
A potem płakać zaczęła w tym grobie.  
I wnet ta jasność precudowna pękła  
I znikła — sennie podobna osobie.  
Ciemność dziewczętkę klęczącą przelekła,  
Nie prędko światło ujrzała przy sobie —



Był to kagańczyk, który tam szczęśliwie  
Płonał w żelaznej czarce — knot w oliwie.

Wziąwszy więc lampę, wyszła; księżyc w górze  
Świecił, lecz zdało się małej dziewczynce,  
Ze księżyc émiły fijołki i róże,  
Rzucając nań blask i pył albo sińce;  
W powietrzu czuła dziwną kwiatów burzę,  
Widziała różne tęczowe gościńce,  
Po których odszedł pewnie anioł biały;  
Potem ujrzała dwie Arabki — spały!

Ohydna ich twarz — bowiem te upiorki  
Miały zasłonę na czole i brodzie,  
A po nosach szły z koralów paciorki  
I dwie zasłony te trzymały w zgodzie.  
Musiały pływać po wierzchu jak korki  
Te czarownice, pławione na wodzie;  
Musiały latać jako nietopérze,  
Wziąwszy pod siodło łopaty lub krzyże.

Lecz teraz spały, chrapiąc głośno obie,  
A tak ohydnie chrapiąc i śmiertelnie,  
Tak się pazurem jedna w udo skrobie,  
A druga przez sen tak szczeka piekielnie,  
Że panna, światło trzymając przy sobie,  
Paluszkami je ostoniła szczerlnie  
I stała—srebrna dziewczyna w lazurze,  
Już nie kaganiec niosąc, ale róże.

Nagle ją strach wziął, obróciła twarzy  
I do grobowca szła nazad powoli,  
Jak smętna dusza, co się na to skarży,  
Ze wrócić musi do smętnej topoli  
I grobowcowi ciała być na straży,  
Aż ją pokuta albo czas wyzwoli  
I znów odesła w światy przedstworzenia,  
Gdzie wyrastają znów dusze z płomienia.

Szła więc pod swoje sklezione framugi  
I schyliwszy się weszła. Już mówiłem.

Że w tym grobowcu był katakomb drugi,  
Gdzie krwią okryty i potem i pyłem  
Mój rycerz leżał na ziemi, jak długi.  
Szczęściem, że lampy mojej nie zgasiłem,  
Prowadząc moje biedne dziewczę ciche  
Do tego grobu po nocy, jak Psyche.

Od lampy płomyk tak się nad nią schyla,  
Tak się od knota w powietrzu odrywa,  
Jak duch miłości na skrzydłach motyla,  
Piękniejszy wtenczas, kiedy dogorywa  
Kiedy ostatnia w nim zachwytu chwila  
Płomieniem buchnie — piękna i straszliwa  
I nad kochanki czołem się rozwinię  
Jak płomyk, potem uleci — i zginie—

Tak weszła, światło w zmierzch ulatujące  
Niosąc nad głową — potem go spostrzegła...  
O! jakie wtenczas jej modły gorące!  
Jak krew po żyłach szafirowych biegła!  
Chciała go zbudzić, więc usta płożące  
Na czole jemu kładąc, sama legła  
I ją więzy rozwiązywać duszkiem,  
Ustami mówiąc mu: cytl — i paluszkkiem.

On też obudził się — lecz patrzcie chłopca!  
Zaraz zrozumiał, że to nie z jasełek  
Jaki aniołek, ani z mogił kopca  
Duch, chociaż stała z koroną swiatełek.  
Twarz ta i postać nie była mu obca;  
Leżał więc cicho, a ona perełek  
Ząbków bielutkich jak szczurek używa  
I przegryzione na pół więzy zrywa.

Już wolny!... wstaje, otrząsa się z prochu,  
Ona z kagańcem złotym naprzód leci;  
Oboje wyszli z grobowego lochu.  
Tatarki chrapią, księżyc srebrny świeci...  
O! pomóż ty mi, Dante, i ty, Włochu  
Z Sorentu... dwoje tych różanych dzieci

Przez tę parowy wieść okropne, sine,  
Tam, na błękitną jak niebo dolinę...

Olbrzymie skały zastępują drogę,  
Tam nagle potok jęknie i zaszczeka;  
Świat taki dziki naprzód wziął pod nogę  
Jehowa, wprzód nim postawił człowieka,  
Dawszy stworzonym skałom na załogę  
Węże, co lały się ze skał, jak rzeka,  
I po dolinach, gdzie szła noga boża,  
Ze swych błękitnych ciał czyniły morza.

Wystawcie sobie w tym świecie połosów  
Duszki dwie, które czekały na ciało,  
A jeszcze słońca się trzymały włosów,  
Aby nie upaść na świat, co był skałą,  
Węży królestwem i bezładem ciosów,  
Gdzie od świstania wielkich gadzin grzmiało;  
Wystawcie sobie, że nad tym odłogiem  
Te duszki drżące dwie idą za Bogiem:

A obaczycie moją smętną parę  
Po skałach wianą wietrznymi poloty.  
Wszystko lub białe jak kość, albo szare;  
Zdaleka wiszą czarno wielkie groty.  
Gdzie pastuch Tatar śpiewa pieśni stare,  
I trzody hecza, i na księżyc złoty  
Szczekają głośno psy, -- potoków fale  
Huczą — i płaczą w dolinach szakale.

Jak zarzynane dzieci przez Heroda,  
Szakale płaczą—psom jakby na sprzeczkę.  
Beniowski zbiega z gór, jak srebrna woda  
Na ręce już wziął zmęczoną dziewczeczkę;  
Czasem mu powój kwietny ręce poda,  
Czasem i ona pomoże troszeczkę,  
Oczkami skalne przeszywszy obłedy  
I mówiąc jemu cicho: idź Pan tędy.

Tę skałę się Pan, mówi, obejść staraj —  
Tu mnie puść — sama ten potok przeskoczę —

Ostrożnie, mówi, tu mi nierozparaj  
Koszulki o cierń (było to przezrocze  
Jedwabne). Nagle wrzała: Bakeczysaraj!  
Puść mię! — Zwinęła na czole warkocze  
Koszulę także poprawiła z letka —  
Jeszcze dziewczyna mała, już kokietka!

Do miasta wchodząc, myślała o stroju;  
Przyszły jej na myśl jakieś myśli grzeczne  
Miejskie — a miasto było w świetł roju,  
I różne wieńce nad niem jak słoneczne  
Wisiały — różne z tatarskiego łożu  
Ramazanowe lampy i świąteczne,  
Z różnych szkieleń różnie na niebie świecące,  
Jak wieńce z kwiatów na szafir łące.

Bo Minarety, co je w niebo niosły,  
Tak były lekkie, jakby owe kwiaty  
Bez żadnych łodyg i pni same rosły  
Albo latały; a tak był bogaty  
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły  
I odwracały się na bledsze światy,  
Na morze, co swój włos jak owca wełni  
I srebrem błyska, lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie,  
Minaret, jakby jaki anioł smętny,  
Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie,  
Tem miłszy oczom, że nie był natrętny.  
Beniowski widząc, jak powietrze płonie,  
Jak miasto gwary różnymi i tętny  
Spokojność nocy lazuruwej miesza,  
Jak motyl nocny w blask i brzęk pośpiesza.

Wpada w ulice gliną i rogożą  
Sklepione. Pełno świecących sklepików;  
Osiołki gości po ulicach wożą,  
Radosnych pełno tłumów i okrzyków.  
Strzeż się! bo zdepcą i w błocie położą,  
Gdzie pełno leży zgubionych trzewików..



Rzekłbyś, że pod tą żydowską hołotą  
Drogim krwawnikiem brukowane błoto.

Rycerz z dziewczeczką ani się ogląda.  
Leci a dziewczę swe zasłania nłode;  
Niekiedy spotka wielkiego wielbłąda,  
Wschodnich ubogich krajów woziwodę,  
Okręt pustyni — jako strus wygląda,  
Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę  
Przyjdzie i stanie, to skórzane boki  
Leją fontanny dwie i dwa rynsztoki.

Czasami wielkim robrontem skrzydłata  
(Bowień kobiety wschodnie chcą być grube)  
Leci ogromna czarna trumna, chata,  
Jak okręt, co ma parę albo śrubę  
Ukrytą wewnątrz i blisko przelata;  
Ujrzałeś tylko widmo, czarną szubę,  
Oczy świecące przez dwa białe kołka,  
Na dole głowę i ogon — osiołka.

Z jedwabnym ciebie minęła szelestem,  
Oczyrna tylko łysnęła — lecz okiem  
Już myślisz, że cię spytała: kto jestem?  
Już myślisz, że to Wenus pod obłokiem,  
Że to jest ogień, który pod azbestem,  
Pod niespaloną szubą i szlafrokiem  
Płonie — i z drogi cię cnoty oddali,  
A jeśli dotkniesz go, na popiół spali...

Jednak... częstokroć tak nie jest! Rendez-vous  
Gdzieś na cmentarzu dane — dyable myli  
Cyprysowemu ją zostawiasz drzewu  
Cieszyć — i klniesz wiatr, co szubę odchyli  
Lecz wtenczas tyle jest wschodniego gniewu  
Taki jest wybuch, że dla krotoczwili  
Wrócisz i ogień hamujesz powoli.  
Dalibóg, Muza moja znów swawoli!

Gawędzi — a wiem, żeście już ciekawi,  
Dlaczego miasto illuminowane

I co mój rycerz, lecąc gniewny, sprawi?  
Więc tu, ponieważ ta pieśń długa, stanę.  
A gdy Apollo mi pobłogostawi,  
Znów nowe laury zasadzę różane,  
Których mi powieść dostarczy szlachetna.  
Dosyć — bo strofa to już blisko setna.

P I E Ś Ń X.

Kto widział tylko swój dach i swój kurnik  
I swoje grzędy i swoją parafią,  
Ten nie wie, co czuć może awanturnik,  
Kiedy go różne losu gromy trafiają;  
Kiedy poduszka czasem ma jaszczurnik —  
Dziś wodę pije, a jutro ratafią.  
Ta strofa bardzo szanowna i prosta  
Przetłómaczona dosłownie z Ariosta.

Dant także, drugi poeta epiczny,  
Mówi: O! szczęśny, szczęśny co się rodzi  
I nigdy w życiu za obręb graniczny  
Swoich zegarów miejskich nie wychodzi!  
W tym wierszu słychać dźwięk melancholiczny  
Rodzinnej wieży, który starce wodzi  
W około domu... piastunki sposobem  
I nie pozwala oddalić się — grobem.

Ale kto zawsze chodził tak, zda mi się  
Na starca dobry, lecz na czytelnika  
Zły bardzo; w oczach mu książeczka ćmi się,  
Nie doczytawszy strof, często zamyka.  
O różach jemu mówisz i cyprysie —  
Woli w družbartu zagrać albo w ćwika.  
Patrz, jaki los był biednego Torkwata:  
Ledwo gdzie o nim wie dom albo chata.

Dziś jeszcze jego głos harmonią szklaną  
Slizga się, jako Syrena tęczęwowa,  
Po złotym płacząc kanale Orfano

W ciemnym szpitalu wyjęczano słowa.  
•Lecz moje... i tych dźwięków nie dostaną.  
I czas je w długim grobowcu pochowa...  
Więc — a więc piszmy, niech rym będzie świeży!  
Reszta od Boga i ludzi zależy.

Beniowski więc mój, przebiwszy się w tłumie,  
Dopadł pałacu, drzwi stały otworem;  
Wschód się w pałacach zamykać nie umie,  
Lecz dwór jest karczmą, a karczma jest dworem.  
Więc obłąkany trochę na rozumie  
Nocną przeprawą, i sennym upiorem  
Zmęczony, pełny rozpacz i troski —  
Wpadł do pałacu Khana pan Beniowski.

Za rękę trzymał dziewczynę obłąka  
Wstydu rumieńcem, lecz nadzwyczaj ładną;  
Spojrzał — Khan siedział na sofie pod ścianą,  
Przy nim ministrowie, co lud drą i kradną,  
A czasem z brody gęstej coś dostaną  
I wcale tego na paznokć nie kładną.  
Ale puszczają wolno i z uśmiechem,  
Bowie zabijać rzecz żywą — jest grzechem.

Ministrowie stali w kaftanach z czerwieni,  
Na wszystkich twarzach była dziwna radość;  
Świątał tysiące, woń drogich korzeni,  
I wszystkim ludzkim zmysłom było zadość.  
Almeje także, te córki płomieni,  
W szat przezroczystych osłonięte błądzą,  
Tańczą przy fontan lazurowych chłodzie  
Blisko, a drugie daleko w ogrodzie.

Zda się, że ciągle się roją i rodzą  
Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe  
Przez rozwidnione aleje przechodzą,  
Lecąc przez słońca różnokolorowe.  
W tych słońcach giną smętne, z tych się płodzą  
I szybkim tańcem zawracają głowę:  
Królowa tańca, młodzianka dziewczyna,  
Płóc miała żółto-ciemną, jak cytryna,

Włosy jak węgiel czarne, Indyjanka!  
• Oczy jak dwoje czarnej kawy ziarek,  
Na głowie nakształt kręconego wianka  
Koronę, z chińskich jajek i latarek;  
Zmęczona, tańca szybkiego sułtanka,  
Siadła na czarnym Khanie, jak kanarek,  
A Khan małeńkie złote brał khiryje,  
Na twarz przylepił spotniałą i szyję.

Muzyka także grała; muzykanci  
Na różnokwietnej siedzieli rogoży  
U drzwi, i grali okropne drabanty.  
Zachowując się z taktem jak najgorzej —  
Piekielne jakieś muzykalne Danty,  
Na których ucho się dziś moje sroży...  
Pomiędzy nimi siedział muzyk dworu,  
Który w urzędzie był — turbator choru.

Więc śpiewał — przy nim siedział cymbalista  
Przy cymbaliście siedział bardzo blisko  
Skrzypak, a raczej Orfeusz lutnista  
Z wielką glinianą ostrunioną miską,  
Na której szczytał struny nakształt Lista,  
Wysoko biorąc ton, a potem nisko;  
Trzeci — co bardzo mały efekt czyni  
Na smyczku smyczkiem grał, jak Paganini...

Wszyscy z ogromną artystów powagą,  
Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały  
Muzykami jest jak Mojżesza plaga  
Skarany — Włochy od rulad zgłupiały,  
Europa także z polityczną wagą  
Rusza się na głos lutni, nakształt skały —  
Po bizatyńsku swoje ciało kruszy  
I serca wiodną w niej, a kwitną uszy.

Ten wzięwszy opium zapału — dopóki •  
Włoch kastrat krzyczy: o patriai w ruladach —  
Czuje się w sercu bohaterem sztuki.



Radby w podziemnych być zaraz naradach  
 I wnet jak wulkan rzucić w górę bruki  
 I z mieczem jasnym w ręce iść po gadach,  
 Strawiony takim serdecznym pożarem,  
 Jutro znów głupcem jest, nie karbonarem.

Zwłaszcza jeżeli na świecie pochmurno,  
 Klnie świat... i nerwy! O! o! z krakowiaka  
 Zróbcie mi jakie posępne notturno,  
 Z notturna zróbcie coś alla polacca,  
 Bo mi na świecie tym nadzwyczaj durno!  
 Przyszła mi także z poczty cała paka  
 Lirycznych wierszy . . . . .

Chciałbym coś pisać tym niby zachwytem,  
 Co niby z Boga jest; lecz nie pozwala  
 Ta pieśń, która jest koroną i szczytem  
 Awantur krymskich. Potem przyjdzie fala  
 Nowym czerwonym ozłocona świtem,  
 . . . . .  
 Lecz teraz wiersze są śmiechem przesute,  
 Albowiem śpiowam tatarską redutę.

Mimo całego blasku na tym dworze,  
 Gdzie wlatywały tancerki motyle.  
 Czuć było jakąś dzikość straszną; może  
 Mleko i świeże kotlety kobyle...  
 Mleko to stało w ogromnej amforze,  
 Gdzie ametysty, szmaragdy, beryle  
 Migają w różne ogniste kolory,  
 Ale kwas było gorzki czuć z amfory.

Dym także z lulek w kłęby się olbrzymie  
 Mieszał; Beniowski więc wpadłszy do sali,  
 Jak olimpijski bóg, w błękitnym dymie  
 Krył się. Wtem ujrzał w rogu kawał stal...  
 O bogu! poznał, pan Borejsza drzémiel  
 Jak dąb litewski, kiedy się powali,  
 Leżał i w tłumie małych charcie krył się,  
 Które lizały mu twarz — poseł spał się.

Charcieżki małe Khana stoją wkoło,  
 Każda ma pyszczek długi jak gadzinka;  
 Ta liże uszy posła, druga czelo —  
 W mrowisku się zda, uwędzon jak szynka  
 W dymie. W rękę ma jeszcze szablę gołą,  
 Postrzegł się widać, że to była drwinka  
 Ow haszysz; nie chciał więc odwiekać,  
 Wydobył krzywą szablę i chciał siekać

Ale sen, śmierci orat, kochanek mak  
 Ujął go w swoje ramiona. Charcieć  
 Uczuły także coś na twarzy smaku,  
 Więc mu lizały, jak mówiłem, lice.  
 Beniowski, widząc go w takim orszaku,  
 Wziął go i wstrząsnął, jak siana kopiec,  
 Potem o ziemię nim jak beczką trzasnął,  
 Lecz pan Borejsza chrapnął — i znów zasnął.

Wtenczas Beniowski do Khana — po włosku:  
 Jakże to postów przyjmujesz, Giraju?  
 Krzyknął, nad nami śmierć jest jak na włosku!  
 Przylatujemy tu z krwawego kraju!  
 A ty... Khan siedział z cybuchem, jak z wosku,  
 I pół spity był w zachwycenia raju;  
 Więc beknął tylko, zawróciwszy białka  
 W oczach: Il Allachi! stłuc w moździerzu śmiałka!

. . . . .  
 Beniowski szablę chwycił, z rąk Borejszy  
 Wydarł ją, potem zaczął taniec w sali  
 Od kozackiego tancerza skoczniejszy;  
 Rąbie na oślop i po karkach wali —  
 Podłoga już krwią gorącą spluskana,  
 Wszyscy go czują i słyszą — prócz Khana.

Ten, ciągle małym kozaczkiem zajęty,  
 Oczy zamruża i takt ręką bije;  
 Kozaczek czasem mu pokaże pięty,

A czasem nogi zarzuci na szyję;  
Khan myśli, że to ruski derwisz święty,  
Który tym tańcem swoje grzechy myje,  
Tańcem, co z serca idąc, zda się szczerym;  
Po raz więc setny krzyknął: Allah kerim!

Jest to tatarskie brawo. Pan Beniowski  
Myślał, że jemu należy wykrzyknik.  
Z Tatarów robił już makaron włoski,  
Tak że rozchodził się już bal lub piknik  
Przez drzwi i okna; miecz się zdawał boski  
A gdzie uderzył skrami, cały szyk nił.  
Ten wiersz ostatni zły, lecz go podeprze  
To, że w następnej strofie będą lepsze.

Sród gorącego po komnatach boju  
Beniowski mieczem robi peryferyum,  
Tego po plecach, tego po zawoju  
Siecze, a naprzód wpadł na ministeryum  
I tego, co miał departament łoju,  
Ministra oświecenia, Achmet Derium,  
Po garbie mieczem siekł, tak że minister  
Utracił cały swój garb, jak tornister.

Lecz guz strącony zmienił tylko pana,  
Bo wziął go zaraz na czoło koniuszy,  
Wielki statystyk także Giraj Khana,  
Który obliczał ścięte giaurom uszy,  
Potem na sznurki nizał — dla Sułtana,  
Który je marynuje albo suszy,  
Właśnie jak w Litwie grzyby borowiki —  
A czasem żonom daje na koleczyki.

Po takiej sprawie ministeryum całe  
Cofaniem się podało do dymisii.  
Wymowie szabli przypisać tę chwałę,  
Że z rządu ludzie ustąpili łysi;  
A łatwiej zmusić do odwrotu skałę,  
Kaskadzie kazać — niech stanie i wisi!  
Powstanie całe kraju przysposobić,  
Nawet wybuchnąć łatwiej — niż to zrobić.

Ministeryum więc całe już w odwrocie  
I muzykanci wszyscy, pole czyste!  
Mój rycerz chwilę stanął cały w pocie,  
Wtem ujrzał szabel girlandę — O Chryste!  
Już na jednego człeka idą krocie,  
Po nad głowami niosą szable szkliste  
W rząd ułożone, razem w tył zagięte,  
Jak fale upaść gotowe i wzdęte.

Rząd jeden złotych twarzy, płaskich nosów,  
Rząd jeden szabel; idą kragło koła,  
Jakby rząd jeden wielkich srebrnych włosów,  
Które twom złotym wyrastają z czoła.  
W tej błyskawicy podniesionych ciosów  
Beniowski śmierci zobaczył anioła,  
Który się zdawał straszny i wspaniałym, —  
I stał w tych mieczach, jak w zwierciadle białem.

Już idął rycerz w poprzek się nad głową  
Mieczem zasłonił i czekał z powagą;  
Już idą — prędzej, niż wymówisz słowo,  
Śmierć spadnie; jednak i tu jest odwaga  
Mieć podniesione czoło, twarz surowa,  
Błyszczące oczy i pierś wzdęta, naga.  
Beniowski takim był pod tą framugą:  
Gdy ktoś mu nakrył głowę — szabłą drugą.

Spojrzał, lecz nie mógł widzieć dobrze twarzy,  
Bo ten, co zakrył go, stał odwrócony;  
Na turbanie się drogim kita waży,  
Którą wziął brylant wielki wschodni w szpony;  
Kaftan miał drogi — i rzekł coś do straży,  
A nad Beniowskim trzymał miecz obrony,  
Tak że dwie szable razem miały włosy  
I klingi dwie samotne, jak dwa kłosy.

Wahała się straż — wtem ow rycerz nowy  
Do Beniowskiego rzekł: potrzeba zdać się!  
Po polsku to rzekł, lecz odwracał głowy,  
Jak gdyby jego oczów musiał bać się;  
A potem dodał cicho: będziesz zdrowy



I wolny — teraz to nie może stać się;  
Wyrok na ciebie jest srogi wydany  
I nie odwoła go wnet Giraj pjanij;

Ale się poddaj! — Tu ręką łagodnie  
Z rąk mu wyjmował szablę, ale zawsze  
Twarz swą zakrywał, a mógł to wygodnie  
Zrobić, bo pan Beniowski widział krwawsze  
Groźące sobie oczy, wielkie, wschodnie —  
I damasceńskie i nienajtąskawsze  
Szable stojących w około Janczarów,  
I do ostatka chciał się bić przez narów.

Ciągle więc groził; gdy mu tamten drugi  
Szaleł tureckim nagle nakrył czoło;  
Chciał się szamotać rycerz, ale sługi  
Pomogły temu panu z szablą gołą.  
Wydarto mu miecz; potem legł jak długi,  
I słyzał cichy gwar tatarski w koło,  
Potem go niosły z lekka owe strażę  
Długo przez długie, kręte korytarze.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się  
Samemu sobie bardzo poetycznym:  
Na skały igły, na ruin terasie.  
W usposobieniu umysłu wehmiczném:  
Gdy wołasz szczęścia, stojąc na Parnasie,  
A echo głosem ci melancholicznym  
Ze wszystkich skalnych kątów odpowiada  
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

.....  
Gdy cię zapyta kto — jaka grafini,  
Czyś był w Paryżu; gdy patrząc w obłoki,  
Kochanka tobie wyznanie uczyni,  
Ze kocha... albo rzuci się w potoki  
Jaka dziewczyna, która ciebie wini  
O zapomnienie, potem ją w głęboki  
Dół kładą, sadzą na grobie kamelie  
I pokrywają piaskiem, jak Ofelię.

Gdy w tańcu jesteś pierwszym koryfantem  
I kręcisz kołem młode pokolenie;  
Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,  
To jest, że możesz zgasić oświecenie;  
Albo gdy jesteś dział asekurantem  
I w Napoliońskie wierząc przeznaczenie,  
Słuchasz z powagą kul lejących świstu;  
Gdy Comte przeczytasz na kopercie listu...

Z tych i podobnych wrażeń pono żadne  
Nie urodziło się w duszy rycerza;  
Utracił swoją piękną Aryadnę —  
Wzięty, więzieniem jego była wieża,  
Co zewnątrz miała desenie tak ładac,  
Jak rozkwiecona palma wśród wybrzeża,  
Wieża ceglana, o wysokiem pięttrze,  
Lecz wewnątrz... bardzo miała smutne wnętrze.

Okna okrągłe bez szyb, gdzie czerwone  
Lub srebrne światła upadały snopy;  
Z jaskółczych gniazdek uwitą koronę,  
A w suchym piasku po nad morzem stopy;  
Huczał w niej sufit, gdy morze szalone  
Rzucalo wrące na piasek ukropy.  
W takiej to wieży smutnej przebył trzy dni  
Czwartego... tu się poemat rozwidni —

Czwartego ranka skrzypnęły zawiasy,  
A jeszcze ranna panowała szarza,  
Dopiero morskie srebrzyły się pasy  
Srebrem od wschodu; gdy ktoś z korytarza  
Wszedł — cały strojny w tyftyk i atłasy,  
Ktoś niepodobny wcale do grabarza  
Ani do kata — miał z baraniej skóry  
Kółpak, przyłbicę taką, w niej dwie dziury.

Z kółpakiem razem ta maska futrzana  
Kryła mu lice i twarz, oprócz oczu.  
Beniowski poznał w nim wschodniego pana,  
Choć ze snu oczy odemknął w przyciemnieniu;  
Poznał, że ten sam, który go u knana

Bronił i był mu z szablą na przyboczu,  
A potem zdradził, niby wróg ukryty,  
A mówił jako Polak rodowity.

Porwawszy się więc z ziemi, głosu grzmotem  
Zawołał: zdrajco, czego chcesz? i po co  
Przychodzisz do mnie? czy z moskiewskiem złotem?

Czy chcesz mnie kupić? czyli wziąć przemoca?  
Nie dam ja się krwią zalać ani błotem!

Nim szable twoich katów zamigocą,  
Samego ciebie do walki przymuszę;  
Chociaż bezbronny, zwalę i uduszę!

To mówiąc, stanął w szermierza postawie;

A drugi... nie rzekł nic, ani się ruszył

I nie wydawał się wcale w obawie,

Choć go Beniowski mową już ogłuszył.

Więc rycerz znowu: strojnyś jest, jak pawie!

Aleś tu próżno w ogon się napuszył.

Jak mi Bóg miły, jak słońce na niebie,

Walcz — bo sam pierwszy porwę się na ciebie!

Na to tatarski rycerz rzekł: przychodzę

Uwolnić ciebie; poznasz za godzinę,

Ze jestem tobie bratem i nie szkodzę,

Owszem za ciebie i za kraj nasz zginę.

A teraz zdaj się ty na moją wodzę!

Oto masz ubiór — lubisz barwy sine,

Oto masz kaftan, pistoletów dwoje,

I strzelbę oraz pałasz — wszystko twoje.

Zwrot to jest tylko, a nie podarunek —

Więc weź i za mną chodź, bo jesteś wolny —

Beniowski kaftan wdział i wziął ryszturnek,

Z gniewnego stał się jak owca powolny,

Gniew mu wywietrzył wnet, jak lekki trunek,

Dziw tylko został. Więc jak młokos szkolny,

Ciesząc się w kaftan błękitny ubierał,

Potem próbował broni i obzierał.

Broń była cudna: rubinów płomienie

Po pistoletach szły jak iskier sznurek;

Rura u strzelby z drutów, a w desenie

Kuta, i bardzo fantastyczny kurek;

Nie było Lepaź, lecz taką na ścienie

Wolałbym wieszać dziś, niż sto dwururek

Paryskich. Szabla także była krzywa,

A tak się zdała żądać krwi, jak żywa.

Pod wieżą stały dwa piękne rumaki;

Do Beniowskiego znowu rzekł przewodnik:

— Wybierz! obydwą latają jak ptaki,

Obydwą z Nezdów, i mają swój rodnik

W złotym woreczku na przodzie kulbaki;

Jeden drugiemu jest jak współzawodnik

Równy: więc wybór zostawuję Waści —

Weź, który lepiej się podoba z maści.

Czarnego wybrał Beniowski i skoczył

Na siodło drogim sadzone kamieniem;

Potem na piasku koło nim zatoczył —

Koń szedł jak fala lekko pod siedzeniem

I piasku wcale morskiego nie tłoczył,

Dumny szlachetnem swoim urodzeniem

I tą metryką, co go z Nezdów wiodła,

W złotym woreczku wiszącą u siodła.

Tatarzyn — zawsze pod szarą przyłbicą,

Szary był bowiem na masce baranek —

Pospieszył przodem; za nim błyskawica

Jechał pan Kazmierz wesół, a już ranek

Palit się w ogniach nad krymską stolicą,

Którą mijali. Omentarz i palm wianek

Minęli także — oba stepem leca

.....

O Dante! czy ty marzyłeś te kregi.

Gdzie człowiek dobry chciałby ludzkich twarzy,

A wkoło takie figury, ciemięgi,

Taka gromada szara gospodarzy?...

Tak w sznury wzięta dobrze i w popręgi,

Na takie głupstwa się wierzami skarży,



Tak porobiła gdzieś w niebie otwory  
I takie do nich mosty ma — z pokory:

Ze człowiek, choćby chciał... by nie być z nimi,

Musi się oddać dyabłu — eheu, smutno!

Ale już słońce włosami złotymi

Rzuca na białe mych namiotów płótno.

Beniowski ujrzał siedzący na ziemi

Obóz. — Tu muza nie chce być okrutną,

I zaraz (bowiem już do końca dąże)

Wschodni pomat mój cały rozwiąże.

Na złotym stepie — był to niby parów

Pomiędzy dwiema piaszczystymi góry —

Ujrzał Beniowski dwa sotka Tatarów

Nie bardzo pięknej tuszy i struktury;

Przypominali coś dawnych Khazarów

Lub Hunnów: kość im przyrosła do skóry,

Mięsa nie mieli wcale, tylko żyły —

Namioty z czarnej skóry, jak mogiły.

Kociołki mieli czarne przy ognisku,

Wielbłądów chudych i czarnych z dziesiątek;

Chudzi rycerze, w oczach pełni błysku —

Poszliby nawet na rzeź niewiniątek,

Stanawszy przy tem dziwnem koczowisku,

Rzekł nieznamy rycerz: Na początek,

Panie Beniowski, oczu nie otwieraj!...

Daje ci dwieście Tatarów Khan Giraj.

Weź ich! Ten obóz zaraz z tobą ruszy;

Wódz jego El Dżin, patrz — ten Tatar stary,

To waż; do jego ciała, kości, duszy

Masz prawo. Końskie im zostaw sztandary,

Pozwól obcinać wszystkim trupom uszy,

A służyć będą lepiej niż huzary;

Kosztu ci także wiele nie przyczynią,

Zdechną ich karm wszystkich, lecz nie świnia.

Potem arabskim coś mówił językiem;

Allach! wrzasnęli mu, gdy skończył mowę.

Beniowski wielkim ogłuszony krzykiem

Stał, a zaś wojsko stanęło w podkowie

I ogłosiło go wraz pułkownikiem;

A El Dżin, sam wódz, pokazał na głowę

I szyję, mówiąc mu jak najszlachetniej:

— Jeśli nie będę słuował, to mnie zetrnij!

Potem Tatarzyn ów i dobroczyńca

Wiódł Beniowskiego, gdzie stał wóz z namiotem,

Wóz jakby wielka mała Ukrainca

Wokoło wielkim ogrodzona płotem —

I rzekł: — Khan Giraj daje ci gościńca,

Ten wóz; a nie sądz, że napelnił złotem

Skórzane łono owego namiotu:

Jestto wóz pełny trudu — i kłopotu.

Podnieś to skrzydło wielbłądowej skóry,

A sam hojności Khana będziesz skarżył. —

Radością pan Beniowski aż ponury —

Wahał się chwilę, potem się odważył

I podniósł skrzydło namiotu do góry;

Potem się cały w ciemny namiot wtwarzył,

I powtórzyło łono tajemnicze

Namiotu — dwoje Ach!... jedno dziewicze...

I długo głowa mojego młokosa

W namiocie owym była na gościńcu

Ani z garcłka uczonego kosa

Taki dźwięk słycać po ciemnej kalinie,

Choć kos — to lutnia ptaszków różnogłosa,

A w przedrzeźnianiu żadnego nie minie,

Lecz wszystkie tony w swym głosie zamyka,

Wszystkie, i nawet śpiewanie słowika;

Ani więc w drzewie, kędy on zasiadzie,

Tak wszystkie listki świszczą i szczebiocą,

Jako te skóry wydęte wielbłądzie.

Na których galki się mosiężne złocą.

Lecz co w nich było... to chyba na sądzie

Wydam i wielką przymuszony mocą;

Bo mnie obchodzi los dawnych pamiątek,  
Aniela... oraz dalszych pieśni wątek

Gdy więc Beniowski stał jak kuropatwa,  
Co głowę swoją pochowała w śniegu...  
Jak widzę, rzecz się znowu trochę gmatwa,  
A pisząc, stanąć znów nie mogę w biegu.  
Sztuka rozwiązań jest bardzo nie łatwa,  
Przedemną nie ma ubitego ściegu,  
Bo nikt nie śpiewał z nas na taki temat,  
Ażeby musiał rozwiązać poemat.

Gdy więc Beniowski, pogwarzywszy długo  
Z namiotem, oczy wy dobył nareszcie,  
Spotkał się nagle ze starą koleczuga  
Pana Borejszy: ten był widać w mieście  
I teraz przybył z Perkunasem sługa;

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Zabrawszy więc manatki, pełen troski,  
Ze nie u Khana nie sprawił, Krym rzucił.  
— Jakto?! więc to jest, krzyknął, pan Beniowski,  
Którego mnie los smętny tak zasmucał?  
A to prawdziwy, widzę, wyrok boski!  
A! dajże mi twarz, dajże, niechaj ucał...  
Zamiast sylaby ustami go w usta  
Umoknął, aż jętko, tak jak beczka pusta,

Gdy z niej wystrzeli czop. A potem wkoło  
Obejrawszy się: Cóż to za wędzonki?  
Spytał — ubrani wszyscy prawie goło,  
Którychby można wszystkich na postronki;  
Złodzieje jacyś? — Na to mu wesoło  
Rzekł rycerz: Są to rycerze . . .

. . . . .  
. . . . .

Poprowadzimy ich w ogień, Mospanie! —  
El Dżin, każ, niechaj wskakują na juki! —

Kazał, i wnet się surm ozwało granie.  
Namioty nikły — błysły szable, łuki,  
Wielbłądy wstały na panów chrapanie:  
Krzł krzł — za starym ojcem idą wnuki;  
Obdarty, stary jakiś Abdel-Kader  
Prowadzi, wielbłąd dziś, dawniej dromader.

Beniowski widząc, że już w pogotowiu,  
Rzekł, obróciwszy się do Tatarzyna,  
Który go przywiódł i był w złotogłowiu  
Strajny jako gil, a wiotki jak trzcina:  
— Bądźże mi, jasny panie, w dobrem zdrowiu!  
Szlachetna dusza łask nie zapomina:  
Tys mi tak serce swą dobrocią spetał,  
Ze póki będę żył, będę pamiętał. —

Nie nie rzekł Tatar; z głową pochyloną  
Stał . . . . .  
Widać pod szatą, że pracuje łono,  
Ze się płacz w sercu zatrzymany zbierał.  
Więc Pan Borejsza: — Cóż to jest za ono  
Stworzenie? cóż to za krymski generał?  
Jam go nie widział wprzód, czy z niebios spada?  
Czy nasz przyjaciel? czy po polsku gada?

Jeżeli gada, powiedz mu, że w Krymie  
Został się jeden Tatarzyn z pod Waki,  
Pan Abdulewicz; niech się o to imię  
Rozpytał poszedł gdzieś, jak zajac w krzaki;  
Może gdzie spity od haszyszu drzemie,  
Może nas sprzedał za szczyptę tabaki,  
. . . . .  
. . . . .

Porzucąc tak się wcale nie godziło  
Braci w nieszczęściu, zostawiać ich w trosce;  
Z jednej się razem szklanki nieraz piło,  
W jednej się prawie wychowało wiosce...  
Myślałem, że mój grób z jego mogiłą  
Będą się widzieć, choć on miał dwurożce



Postawić sobie w straż u śpiącej głowy,  
A ja oblany krwią krzyż Chrystusowy.

Ale tak nie jest! odbiegł nas jak trądem  
Rażonych, widząc, że Khan patrzy krzywo.  
Sumienie własne niech mu będzie sądem;  
Nie będę o nim gadał — bo to dziwo,  
Że Tatar zdradził. Niechże się z wielbiądem  
Błąka po stepach, i ma starość siwą.  
Lecz kiedyś, kiedyś... o! westchnie on z eicha  
Do litewskiego stołu i kielicha!....

Podczas tej mowy nieraz na rumaku  
Wzdrygnął się Tatar. Raz już podniósł dłoni  
I miał ją prawie na swoim kołpaku;  
Myślał Borejsza, że mu się ukloni,  
Lecz nie zdjął czapki. Potem jak na ptaku,  
Na koniu swoim, który rżał do koni,  
Na blizkie piasku odleciał pogórzo  
I stanął w pyłu złocistego chmurze

Tak uleciawszy od rycerzy kawał,  
Pyłem omglony słonecznego blasku,  
Znak pożegnania, wzniosłszy rękę, dawał;  
Kiedy się wojsko już grzebało w piasku,  
Widział, jak z wału wychodzili na wał;  
Słuchał dzikiego hord niktających wrzasku —  
Znikli, on słyszał jeszcze, jak anieli  
Niebios, gdy w stepach Alla hul krzyknęli.

Alla hul milej krzyknęli ojezyźnie,  
Idą na boje, gdzie los pędzi ślepy;  
Może niejedna głowa się rozbryźnie  
I koń powróci sam na złote stepy,  
Gdzie go źrebięta powitają bliźnie  
I palmy, niebios trzymające sklepy,  
A pan zostanie pod brzozą wieśniaczką,  
Która umarłych jest nimfą i płaczką.

Tymczasem Kaźmierz za wojskiem ostatni  
Gonił, obierał się często za siebie

I często patrzył, gdzie ów rycerz bratni  
Stał, jako mara tęczowa na niebie,  
A potem mniejszy, jak sztandar bławatni;  
I słychać było pod nim rżące źrebie...  
Spojrzał ostatni raz pod słońca blaski,  
A już ów rycerz jasny stał bez maski.

Lecz taka była czerwień i płomyki  
W powietrzu, które z ziemi idąc parzy,  
A tak daleko ze swymi łuczniaki  
Już był Beniowski, że nie dojrzał twarzy;  
Więc dogoniwszy swoje tylne szyki,  
Spytał jednego z namiotowej straży  
Kto był ów rycerz pożegnany z rana?  
Ten odpowiedział: Syn Gireja-Khana.

## PIEŚŃ XII.

Gdy więc zabrano podstępem Ladawę,  
Zamek się ten stał jak główna kwatery:  
Obaczono tam orła pana Sawę,  
Pułaskich obu i Dumuriera,  
Wiele szlachcianek, które przez obawę  
Kozaków, jako w powieści Homera  
Strwożone nimfy przed młotem Cyklopów,  
Zbiegły się, wołąc tę szlachtę, niż chłopów.

Była tam księżna Elżbieta, co ongi  
Z księżęciem saskim w wiejskim pałacyku  
Widywała się... i przez swe pociągi,  
Perły łez, tęcze uśmiechów — bez liku  
Serc zdobywała, Inne dziwolągi  
W kornetach, z kwiatem nawet na trzewiku.  
Jako w Noego zeszyły się korabie  
W tym zamku — wojny zaczynając babie.

Jedna żądała Sasa... i fontazie  
Robiła z wstążek złotych saskiej maści  
I przypinała je, żółtej zarazie

Podobna. Druga miała do napaści  
 Szkaplerze tarte przy świętym obrazie  
 Lojoli. Trzecia, podobna przepaści,  
 Robiła vacuum wielkie, jako sfera.  
 Sama rządzona przez słońce Woltera.

Przy niej Wybicki pisał pamiętniki,  
 Nauce baby dziwiąc się... w rozpaczcy,  
 Że się nie uczył w szkołach botaniki...  
 Nie takiej, która mówi, co kwiat znaczy,  
 Ale tej, która każdy listek dziki  
 Zwie po łacinie. Przez co się tłómaczy  
 Cała ówczesna Polska za nauką  
 Lecząca, jak dziś pan Hugo — za sztuką;

Jak Wagner, sługa Fausta, gap uczony  
 Któremu zda się, że już wiele umie,  
 A jeszcze słów są ogromne szwadrony,  
 Których rozumem swoim nie rozumie...  
 Słowem, zamek był szlachtą przepelniony.  
 Potrzeba było jak przy morskim szumie  
 Używać trąby akustycznej — aby  
 Powiedzieć jedną prawdę: że kraj słaby.

Szlachta uczona była na Alwarze  
 Przypadkowania i strachu herezy —  
 Przez ludzi, którzy nie patrzeli w twarze,  
 Ale na nogi; a zaś dla poezyi  
 Pisali złote i srebrne ołtarze,  
 Podobne pięknym balladom *Świtezii*  
 Lub *Dziadów*... w których spotykał wyrostka  
 Nie Gustaw — lecz Jan Kapistran, lub Kostka;

Z kobiet zaś święta Tima lub Agnieszka  
 Z kleszczami, które rwą zęby. — Do róży  
 Poezji trudna bardzo była ścieżka;  
 Dla tego nikt nie przedsiębrał podróży.  
 Szlachcic, co w domku pod lipami mieszka  
 I Panu Bogu czasem szablą służy,  
 A czasem rąbał łeb przy trybunale —  
 Ze poetycznym był... nie wiedział wcale.

Pułaski, który w szarej się czamarce  
 Po salach włóczył — a czasem przez wonny  
 Kląb lip wyprawiał na swym koniu harce,  
 Jakoby młody srebrny anioł konny,  
 Gdy pod lipami stały chłopcy starce  
 Kiwając łbami — że był jednotonny  
 W rozmowie, śród bab stał zawsze zdaleka  
 I nie uchodził za orla człowieka.

Za to był pewien książę Lubor młody,  
 Rumiany, pięknej postaci topolnej,  
 Który z Warszawy właśnie przywiózł mody,  
 Z Warszawy wówczas jeszcze bardzo wolnej.  
 Ten był brylantem najpiękniejszej wody  
 U pań, w dowcipie naksztakt żupy solnej  
 Niewyczerpany, pełny zawsze szeptów;  
 Bo tyle miał par butów — co konceptów.

Z nim zwykłe pani Dafnicka Sybilla,  
 Która umiała już język francuski,  
 Gadając piekła raka albo gila;  
 Choć mówią, że ją król szanował pruski  
 Z dowcipu. Jakoż raz (o! krotochwila)  
 Książę dowodził jej, że polskie kluski  
 Zowią się wszędzie z drugiej Renu strony  
 Po towarzystwach wyższych: pedenony (1).

Z czego ją wtrącił w taki gniew, że z miny  
 Piorunem była, a ze wzroku furją;  
 Bo też już wzięła za wyraźne drwiny —  
 Nie za dowcipu różę, lecz nasturyą.  
 Kluski nazwała l a r m a m i z f a r y n y,  
 A księcia błaznem... bo sprowadził z gór ją  
 Wyższego tonu, i tonem Polaka  
 Przymusił zawsze błądą — upiec raka.

(1) Pet-de-nonne, ciastko słodkie, lekkie, próżne  
 w środku. (P. Wyd.)



Tę panią zawsze wielkie myśli pasły  
 I książkowe ją napełniały strawy.  
 Książd ją spowiadał chudy, mąż opasły  
 Nie miał z nią bardzo dawno żadnej sprawy;  
 Zwykle chodziła jak wulkan zagasły,  
 Mając na głowie wielkie sope z lawy,  
 Których dostarczał ognisty Wezuwiusz;  
 Synka jednego mając, zwała... Fulwiusz.

Wystawcie sobie więc moją Aniele  
 W takim żaloznem gronie ze swym tatkiem,  
 W którym się nagle, jak w starym kościele  
 Duch jakiś rzymski pokazał przypadkiem:  
 Mowy miał od tych słów: — Obywatele!  
 Upadających mocarstw byłem świadkiem:  
 Nie siarka niszczy je, ani saletra,  
 Ale niezgoda... pijaństwo... et cetra!

.....

Czasem nim buchnie wiatr, a czasem kłosa,  
 A czasem pies go usłyszy i stanie,  
 Nasroży uszy i najeży włosy  
 I warczy głucho. Czasem to śpiewanie  
 Usłyszy w stepach idąc żebrak bosy  
 I myśli, że to zebrana na łanie  
 Wróbli gromada śpiewa, harfa szara  
 Ptaszków — albo szum gruszy — albo mara...

Owiana takim śpiewem, słuchająca,  
 Patrz, bieży panna Aniela ogrodem,  
 A każdy z głosów ją aż w serce trąca,  
 Choć gorset, stanik złoty ma pod spodem.  
 Gorset ze złotej lamy, w pół miesiąca  
 Pod samą szyją cięty; rannym chłodem  
 Mrozi ją nieco wiatr, ale jej nie czuć  
 Zimna, bo pełna pamiątek i przecuć.

Oh! te pamiątki! smutkiem, łzami wiszą  
 Na rzesach, i są ciężarem i cieniem,  
 I są na twarzy jakaś wielką ciszą,

I są jakoby jej czoła uspieniem:  
 Gdy usta niby przecuciami dyszą  
 I oświecają koralem, płomieniem  
 Jej twarz, i czasem zbiegają po licach,  
 Czyniąc widniejszy smutek — w błyskawicach

Za nią na zamku wszystkie okna gorą,  
 Jak rząd płonących jasno meteorów.  
 Tam kłaby, brzozy z osrebrzoną korą  
 Różane teraz słońcem; tam z kolorów  
 Malw — niby tęcz się zapala siedmioro  
 Około różnych posagów, upiorów  
 Dawnego świata; tam pomiędzy róże  
 Stoią rzezane marmurowe kruże.

Dalej staw; i tam zaczyna się miła  
 Zieleń drzew, głębsze wilgotniejsze cienie;  
 I Anielinek chatka, jak mogiła  
 Pamiątek, i to pod chatą siedzenie,  
 I ta gołębi chmura, w którą biła  
 Jutrzenka jak w mgłę białą; i wspomnienie  
 Siedziało nad tą chatką, jak Noemi  
 Lub Ruth, spuściwszy włosy aż do ziemi..

Dziwnie, że czasem cały duch obrazu  
 Wymaluje się nam jako cherubin  
 I stanie w myśli widzącej od razu,  
 W oczach szmaragdy mając, w ustach rubin  
 I gwiązde naksztalt białego topazu  
 Po nad warkoczom! jestto duch zaślubin  
 Z naturą, który nad Dźwinią i Pregłem  
 Chodzi w surducie i zowie się Hegłem.

Ale Aniela — do Heglistki weale  
 Nie dorosnięta, bliższa Afrodyty  
 Pięknością — taka lekka, że na falo  
 Stawu wejść mogła, i staw nie rozbity  
 Nosiłby nóżki jej... Jestem w zapale!  
 I oto mówię, że piękność kobiety  
 Nie jest, jak mówi książd, czartów uluda,  
 Lecz może — w duchu będąc, robić cuda!

Lub sama przez się robić, lub się w druga  
 Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą,  
 Zaczepną bronią w rękę i koleczuga  
 Sercu, i słońcem, które świeci nocą,  
 I panią razem i razem być sługą,  
 I nawet w świecie aniołów — pomocą:  
 Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,  
 A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć

Aniela była taką duszą; ona  
 Z Beniowskim tworzy jednego rycerza  
 I bohatera. . . . .

PIESŃ XIII.

Kiedy panna Aniela wbiegła do Anielinek,  
 Wszystkie kwiatki ją młode owionęły zapachem,  
 Pszczółki zaczęły brzęczeć—źródła ją na spoczynek  
 Zapraszały i brzozy — a gołębie pod dachem  
 Turkać głośniej zaczęły — z jej przybycia radosne  
 . . . . .

I zdawało się jakieś śpiewanie aniołowe  
 Nad chatą—może to brzóz rozczesane warkocze  
 Bijąc o ściany białe, lekko wschodem różowe,  
 Sprawowały te szmery bolesne i prorocze...  
 A chata świeciła się nakształt złotej pochodni,  
 Właśnie jak gdyby zleciał jakiś anioł przedwschodni,

I stanął na zielent. A dalej mgłami siny  
 Gaik, który otaczał szmaragdową lewadę:  
 A około gaika malwy i georginy,  
 Jakbyś gwiazd aniołowych zapaloną gromadę  
 Widział w cieniu — tęczami gaj opasywały,  
 Ptactwo dzwoniło w lutnie — i kaskady grały

Panna Aniela, widać, że listownie wezwana,  
 Biegła i otworzyła chate swoją zamkniętą.

Ta była cała cicha, także wschodem rumiana  
 A pachnąca rezeda wskróś obsianą i miętą  
 I ściany z cedrowiny dyszały mocną wonią,  
 A cichość była taka, że słyhać jak ronia

Za oknami Najady swe lzy, perła po perle,  
 I po skalach rzucają przezczyste dyamenty  
 . . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .

Beniowski stanął przed panną Anielą;  
 Lecz jak zmieniony — ach, w jakim żupanie!  
 Jak żebrak — łokcie podarte się biała,  
 Guziki wiszą, buty... Boże Panie,  
 Jak wieloryby, kiedy się osmiela  
 Wyjrzeć nad morza błękitne otchłanie  
 I westchnąć — 'Taki.. ach! czy moje usta  
 Wymówią? stanął nakształt drapichrusta.

Aniela zlekła się; bo nigdy w życiu  
 Nie wystawiała sobie bohatera  
 Kochanka w takim okropnem rozbiciu  
 Majątku. A on, żaloszny kostera,  
 Stał przed nią... w strasznym bardzo nieutyciu —  
 Pół Don-Kichota, a pół króla Lira;  
 Bowiem zupełnie był bez przytomności,  
 Jak Lir; a skórę miał tylko i kości,

Jak Don-Kichote. O! jeśli myślał  
 Z Heglem, że czysta idea na świecie  
 Zjawiona, wszędy w swoim innobycie  
 Zyje: to w całym Ładawy powiecie  
 Nigdzie w smutniejszym ona wołokicie,  
 Nigdzie na gorszej nie była dyjecie,  
 Jak w tym człowieku, ta idea czysta,  
 Z którą on cały wyglądał — jak glista.

I może nawet skutkiem tej idei  
 Czystej wychudł tak nieszczęśny nieborak,



Jako poeta, który wiersze klei,

A nie jest ani sekiarz, ani dworak.

A może też był w krainach nadziei,

Gdzie go zaniosta chuda klacz Elborak,

Mahometanka, którą dla igraszki

Borejko Litwin wprzągł do kałamaszki,

Spotkawszy ją gdzieś koło Bałty? — nie wiem...

Ale to tylko wiem, że pan Beniowski,

Nie goniąc wcale pod żadnym modrzewiem

Za Świtezianką, miał butów podnoski

Podarte, albo spalone zarzewiem,

† Jako u Danta, gdy ten śpiewak boski,

Emigrant jak ja, wpadł między straszdyła,

Co z kości miały pierś, a z ognia skrzydła.

Beniowski w krótkiej nadzwyczaj włóczędzo

Poznał tajemnych rzeczy bardzo wiele.

Mówią, że spotkał jak Makbet trzy jędze

Na pustym stepie; że w starym kościele

(Wszystko znalazłem w jednej dawnej księdze,

Którą na półkach mam oprawną w ciełę)

Że w starym, mówię, kościele raz zasnął,

A w kościół lunął deszcz i piorun trzasnął

I bohatera mogo jasne oczy,

Błękitne, wielkiem swoim płomieniskiem

Oćmił; ślepego chwycił duch proroczy

I zrobił widzeń złocistych igrzyskiem.

Khan Giraj chciał mu dać dziesięć koczny

I zrobić wodzem nad tem koczowskiem;

Ale odłożył to na czasy drugie,

Krótki w nim widząc wzrok, a myśli długie.

Borejsza Litwin potem go kaptował

Dla Radziwiłła; lecz mój Wegro-Słowak

Proroczym duchem Litwina zgruntował

I odpowiedział ni tak ani owak.

Litwin jak ślimak zaraz rogi schował

I tak za... Coopera Pothowak

Utonął w gęste traw stepowych wniki

I ponurkował w swój las — w mateczniki.

Lecz pierwszej ostrzegł Khana, a prywatnie,

Po przyjacielsku, usta w samo ucho

Włożywszy: że się Beniowski w ostatnie

Zgrał i przed sądów ludzkich zawieruchą

Uciekł; dla tego na strzały harmatnie

Szedł tak odważnie i z taką otuchą,

Jak Achil; bo też z pod prawa wyjęty.

Nie mógł być ranny nigdzie, tylko w pięty.

Dodał, że to jest duch francuski, z duchów

W Polsce najgorzej uważany... nawet

Wykłęty; że jest takich wiele zuchów,

Więcej niż harmat w Nieswieżu bez lawet,

Więcej niż w Khana wojsku jest kozuchów,

Więcej niż w kłótni gorzkich słów wet za wet

(Przedrabowawszy wprzód Lindego słownik)

*Tygodnikowi* oddał *Orędownik*. (1)

Dodał, że każdy taki duch francuski

Jest pod klątwami wielkimi kościoła;

Że jeden się udławił, jedząc kluski,

A inni, chociaż wesołego czoła,

Schną wewnątrz, jakby je kwas palił pruski

Albo Cyrcejskie zaraziły ziola

Świnina. — Nie mógł dociąć niezem lepszem,

Bo Khan Beniowskim wnet zbrzydził, jak wieprzem.

I gdy mój rycerz po spaleniu Bałty,

Na co Khan patrzył z wieży, klaszcząc w dłoń,

Myślał i roił — (o jak piękne kształty

Imaginacya ma, kiedy rozplonie

I rozumowi zadająca gwaltty

Gnaczy buduje na tęczy ogonie!)

(1) Dwa pisma peryodyczne poznańskie polemizujące z sobą. (P. W.).

Gdy rycerz, mówię, mój już roi bosko  
Z Tatarów — legią niby jakąś włoską

Po jasnych polskich polach latająca,  
Dębowych ciemnych lasów oboźnicę,  
Chmurę, w której się blaski mieczów mąca,  
Tak że ją bierze chłop za błyskawicę,  
A w nocy widząc, za chmurę idącą,  
Co wszystkie niebios zabrała księżycę,  
Zwinęła w jeden kłęb i mgławo płonie,  
Miesiące w srebrne zamieniając konie...

Gdy marzył, mówię, że taką wiatrówkę  
Z szarych złodziei i cichą harmatę  
Będzie miał wkrótce na komenderówkę,  
Gdzie zehee, całą narazi na stratę,  
Zgubi w stepowym tańcu jak podkówkę,  
Razem z nią legie burlaków brodate  
Zgubiwszy, tak że (przechodzi mnie mrowie)  
Ruski historyk, o niej... nic nie powie!

Gdy marzył, mówię, tak i rósł w niebiosą  
Nadzieją przyszłej sławy: — aniołowie  
Ugwałdzónego nad nim stali włosa  
I owej myśłą stawianej budowie  
Runąć kazali, strzeliwszy z ukosa  
Słońcem po kolumn fantastycznych głowie.  
Tak że z rubinów wzięły blask niezwykły  
I szmaragdami stały się — nim znikły.

Spyta mię teraz kto: czyliż nie lepiej,  
Aby ci zacni aniołowie bozi  
Pomogli byli ręce, która szczeni  
Strach i śmierć — szabli, która wroga mrozi  
I często krzyżem płomiennym oślepi,  
Zrobiwszy z siebie krzyż i wiatr?... ambrozii  
Gdyby nalali byli w życia ezare,  
Nim usta stracą smak i w ten smak wiarę?

Czyliż nie lepiej, aby w trochę ciała  
Oblekli byli marzenia młodości?

O Trojol jeszczebyś aż dotąd stała  
Pełna cnót dziwnych, starych, — i miłości...  
Jak dawny kościół cedrowy — spróchniała,  
Gdzie jednak boża woń aż dotąd gości.  
A często belka stara w oczach ludu  
Rozkwitnie różą lub narcyzem cudu.

Bo i z tych starych łbów szablą naciętych  
Mogłaby jeszcze wykwitnąć myśl duża,  
Piękniej niż dzisiaj; bo jak z ducha świętych,  
Większyby wyszedł kwiat, pełniejsza róża!  
I na turkusie skrzydeł rozciągniętych  
Mogliby swój duch za anioła stróża  
Postawić światu, gdybyś ty był, Panie,  
Aniołom twoim kazał mieć staranie

O tych dzieciątkach starych! A to oni  
Nie pożegnawszy nas nawet, i woli  
Nie zostawiwszy względem starej broni  
I względem swojej puścizny i roli,  
Odeszli... Ucho jeszcze nasze dzwoni  
Brzękiem ich szabel, serce jeszcze boli  
Bolem ich serca; lecz pełna zamętu  
Myśl, bo odeszli nas — bez testamentu.

Któż słyszał jakie tajemnicze słowo,  
Na którym stanąć mogliby synowie?  
Wszystko śpi głucho pod deską grobową!  
Kto co od trumien zasłyszał — niech powie,  
A odbudujem całą Polskę nową  
Na tem jedynem, tajemniczem słowie!...  
Na tę myśl anioł się we mnie uśmiecha  
A razem pełny łez... Cóż? nigdzie echa?

Nigdzie!! Tylko ten rym tętniący bieży,  
Jakoby w rzymskiej ruinie kaskada,  
Co skrzy i błyska i dymi i śnieży,  
I płacze i grzmi i jęczy i gada —  
I swój nimfowy włos tęczami jeży,  
A spodem giąży powoli wyjada



I tak przy słońcu i tak w blask miesiąca,  
Jak Chrystus... ciągle w sobie pracująca.

Więc pod tym grzmiotem, pod tymi kolorami  
Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,  
Że różne z myśli leją się upiory,  
Ze z pełną jestem wymyśleni kaletą;  
Ale wierzajcie... żem rymu podpory  
Podłożył sercem — i to moje veto  
Przeciw fałszowi kiedy duch mój rzuca,  
To więcej mnie to kosztuje — niż płuca...

Otóż Beniowski mój powrócił z wschodu  
Właśnie jak veto żywe, lecz obdarte  
I biedne; doznał pierwszego zawodu,  
Przewrócił tego świata pierwszą kartę  
I przyszedł jako nędzarz do ogrodu  
Pokazać serce, które więcej warte,  
Niż to, co za nie dawali na świecie  
Ci, co kupują serca na tandecie.

Mroczny, wstydlivy, z pochyloną głową,  
Po przywitaniach pierwszych rzekł: — hrabianko!  
Przyszedłem wrócić tobie twoje słowo,  
Oddać pierścionek; żadną odtąd wzmianką  
Nie będę trudził twych myśli — grobową  
Ziemią zasypię oczy... Podolanko,  
O! Podolanko piękna, bądź mi zdrowa!  
Daruj, że w takim stroju, takie słowa...

Tu zaczął jąkać się, bo kawalerstwo  
Żywe lękało się w nim jakiej wzgardy;  
Daruj, rzekł, dawno z twem sercem braterstwo,  
Dawne twe łaski — a teraz los twardy  
I moje, patrzaj, żebrackie żołnierstwo  
I różne życia mojego hazardy,  
Szczęście wczorajsze i ta, co mnie pędza  
Po czarnym świecie, ta dzisiejsza nędza,

Gdy porównane w twojej myśli stana,  
Może wycisną łzę, o moja pani!

Badź mi na wieki teraz pożegnana,  
A nie idź za mną, bo ja do otchłani  
Idę. — To mówiąc, twarz swą obłąkaną  
Obracał wszędy, jakby go szatani  
Ścigali, nawet nie dając pokoju  
U stóp kochanki, przy brzęczącym zdroju,

W pasiece leśnej. A do niego ona,  
Z oczu zdziwionych czyniąc słoneczniki,  
Bo słońcem była zrenica zatłona,  
A rzęsy pełne pereł, jak promyki  
Świeciły w koło; a głos z głębi łona  
Wychodził cichy, lecz straszny i dziki ---  
Co? rzekła, po toś przybył i mnie z domu  
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,

Abym słyszała, ja, która tak wiszę  
W powietrzu, jako ta smętna kaskada,  
Abym słyszała to, co teraz słyszę,  
Że skała, z której ja lecę — upada?  
Ty, coś mi sercem Czarnego Zawiszę  
Przypomniał — ty wódz tego ludzi stada,  
Ty, przez tę szlachtę z wszystkiego odarty,  
Sam drzesz ostatek szczęścia? Cóż ty wartys?

Powiedz! Więc i ty na sercu kaleka?  
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje?  
O trup ty! stoję odemnie zdaleka,  
Bo ja się próchna i robaków boję.  
Cóż ja kochałam, kochając człowieka?  
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję  
Jak nad przepaścią jaką — sama jedna  
I opuszczona wiecznie — o ja biedna!

Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,  
Że ty naprawdę zegnasz... Wieki miną,  
Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,  
A nie odmieni się sercom, co giną,  
Nie a nic! Lecz ty nie przez duszę własną  
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną

Duszą, co tobie spadła jak z miesiąca —  
Siostra i matka razem — i służąca.

Musi być jakaś okropna przyczyna  
Tego rozdziału, tej bolesnej rany,  
Która mi dajesz w serce; bo ta sina,  
Bo ta wychudła twarz i te łachmany,  
Na które patrząc, strach mi głos ucina,  
Są przecież ludzkie; a ty jak szatany  
Zimny, choć oczy twoje łązą zabiegą,  
Masz w skrzących oczach coś nieczłowieczego!

Powiedz mi, skąd ten blask i takiej dumy  
Rys na twem czole? Co? tyś przeciw Boga  
Wstał... Co? nie prawda? Słyszę jakieś szumy...  
W tym lasku, skąd na stęp wychodzi droga...  
Choćbyś ty wodzem był upiórów dżumy,  
Choćby na twoich piersiach była sroga  
Śmierć, jako piorun przychodząca boży  
Głowie, co na twej piersi się położy:

To kiedy patrzę na świata pustkowie,  
Kiedy... a wszystko obejrzałam wzrokiem,  
Czuje, że to jest jedyne wezglowie  
Ta pierś oblaną moich łez potokiem...  
Tu na kamieniu tym żalowaną głowę  
Pozwól położyć — reszta jest obłokiem,  
Reszta jest niczem — ten świat, ziemia cała...  
Jęka, przegięła się w pół — i omdlała.

Beniowski w trudnej bardzo pozyturze  
Stał, bo ją trzymał w pół upadającą.  
I razem słyszał, jak się leśno róże  
Ruszyły, uczył i mróz i gorąco —  
Usłyszał bowiem szelest, i na wzgórze  
Podniósłszy oczy, spojrzął — na patrzącą  
Parę schowaną w kaskadowym pyłe  
I w różach... ujrzał Dafnicką Sybillę

Z księciem Luborem! Wnet poszedł do głów  
Po rozum i choć, zda się, nie wart grosza,

Żebrak — postąpił jak hetman niżowy,  
Ludzi dobywszy sobie zaraz z kosza;  
Wystrzelił, a na strzał pistoletowy  
Zbiegła się jakaś okropna wołosza  
Różnego stroju, barwy, różnej broni,  
Ludzie, od których człek ucziwy stroni.

Ci wszyscy, słuchać nauczenni gościu,  
Poszli na wzgórze; i po krótkiej chwili  
Brzęku, bo książę bronił się — szelestu,  
Bo się trzepała leksza od motyli  
Pani Dafnicka: dawszy we czterdziestu  
Radę i księciu i pani Sybilli,  
Jako rycerskie pozwalaly czasy,  
Z parą swych jeńców żywych — poszli w lasy

Za nimi poszedł Beniowski, a krzywa  
Zda mi się bardzo teraz jego ścieżka!  
A przy Anieli sennej nianka Diwa  
Płakała. — Taka w tym kraju zamieszka  
I taka była wówczas nieszczęśliwa  
Krwia zamieszana różnych żądź lemieszka,  
I taki rycerz mój, co po buzdygan  
Idąc, zaczynać musiał jako Cygan.

Koniec części pierwszej Beniowskiego.



CZEŚĆ DRUGA  
BENIOWSKIEGO.

PIEŚŃ XIV (1).

I.

W złotej Ladawie dopiero wieczorem  
Spostrzegła szlachta, że pani Sybilla  
Z księciem, którego nazwano Luborem,  
Zniknęła. Oknem patrzano co chwila,  
Czy gdzie nie widać ich zajętych sporem  
O wiersz Homera, Danta lub Delilla;  
Ale nie, nigdzie o nich ani słychu...  
Liście w ogrodzie szeptały po cichu.

Ale w tych szepciach, co się anielskimi  
Wydają, kiedy brzoza z brzozą gada,  
Zaden szepł głośny dźwięki francuskimi  
Nie szepnął. Więc żart powiedział nie lada  
Kazmierz Pułaski, że ucho do ziemi  
Po wojskowemu przyłożyć wypada  
I słuchać. Na to księżna rzekła sucho,  
Aby przyłożyć do księżycy ucho —

(1) Z tej pieśni ocalało tylko kilka urywków.  
(P. W.)

Bo pewnie na nim są. Więc Amfitryjon  
Starosta bardzo przytoczył ciekawie  
To, co o żonach rzekł filozof Bijon:  
Ze jeśli piękną weźmiesz, toś w obawie;  
A jeśli brzydka, toś unieszczęśliwion...  
Dylemma, które w wielkiej było sławie  
Za Jezuitów, w filozofii klasach;  
Bo myśl w niem chodzi tak, jak na zawiasach.

Jednak zaczęto się lękać, gdy stary  
Zegar już dzwonił dwunastą godzinę,  
A szlachta wina dolawszy do miary  
Była w fantazyi... zdjąć pozłotowinę  
Z księżycy, lub wsiąść zaraz na bajdary  
I przez Dniepr płynąć albo też przez Dźwinę  
Po szóstą świata część, której odkrycie  
Przeczuła — łowiąc muchy po suficie.

I nie dziw: bo świat ich już był opalem  
I tęczą, i gwiazd pełną i promieni,  
Za którą złota stała Jeruzalem  
Drzew szmaragdowych pełna i kamieni,  
Z których jeden jest męczeńskim korałem  
I ciągle od krwi polskiej się czerwieni;  
A bramy, co się przed polskimi berły  
Odemkną, z lzy są jednej, z jednej party.

Takie się miasto z nich każdemu śniło,  
A każdy widział podobać, jak drugi.  
Najbliżej bram był szlachcic Poletyło.  
Który pod stołem już leżał jak dtugi.  
Od lotu, widać, nazwisko mu było,  
I dotąd, widać, prądziada zasługi  
Lotne działały w synie, że uderzał  
Skrzydłami o strop — gdy pod stołem leżał.

.....  
.....  
.....  
.....

II.

A w grotach były światła zapalone,  
Tak że się z każdej lała jasność żywa  
Wodzie, i słupy rzucała czerwone  
Po stawie, co się wahał jak oliwa.  
W jednej z grot jako Walkiryę szalone  
Stały trzy wiedźmy, i staruszka Diwa  
Natknawszy szarej do włosów szalwii,  
Z wielkim pieniądzem na czerwonej szyi.

Ta coś wróżyła — a szlachcice starzy,  
Siedząc przy dzbanach cynowych, słuchali;  
Panna Aniela, widząc tych husarzy,  
Ten ogień, wiedźmy — a to wszystko w dali  
Jeszcze straszniejszej nabierało twarzy —  
W podskalnej, drzewy ocienionej sali  
Zlekła się; dziewczę drżącą wzięła ręką  
I całą grotę obesła z Helenką.

I tak obiedwie strwożone dziewczeczki,  
Obiegłszy grotę, zbliżyły się do niej  
Przez inne kręte i ciemne ścieżeczki,  
Brnąc po pas w różach, lilijach, lewkonii;  
I pod most weszły bardzo małej rzeczki,  
I tam — w lilijach podobna Dziewonii  
Hrabianka rzekła: — Tu nam doskonale,  
Ale co dalej robić, nie wiem weale.

Na to Helenka: — Ja tam, panno droga,  
Muszę pod sosną być, gdzie pan nadjedzie.  
Wielka to bardzo dla mnie biednej trwoga,  
Bo może kogo on z sobą przywiedzie.  
Wtenczas nie ujdzie ani jedna noga,  
Będą strzelali... a ja tam na przedzie  
W mojej jaskrawej zaścierce stojąca  
Kulom jaśniejszą będę od miesiąca...

Ot serce mi tak przewidując puka.

Jakby mnie oni mieli trafić kulą.  
Myśl we mnie dawnych smętnych piosnek szuka  
Które ja w chacie śpiewała z matulą.  
Oj! jeśli mnie ta wróżba nie oszuka,  
Każ mnie panienka śmiertelną koszulą  
Okryć i grzebać ze świecami jasno,  
Jakby ja była ptaszka twoją własną.

Każ mnie tam, panno, pogrzebać pod gajem,  
Gdzie my chodziły często po czernice;  
Bo już nie przyjdę więcej z korowajem,  
Nie ustrzygą mi włosów molodyce...  
Na to Aniela: — Więc tu nad ruczajem  
Zostań, ja pójdę tam, zakrywszy lice;  
A ty idź, powiedz, niech piastunka Diwa  
Wcześniej z tą szlachtą ratować przybywa.

— Nie! tak nie można, rzekła tamta druga.  
On pozna pannę po jedwabnym stroju;  
Niech już ja na to odważę się, sługa,  
W białej koszuli, w malinowym zwoju.  
Panienka nie wiesz, jaka męka długa,  
Jako nie można twarzy obmyć w zdroju.  
Jako wstyd długo rumieńcem maluje,  
Gdy pan obejmie stan i pocałuje! —

— Dlaczegoż ty masz...? krzyknęła Aniela,  
A potem rzekła: co? czy nie masz noża?  
Ja ci przysięgam w imię Zbawiciela,  
Że gdybym sama była wśród rozdroża,  
A była za mną przepaść i topiela  
Pełna gdzieś na dnie ognistego morza,  
Skoczyłabym w nią przedzej, niżby kto mię —  
Nie, nie — nie można żyć po takim sromie!

Nie idź tam, ja ci zakazuję, proszę,  
Helenko moja, nie idź! — Na to ona:  
Z konia nie zsiędzie to złote panoszę.  
Szabli nie rzuci i szlachtę pokona.



Niech już ja, panno, mój wstyd sama noszę,  
Złoto ja wzięła — ot mi z pokofona  
Brzęczą pieniądze jego; ja bogata,  
Złotem i wstydem wykupiła brata...

Na to Aniela: — W imię Pana Boga,  
Ja mu to złoto czarne oddam samal  
Panie Branecki, wykrzyknęła sroga,  
Otworzy ci się nasza dworska bramal  
Przysięgam, wyjdiesz, i więcej twa noga  
Tu nie postanieł to twój ślad — to plama —  
Helenko, razem pójdziem pod sosenkę...  
To mówiąc, już szła i wlokła Helenkę.

Było maleńkie w Anielinkach wzgórze,  
Gdzie jedna sosna między inne drzewka  
Złociście, między kaliny i róże  
Weszła i stała, jak smutna Litewka...  
Tam było miejsce pod drzewem nieduże,  
Strumień i jego szemrająca śpiewka,  
Dobrze obrane miejsce na dziewiczą  
Schadzke, z Egeryą jaką tajemniczą.

Gdy się zbliżyły, ujrzały zdaleka  
Dwóch konnych: był to pan Branecki w burce  
I przy sobie miał drugiego człowieka,  
Z którym rozmawiał o starosty córce.  
Ona słyszała, jak ją on wywleka  
Z komnat dziewiczych; jak myśli, jaszczurce,  
Pozwala łązić po niej; jak ją plami,  
Mówiąc o wdziękach brudnymi ustami.

— Co myślisz, mój ty Dzierżanowski? rzecze;  
Czy w Indyach, twoje mustrując Cypaje,  
Widziałeś jakie oko, co tak piecze  
I tyle ognia pod spojrzeniem daje?  
Jeśli tu z naszych szponów kto uciecze,  
Król powie, żeśmy obydwaj mazgaje,  
Żeśmy tu poszli szukać tylko sińca,  
A nie przywieźli żadnego gościńca. —

Na to pan Dzierżanowski, kłamca wielki,  
Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie:  
— Ja trzymam tylko się każdej butelki,  
Bom w Indyach stracił tę rzecz, co się zowie  
Miłością. Miałem harem i ród wszelki,  
I przynieśli mi syrenę Bonzowie,  
Co miała ogon rybi i dwie twarze,  
A sam uczyłem ją grać na gitarze.

Otóż kiedy mię raz uśpiła śpiewem,  
Śpiewając jako maleńkie słowiczki —  
Było to, pomnę, pod korkowem drzewem,  
A nauczyłem ją jednej kantyczki —  
Otóż widząc mnie, że śpię, w ręku lewem  
Mając gitarę, a w prawem nożyczki...  
Branecki przerwał: — Podcięła jak szczygłał  
Czemuż języka tobie nie ustrzygła?

Ja ci o ważnych rzeczach, mój Dzierżasiu,  
Gadam, a ty mi znów kłamiesz bezczelnie,  
Jak tam się w jakimś kochałeś karasiu;  
Gdy strzelasz, strzelajże przynajmniej celnie...  
Lecz co to widzę? tam na pozalasiu  
Jakieś światełka. Cóż to mojej Elnie.  
Że nie przychodzi? Czy bierze z migdałów  
Wannę?... słyszałeś? co to? kilka strzałów!...

Zda się, że gdzieś tam we dworze strzelono.  
Czy nie słyszałeś nic? Dalibóg, bójkał  
Ty jedź do zamku, a ja inną stroną.  
Każ, niechaj w bryczce będzie moja trójka...  
Patrz, patrz, patrz! brzozy po za nami płonął  
Dobrze, że drutem podszyta ta czujkał  
Jedź! lepiej, że dwie obierzemy drogi —  
Strzelają — słyszysz, mój Dzierżasiu? w nogi!

To rzekł i rzucił się na bok w gęstwinię,  
Gdzie mu gałęzie od drzew zawadzały.  
Wtem... pannę spotkał i białą dziewczynę  
I cofnął od nich konia, choć był śmiały.  
Myślał, że duchy po księżycu sinea

Na drodze jemu zachodzą od skały;  
A one obie także, jak łabędzie  
Śród brzoź czekały strwożone, co będą

Panie Branecki! słyszałam i sędzę  
Tak, jak są warte, twe brudne obmowy.  
Helenko, rzuć mi w oczy te pieniądze!

— Na to on, wcale nie straciwszy głowy:  
Gdzież to hrabianka błądzi? — Ja nie błądzę,  
Rzekła, lecz przyszłam ci mój próg domowy  
Pokazać palcem, byś szedł precz z dziedzińca  
Do twego króla pana, bez gościńca!

Branecki zaśmiał się: — Hrabianko moja,  
Dalibóg, gdyby spokojniejszą chwila,  
Przyłgnąłbym tutaj, jak pasterz u zdroja,  
I paść two trzody. Teraz wdzięków tyła  
Strwożony więcej, niż napadem zbója,  
Drzę. — Tutaj ujrzał, że się drzewa chyla,  
Że wypadają ludzie... Porwał w rękę  
Szablę, a w drugą porwawszy Helenkę,

Bo była bliżej, posadził na siodle  
Przed sobą, i z nią cofał się w gęstwiny;  
Tak zasłoniwszy się od strzałów podle,  
I mając puklerz z krzyczącej dziewczyny,  
Jak rycerz, który ma na tarczy w godle  
Pannę — w rumiane konia pchał kaliny;  
Zawsze ku ludziom zwracając jej łono,  
Miał znikać w gestych krzewach... wtem strzelono!

Kto strzelił, pewnie teraz tego dziecka  
Żałuj! bo po strasznym, głuchym strzale  
Nie on... lecz ona na koniu krzyknęła,  
I głos jęczący jej odjęknął w skale...  
Potem gąszcz wszystko liściem owinęła:  
Rycerz, dziewczyna, koń w kwiatowe fale  
I gestwą wpadli, a księżyc za nimi  
Bił w czarne drzewa mieczami srebrnymi.

Nie człowiek, zda się, lecz wielka jaszczurka  
W powiewną falę mórz zielonych wpadła.  
Wnet dziarska szlachta dała za nią nurka  
I krzewy na bok rozdzielając kładła;  
A gdy zniknęli — to starosty córka  
W ciszy, na mszonym kamieniu usiadła  
I przerywała czasem swe koronki  
I nabożne, głośno wołając piastunki.

Wtem wyszła z gęstwin tych zabójczych Diwa,  
Niosąc na rękę Helenkę bez ducha,  
W drugiej garść wielką smolnego łuczywa,  
Z której dym czarny i ogień wybucha...  
Aniela wstała: — Co? czy jeszcze żywa?  
O! niech mię Pan Bóg na niebie wysłucha!  
Niech ona żyje! — i dotknęła ręką  
Leżącej u nog — Helenko! Helenko!

Helenko! woła, budząc ją — nie wstała  
Dziewczyna na to serdeczne wołanie.  
Więc panna widząc, że dziewczeczka spała  
I tak anielskie miała ciche spanie,  
Ust przybliżyła i pocałowała;  
I rzekła potem cicho: — Chrysto Panie,  
Jakże ja do mnie ta śmierć przybliżyła!  
Zda mi się, że to moja siostra miła...

A Diwa: — Tobie ta śmierć przeznaczona  
Była! taj dobrze, że ją wzięła służa.  
Od rana ja dziś chodzę, jak szalona,  
Taj Siekierycha w chacie jest, i druga;  
Izba jałowcem stoi wykadzona,  
Mój mąż do trumny deski, kołki struga,  
Pogrzeb gotowy od ranku białego,  
A Bóg, co dał sen, dał i umarłego...

Idy do zamku, panienko! tam stary  
Nie wie, co robić, i pieniędzmi dzwoni...  
O! miałaby ty w zamku srebrne mary,  
Gdyby nie ten duch biały, co cię broni  
Idy, panienko, a tu jak świt szary,



Przyjdź, mając kwiaty zaszeptane w dłoni  
I przynieś jaką tam starą sukienkę,  
Co tobie krótka, zda się na Helenkę.

Rzekła; i wzięła znów z jasnej murawy  
Ciało, które się łamało na dwoje.  
A panna poszła do dworu Ładawy  
I zaraz weszła na wielkie pokoje.  
Ojciec jej siedział wśród ciemnej kurzawy  
I zaraz do niej: — Miłe dziecko moje,  
Prezentuję ci bohaterki młode —  
Ci, którzy tu nam wracają swobodę...

Oto jest sławny już dawno z imienia  
Pan Kosakowski — podobno, żeś rodem  
Z Litwy? — to wcale, wierz mi, nie odmienia  
Mojego serca; przyjmę ciebie miodem  
Litewskim. Dojdziesz pewnie do znaczenia,  
Świecąc jak słońce Litwie takim wschodem!  
Dusza Waćpana moją duszę zgadła —  
Córko! każ zmienić w izbach prześcieradła.

(Dalszego ciągu niema).

## DODATKOWE LUŻNE URYWKI

niewiadomo do której pieśni należą.

.....  
O! ileż razy mamy takie czucie  
Poetyczności przyszłej! o jak cudna  
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie  
Przenosi za grób, ale jak obłudna!  
Trzebaż, ażeby przeszło ciało zepsucie  
I kości ziemia rozebrała brudna,  
Aż z duszy, z życia i z wypadków ciągu  
Uderzy białe światło, jak z posągu?

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,  
W tem słońcu złotem, co ci oczy razi,  
W tej wodzie Bohu, co się wiecznie leje,  
W tem niebie, które żaden dym nie kazi,  
W tej róży polnej, co się na świat śmieje,  
Jest ziarno nudy, co się przeobrazą  
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiędnie młoda  
Jak róża, i upłynie — jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,  
W tę ozłoczoną ziemię się zacieka,  
Jakby w niej spała uczuć Holoiza;  
Która na trupa kochanego czeka  
Na łożu z jasnej róży i narcyza...  
We śnie, gdy z trumny jej podniosą wisła,

Otworzy ręce ta grobu odźwierna  
Spokojna, chłodna, zmarła — ale wierna.

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?

Chyba przeklęty, lub nadto wysoki,

Podobny smutnej na polu kolumnie,

Co tylko głową gwiazdy i obłoki

Kochała, zawsze wyglądając dumnie,

Chociaż jej siostry upadły w potoki

Cefizu, i tam leżą w modrej fali...

Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu

Gniazdo na skałach orła: niechaj umie

Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,

I słychać jęk szatanów w sosen szumie...

Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu.

Ze mam łez pełne oczy; lecz je tłumię

I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą

Z aniołem śmierci żyć, tak straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.

Do ciebie, matko moja, twarz obrócić;

Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,

Z obłądnych krajów położyć się wrócić

U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,

Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie zrzucę

Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,

Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;

Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy

Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,

Jak człowiek, który myśląc oczy mruży, —

Mysłąc, że myślisz o mnie, o twym synie,

Który nieszczęścia bogu wiernie służy,

Lecz bez nadziei, łzami twymi żywy,

Jak Chrystusowe w Ogrójcu oliwy

Z błogosławieństwa twego miałem blaski

Gwiazdom podobno i cieni w puszczech Gazy...

Nieraz ówiek rdzawy u podróżnej laski

Rył imię twoje; tam, gdzie same głązy,

I słychać tylko fal libijskich wrzaski

Eschyłowskimi budzone wyrazy,

Echa słyssały twoje święte imię

I słyssał je on laurów las, co drzémie.

I nad potokiem Elektry tyś była

Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości

Dolata płaczu głos, o moja miła —

Wszędzie, gdzie w polach bielegą się kości

I woła głosem rycerskim mogiła

O zemstę — wszędzie gdzie człowiek zazdrości

Umarłym i chęć śmierci duszą pije:

Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi

Słyssałem: anioł życia zadrzał we mnie!

Aniołowie mi ciebie nadpalmowi

Pokazywali świecącą przyjemnie

W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi,

I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,

Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe

I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłosne twoje oddychanie

Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;

W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —

Niechaj czytelnik na końcu usłyszysz

Moje twych biednych stóp pocalowanie,

Bo łez nie słyssał . . . . .

. . . . .

. . . . .

. . . . .

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają

Potężno ręce i potężno głosy.

Niech jej w niebiosach głośniej dośpicwają,

Niż ja, kończący tu bolesne losy...

Anioły moje już przybiegły zgrają —

Tłuką mi serce — targają mi włosy



I nazywają już wielką osobą  
I szepcą... i już zapraszają z sobą.

Bądźcież mi zdrowi, moi tegocześni  
Bracia — tem tylko różni od śpiewaka,  
Zeście lub mędrsi, albo mniej boleśni

• • • • •  
• • • • •  
• • • • •

# KRAKUS.

DRAMAT

(F r a g m e n t).

# A K T I.

## SCENA I.

*(Sala w zamku Lecha).*

Lech, Ślaz, Gryf, Rycerze, Azfon, Gwyn.

Lech.

Mości Panowie Radni i Rycerze!  
Oto dziesiąty rok, jak na tej ziemi  
Niezachwianego kosztuję pokoju.  
Jam się zestarzał i zbyłem rzeskości;  
Część mego serca poniosła do grobu  
Nieboszczka żona — a drugie pół serca  
Między trzech moich rozdzieliłem synów.  
Lecz teraz muszę rozdzielić na nowo  
Moją ojcowską miłość między synów  
I z nich jednego muszę wydziedziczyć.  
Kraak, mój najstarszy, jak to wszyscy wiecie,  
Zaprzedał swoją duszę złym nałogom  
I dał się uwieść ludziom niecnotliwym.  
Nie dziw, że trunkiem i gorszą rozpustą  
Popsuła się w nim krew, a ta popsuta  
Zepsuła serce; a takie zepsucie  
Jako zarazy plama się dzień po dniu  
Szerzy i wkrótce mi z mego dziecięcia  
Rzecz obrzydliwą, zrobi, obcą dla mnie.



O! lepiejże więc teraz się go wyrzec,  
 Dopóki można jeszcze po nim płakać;  
 Lepiej gorzkiego dziś użyć lekarstwa,  
 Dopóki gorycz może być skuteczną.  
 Niechaj więc moja wola, wyjawiona  
 W obliczu waszem, będzie ostateczną:  
 Syn mój najstarszy od dnia dzisiejszego  
 Przystaje być już do tronu następcę  
 A prawa jego spadają na głowę  
 Syna mojego Arfona. Pan kanclerz  
 Słaz niech napisze wyrok w takiej treści  
 I niech to wszemu ogłosi ludowi.

G r y f.

Pomnij, co robisz, królu miłościwy!  
 Kraka nałogi są młodości burzą.

L e c h.

Cóż? i ty Gryfie stary jeszcze myślisz,  
 Ze się pijanica ten poprawić może?!  
 O! gdyby nie wstydy, wyjawilibym tobie  
 Rzecz jeszcze o nim haniebniejszą — ale  
 Ja jestem ojcem... dosyć ani słowa!  
 Panowie państwa, przybywa tu wkrótce  
 Królowna Scytów, która zamierzyła  
 Na dworze moim szukać oblubieńca.  
 Z tego powodu dwór się mój wystroi  
 Cały na gacha — i ja, chociaż stary,  
 Nie będę może ostatnim w zalotach.  
 Cha! cha! cha! chociaż stary, jeszcze rzeski,  
 Na wyspie Gopła kazałem wystawić  
 Pałacyk świeży z cedrowego drzewa.  
 Tam w murach wonnych posadzę tę różę,  
 Co się w krainie lodów roztopiła  
 I tu białością śniegu i kryształu  
 Przybywa w ciemnej się lasów zieleni  
 Błyszcząc, jak posąg czekający ognia. —  
 Cóż, mój Arfome? czy aści serduszko  
 Nie bijo młotem? Cóż, kurczę?... odwagi!  
 Odwagą tylko można się podobać.  
 Spuszczone oczy miłe starym wdowom;  
 Panna nie może się zakochać w pannie,

A ty wyglądasz, Arfonie, jak panna.  
 Niech cię przestroga moja nie zgłuszał!  
 W przestrogach ojca zawsze pół pochlebstwa.  
 Dość!... chodźmy w jasne ubrać złotogłowy  
 Rycerskie nasze i szorstkie postawy,  
 A potem jedźmy na spotkanie Donny. (Wychodzą).

SCENA II.

(Karczma).

Leliwa siedzi przy stole z Doliwą.

Leliwa.

Mości Doliwo, gdzie nasze Kraczątko?

Doliwa.

Mości Leliwo, na księżycu.

Leliwa.

Pijmy!

Doliwa.

Pijmy, a bijmy...

Leliwa.

Kogo?

Doliwa.

Kto nie pije.

Leliwa.

Panie Doliwo! już mi się tu nudzi,  
 Ze gdy ja leję, to Waćpan dolewasz.  
 Ja powiem słowo mądre, a Waś zaraz  
 Do tego słowa dodasz drugie — głupsze,  
 A trzecie jeszcze głupsze, a dziesiąte,  
 W którym już nie ma sensu i za szeląg. —  
 Ja sobie coś zanuce, to Waś zaraz  
 Do mojej piosni zrobisz taki ogon  
 Ze swego i wycia i kichań i wiatru,  
 Ze aż mnie dyabli biorą, mój Doliwo!  
 Czy wiesz, czego ci braknie?

Doliwa.  
Czego braknie?  
Leliwa.

Jużeiż nie brzucha, ani rubinowych  
Pryszczów na nosie, lecz braknie rozumu  
I lakonizmu tobie braknie — pijmy!

Doliwa.

Pijmy i żyjmy!

Leliwa.  
Niech cię porwą dyabli!  
(Rzuca mu w łeb szklanką.)  
Doliwa.

Niech ciebie dyabli porwą do Erebu!

Leliwa.

Niechże Wacana zادةcą koguty!  
Waćpan się gniewasz nawet dodatkami

Doliwa.

Kwita z Waszmością.

Leliwa.  
Jakto proszę — kwita?  
Doliwa.

Ja wczoraj nogą ci dałem — hum — w barki,  
A dziś mi Wacan dałeś szklanką w głowę:  
Więc kwita.

Leliwa.  
Jak chcesz? niechaj będzie kwita.  
Doliwa.

Kwita — bo mamy obadwa do syta.

Leliwa.

Powiedz mi Wacan: jaka jest w Acanu  
Organizacya, że zawsze na język  
Przychodzą — dyabeł wie skąd — dwa wyrazy  
Podobne sobie, jak dwie małpy. — Czy drwisz  
Z języka, czy twój język stał się błaznem  
I bawi własne twe zęby? — Mospanie,  
Czy to od bólu zębów jest lekarstwo,  
Czy dziwny jaki fałsz w Acana dziobie?

Doliwa.  
Nie w dziobie, ale ku ozdobie.  
Leliwa.  
I znów —  
Bogdajbyś dyabła zjadł!

Doliwa.  
I siadł..  
Leliwa.

Mospanie,  
Przynajmniej, kiedy ja mówię, to Waść milcz!  
Doliwa.

Ale nie gniewaj się Waćpan; to zwyczaj..  
Leliwa.

Jeśli Waćpana ja nie odzwyczaję,  
To niech mię piorun strzaska!  
Doliwa.

Jeśli łaska,  
Pozwól Doliwo, że odpowiem na to  
Bez ceremonii. Wacan się indyczysz,  
Dyabeł wie czego — a ja chcę żyć w zgodzie,  
W zgodzie i nie o wodzie. A więc zróbmy  
Układ: ilekroć powiem dwa wyrazy  
Podobne sobie, to dla ubłagania  
Waszmości powiem zawsze „z przeproszeniem“ —  
I tak, Leliwo — piwo — z przeproszeniem  
Panie, dopóki stanie w dzbanie piwa,  
Doliwa, z przeproszeniem, się nie gniewa.  
Leliwa.

Zbójco! — canemistrzu językowy, kacie,  
Ptaku drapieźny!..

(Wchodzi Krak).  
Krak.  
Co to są za krzyki?  
Leliwa.

Kraczątko. rozsądź nas. — On przejął zwyczaj,



Słowa zamykać słowami na kłódkę  
I odzwyczaić się nie chce. Kraczątko,  
Jak będziesz królem, to postanów prawem,  
Ażeby tacy ludzie nie gadali...

Doliwa.

Kraczątko, moje lwiątko —

Leliwa.

Słyszysz? słyszysz?

Jak z nim pożyję, to wyjde na głupca.  
Ten człowiek plaga jest moja — on do mnie  
Przypiął się, jakby nasienie bodiakul  
Bóg przypiął do mnie tego grzeszyciela,  
Bóg mi przywiązał ten cień do ogona  
Jak pęcherz z grochem kotowi... Ja umrę!  
On mi humidum radicale z ciała  
Smokcze, on pije mnie, on mną się żywi,  
On jest zarazą moją! — Gdyby nie on,  
To byłbym mądry i dobrze wyglądał.  
On moją cerę zniszczył przez zgryzotę,  
Bo ja się gryzę, że on taki głupi.  
Eheu, jak mówią Grecy, królewicu,  
I ty źle wyjdiesz, źle na obcowaniu  
Z tą beczką — będziesz musiał go powiesić,  
Jak będziesz królem; — więc się nie przywiązuje,  
Bo smutno będzie wieszając przyjaciela.  
A ja dlatęgo chciałbym zostać królem,  
Aby mi było smutno, że on wisi.

Krak.

Ja ci powiadam, że się on poprawi.

Leliwa.

Poprawi? — dyabli wezmą mnie i ciebie,  
Nim się ta beczka chuci wyklaruje.  
Cóż tam, króliku mój, słyhać na dworze?

Krak.

Już od miesiąca nie byłem u ojca.

Leliwa

Kraku, dlaczego?

Krak.

Ojciec mój oszalał! —  
Ten Ślaz — ten kanclerz z bocianimi łapy,  
Prowadzi za nos starca...

Leliwa.

Co, ten chudosz?

Krak.

Ten chudosz, co był kiedyś księżym sługą,  
A dziś, okradłszy pana swego zmyślnie  
Z astrologicznych kilku wiadomości  
I z kilku szmatek kuchennej łaciny,  
Prymuje w zamku. Razem jest kanclerzem  
I moich błaznów braci guwernerem.

Leliwa.

Przekłeta zmorala! — Ot wiesz co, Doliwo.  
Co masz tu wiednać i stać bez potrzeby,  
To idź i trzaśnij go w pysk...

Doliwa.

Co? kanclerza?

Leliwa.

I cóż?

Doliwa.

A to mnie powieszają!

Leliwa.

To i cóż?

Doliwa.

Panie Leliwo, Waćpan kpisz.

Leliwa.

Kraczątko,

Ty mi coś dzisiaj smutny — co to znaczy?

Krak.

Znudzony jestem tą ciągłą potwarzą,  
Tą ciągłą walką z ludźmi zazdrośnymi.  
W całym rycerzy tłumie nie znalazłem  
Jednego człeka, któryby miał rozum  
I serce dobre -- i dziwią się błazny,  
Ze ja przepędzam czas z beczkami dwiema

Że ja przenoszę głupców towarzystwo  
 Nad towarzystwo gałganów zazdrosnych;  
 Dziwią się ludzie, że zagustowałem  
 W dwóch tłustych ludziach, co nie mają w głowie  
 Mózgu kurczęcia...

Leliwa.

Co myślisz, Doliwo?

Doliwa.

Gdybym Waćpanem był, tobym się gniewał.

Leliwa.

Jabym się gniewał, gdyby o mnie tylko  
 Takie haniebnie zdanie wykrakało  
 Nasze Kraczątko; — lecz że o dwóch mowa,  
 To więcej cieszy mnie, że Waćpan dureń —  
 Niż smuci, że mnie uznano za głupca.  
 Kto z kim przestaje, to takim się staje: —  
 Jam żył z Waćpanem, jak się pokazuje,  
 Za długo — czuję to sam już, żem zgłupiał.

Krak.

Nudni jesteście dziś — jak dwa puhacze. —  
 Mam propozycję jedną, Mospanowie?

Leliwa.

Co? co takiego, Kraczk, moje dziecię?

Krak.

Przyjeżdża tutaj młoda Syberyjna,  
 Scytów królewna — piękna, urodziwa  
 Skoro przyjedzie, wnet będą zabiegi,  
 Aby ją zaraz tu w Lechii zaślubić  
 Któremu z moich braci. — Ja wyklety,  
 Mnie oni zaraz oczernią, okłamią.  
 Idzie mi o to, aby zyskać serce  
 Tej młodej dziewy — i zdobyć jej rękę...  
 A kto chce serce pozyskać kobiety,  
 Ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie  
 Oczy, a reszta pójdzie bardzo łatwo.

Leliwa.

Poślij nas w swaty, my uwiedziem oczy.  
 Patrz, nos Doliwy błyszczący, jak jutrzeńka —

Ja dobrze śpiewam, więc uwiode uszy.  
 W nas dwóch jest dosyć lepu i przynęty  
 Na wszystkie zmysłów pięć — nas poślij w swaty!

Krak.

A bal innego tu trzeba sposobu. —  
 Chodźmy, poradzi nam piastunka Diwa,  
 Weselej będzie radzić przy butelce. (Wychodzą). (1)

(1) Pierwotnie miała ta scena następujące zakończenie  
 przez autora przekreślone:

Krak.

Bądźcie wy mi choć raz użytecznymi. —  
 Ty się przebierzesz, Mospanie Leliwo,  
 Za jakie zwierzę straszne i drapieżne;  
 Waćpan za jaką rybę albo smoka;  
 Ja za świętego Jerzego — i będę  
 Was obu grzmocił w obliczu kochanki,  
 Przysięgam, tylko kijem będę grzmocił

Doliwa.

Ja protestuję!

Leliwa.

A ja mówię: zgoda.  
 Gdyby jednemu mnie okładał boki.  
 Płakałbym jak bóbr — aie że Waćpana  
 Boki okładać będzie, to mi słodko...  
 Chodź Waćpan — zaraz uczynię Waćpana  
 Rzeczą, co będzie bita...

Krak.

A więc zgoda?

Leliwa.

Zgoda, Kraczątko moje.

Krak.

A więc chodźmy!

Piastunka moja, Diwa, nas ustroi  
 W nowe figury — i szczęście zamówi.

Leliwa.

Doliwa będzie rybą — będzie bity...  
 Zaraz ułożę dla niego piosenkę. (Wychodzą).



SCENA III.

(*W namiocie.*)

Szaman, Syberyna.

Szaman.

Córko kochana, jesteśmy już blisko  
Siedziby Lecha. Podaj mi się teraz,  
Ja ci wybiorę przyszłego małżonka  
I szczęście życia zapewnię wyborem.

Syberyna.

Ojczel ja między lody wychowana,  
Nic nie widziałam, nic nie znam na ziemi  
Tyś mi pokazał wczoraj tulipana:  
Myślałam, że to jest duch ze złotymi  
Oczyrna, w głębi swego serca żywy;  
Wczoraj dotknęłam się listka pokrzywy  
I ukąszona biłam ten kwiat ręką  
I ciągle kąsał — aż ojczel nadbiegłeś...

Szaman.

Kwiat najpiękniejszy będzie tobie męką,  
Jeśli się oczom dasz wieść.

Syberyna.

Ty mnie strzegłeś,

Ojczel, od wiatru, co w północy wyje.  
Zylam wśród białej, nieżywej krainy.  
Przyprowadziłeś mnie teraz w doliny,  
Gdzie wszystko jak ja oddycha i żyje.  
Tu jest brzęk życia w powietrzu: — motyle,  
Jak śniegu różnokolorowa płatki,  
Lecą na ziemię — źródła szemrzą mile;  
Gdy spojrzę okiem przez pień sosny rzadki,  
Widzę cudowne zwierzęta w koronach,  
Jak nasze reny — ale całe złote...  
Czy my jesteśmy, ojczel, w jakich stronach  
Zaczarowanych?... Pokaż mi istote.

Którą ja kochać mam — bo już się Kocham.  
Już zakochałam się, ojczel, w kolorach,  
W ciepłym powietrzu, co powiewa wronie  
I księżycowi chłód odbiera z twarzy...

Szaman.

Dziewczyno moja, Kochasz się oczyma:  
Zmuszony będę ci odebrać oczy,  
Aby szalone — serca nie uwiodły...

Syberyna.

Oczy odebrać mi, ojczel? dlaczego?...

Szaman.

Mówiłem tobie, by ocalić serce.

Syberyna.

Pozwól mi patrzeć, ojczel — ja przyrzekam.  
Ze nie obaczą ludzie mego wzroku,  
Ty sam nie będziesz widział, że ja patrzę.

Szaman.

Za młoda jesteś — zdradzisz się.

Syberyna.

Nie, ojczel.

Szaman (do siebie).

Muszę doświadczyć, jaka jest moc kłamstwa  
W najniewinniejszej z żeńskiego półgłównia.

(głośno).

Dobrze więc — pomnij, moja Syberyno,  
Ze odtąd będziesz między ludźmi ślepa.  
Obaczysz wtenczas, kto się ulituje  
Nad twą ślepotą i zgodzi się zawsze  
Być twojem słońcem, a co jeszcze gorsza,  
Być niewidzianym przez tak duże oczy.

Syberena.

Zobaczysz, ojczel, jak ja ich oszukam.

Szaman.

Idź teraz spocząć po długiej podróży.

Syberyna.

Ojczel, gdzie twoje czoło?

Szaman.  
Jużeś ślepa?

Syberyna.

Ustami tylko mymi teraz widzę...  
Dobranoc, ojcze... gdzie drzwi?

Szaman.  
O! fałszerko!

(Odprowadza ją i wraca).

Jestże piękniejsza rzecz na całej ziemi,  
Jak wychowana w ustroniu dziewica  
Czysta, wstydliva, choć ogniem miłości  
Już przepelniona jak kwiat nieotwarty  
A pełny woni w zatulonych liściach?  
O! jakże pięknie ta fałszywość pierwsza,  
Małąką groźbą ojca wywołana,  
Błysnęła w oczkach jej: — „Ojcze, gdzie czoło?”  
„Gdzie drzwi? ja, ojcze, nie widzę“ — i prosto  
Patrzała w oczy mi gwiazdami dwiema  
Rozwidnionymi ogniem i uśmiechem...  
Dla niej oddałem się czarów nauce:  
Straciłem ducha wolność — włos mi zbierał  
Przestachem różnych okropności, które  
Wywoływałem z głębokości ziemskiej,  
Nim do wyższego podniesiony szczebla,  
Nauczyłem się okropnem zaklęciem  
Wyższe i piękne wywoływać duchy. —  
W pięknych jest większa moc nad przyrodzeniem:  
Straszne i brzydkie im ulegać muszą  
I są narzędziem pierwszych... Syberyno!  
Twój ojciec królem jest pięknych aniołów  
I girlandami jasnych władz otacza  
Swoje kochane dziecko, kiedy smutne. —  
Ty nie wiesz sama, dlaczego twe łezki,  
Małym kaprysem w oczach urodzone,  
Wnet zdmucha wonne radości powietrze  
I osusza je, nim na ziemię spadną.  
Ty nie wiesz, czemu świat ci się wydaje  
Pełny kolorów — i oddychający  
Miłością, szczęściem, w najmniejszym listeczku.

Ty wszystko widzisz przez mgłę, utworzona  
Z ulatujących i motyli Nixów,  
Których jest ciałem woń i kolorowość,  
A kształt nie inny, jak to z czego człowiek  
Marzeniem może stworzyć zamysłoną  
Postać — i widzieć ją duszy oczyma...  
Spij, Syberyno — ja cię przeprowadzę  
Przez teatr świata: i tylko cię tyle  
Dotknie boleści, ile może człowiek  
Uczuć łez albo przestraszenia we śnie —  
Ach! tylko tyle, ile doznać trzeba,  
Aby obudzić się z radosnym krzykiem  
I obudzenia swego nie żałować...  
Chodźmy — ten smutny ci sen przygotowuje  
Ze sługą moim, jasnym Eolionem. —

#### SCENA IV.

Ślaz, Arfon, Gwyn, Barbarus.

Ślaz.

Barbarus, stój tu z lichtarzem i ucz się,  
Et participiat myśl twa barbarzyńska  
Z nauki, którą wkładam jak łopatą  
W przejasne głowy mądrych królewiców  
Ergo: zapytam z czoła katechizmu — —

Arfon.

Z czoła? dlaczego z czoła?

Ślaz.

Twarda głowa!  
Szczęściem, że będziesz, panie Arfon, królem.  
Powiedz mi, Mości Książę, kto świat stworzył?

Arfon.

Bóg.

Ślaz.

Mości Książę Gwynie, a Waś powiedz!

Gwyn.

Pierwszego pytaj mnie, to ci odpowiem.



Śl az.

Barbarus, zawstydz księcia! — Kto świat stworzył?

Barbarus.

Bóg, dobrodzieju.

Śl az.

Bóg — Deus — Jehowa. —

Panie następcu tronu, s o l co znaczy?

Arfon.

Słońce.

Śl az.

Co to jest słońce, panie Gwynie?

Gwyn.

Okno, któredy dzień schodzi.

Śl az.

Barbarus,

Ucz się, gałganie ciemny — jest to okno?

Barbarus.

Mój dobrodzieiu...

Śl az.

Cóż to? co, niedźwiedziu?

Apollinarius Sidonius — Gwalbertus —

Sanctus Avitus — o tym luminarzu

Mówią, że to jest... luminarz... więc ergo...

.....

# WALLENROD.

DRAMAT.

(F r a g m e n t).

## OSOBY.

WALLENROD.

KIEJSTUT.

JAGIEŁŁO.

KIRGIEŁ.

NARYMUNT } bracia Jagiełły.

WITOŁD, syn Kiejstuta.

HALBAN.

ALF, giermek.

DWÓCH WAJDELOTÓW.

I i II KRZYŻAK.

BIRUTA, żona Kiejstuta.

ANNA, żona Witolda.

AXENA, siostra Jagiełły.

KSIENI, matka Wallenroda.

## AKT PIERWSZY.

SCENA.. (1).

Pierwszy krzyżak.

I poszedł na roraty.

Drugi.

Z pałaszem i w szlafmycy.

Pierwszy.

Dobra piosenka, Panie Knyper, bo zawsze człowiek czego się innego domyśla, a tu rzecz niewinna. No, jeszcze strofe!

(Wchodzi Wallenrod).

Wallenrod.

Oóto za śpiewy w moim domu, knechty?

Czyścić mi zbroje, opatrzeć oręż!

Jutro na Litwę wyjeżdżamy — precz stąd!

(Krzyżacy odchodzą).

Ha! więc godzina przyszedł! Żegnaj teraz,

Rycerska sławo, dumo i ty jędzo,

Miłości własna, żegnaj! Los zaczyna

Podgryzać twardą podstawę posagu,

Aż runę z góry i w proch się położę.

(1) Początku tej sceny, jako i początku tego całego aktu braknie w własnoręcznym rękopiśmie poety. Jestto już scena trzecia od końca.

(P. W.).



(Halban wchodzi).

Jesteś, nieszczęścia kuku! Weź tę harfę  
I wyjdź na ganek, graj, aż moja matka  
Usłyszcy i tu zejdzie korytarzem...

(Halban wychodzi).

O smutna pieśni, którą tyle razy  
W dzieciństwie mojem słyzałem na Litwie!  
Jak ty rozdzierać musisz matki serce,  
Podobna skardze szczęścia minionego  
I zawiedzionych nadziei placzowi...

(Wraca Halban).

Halban.

Słyszala i tu idzie przeorycha.

Wallenrod.

Dobrze... Nie nie mów do mnie, jestem wściekły.

(Wchodzi Ksieni).

Matko, na Litwę idę...

Ksieni.

Już na Litwę?

Wallenrod.

Jagielle pomóc przeciw Kiejstutowi.

Ksieni.

Przeciwko ojcu ty idziesz własnemu?

Wallenrod.

Czy ja mam ojca? wszak jestem bękartem!  
Natura nie ma żadnych praw nademną.  
Jestem — jako struś, wywiedziony z jaja  
Słońca promieniem — słońce mam za ojca.

Ksieni.

A Litwę masz za matkę — jestem Litwą...

Wallenrod.

Nieszczęście zaś za siostrę, śmierć za żonę,  
A krew za napój. Wszak tak, stary mnichu?

Halban.

Naknij losowi — a potem się poddaj!

Wallenrod.

Czy wy jesteście pewni, że mię w Litwie  
Nie pozna żaden człowiek — nawet oczy  
Własnego ojca — nawet jego serce?...  
Trzęsiecie głową... takżem ja zmieniony?

Halban.

Choroba twoja w Hiszpanii, Walterze...

Wallenrod.

Tak, zwaryowałem był kiedyś z tęsknoty;  
Lecz teraz jestem zdrow. Cóż rozkażecie?

Ksieni.

Przysiąż, że nigdy się nie zdradzisz!

Wallenrod.

Siebie?!

Byłbym człowiekiem pełnym nierozumu,  
Gdybym się zdradzał...

Ksieni.

Przysiąż mi, Walterze!

Wallenrod.

Dobrze — przysięgę tę weź, moja matko,  
I zrób z niej worek.

Ksieni.

Jakże to rozumiesz?

Wallenrod.

Worek na ludzkie przysięgi — kradzione.

Ksieni.

Gorzko ty mówisz do mnie na odjezdne.

Wallenrod.

Matko, ja ciebie kocham...

Halban.

Dziwno serce!

Jako wosk miękkie — jak wicher szalone!

Wallenrod.

Niech ten filozof stary, co prowadzi  
Za nos narody, i mnie iako frygę

Kreći — niech będzie Homerem! Inaczej  
Wszystkie me czyny rycerskie nie warte  
Zycia jaskółki...

Halban.

Nie bój się, żyć będą!

Wallenrod.

Gdzie? na księżycu?

Halban.

Wyjeżdżasz komturem,

Wrócisz zakonu mistrzem...

Wallenrod.

Wróżba krwawa!...

Lecz wróżby trzeba jako sny tłómaczyć  
Na wspak... Czy Winrych chory?

Halban.

Walter Stadion

Powróci mistrzem!

Wallenrod.

O! męska Hekatel!

Widać w nim zawsze starego guślarza,  
Choć został mnichem świętego Franciszka...  
Słuchaj, a Winfryd Juningen czem będzie?

Halban.

Umarłych dusze idą zawsze w stadach  
Jako bociany, z żałosnymi wrzaski,  
Aż zejda z nieba i polecą w ciemność —  
Nieprawdaż, matko?

Ksieni.

zostaw nas, Walterze!

My uprzątniemy tobie drogę z ludzi,  
Schowamy trupy; znajdziesz miejsce czyste,  
Posłane łoże, wymyte podłogi...

Wszystko się stanie wprzód, nim ty pomyślisz,

A gdy pomyślisz, już będzie zrobione.

A teraz ci dam ostatnią przestrożę:

Oszczędzaj Litwy krew i głowę ojca,

Lecz bądź zwycięzca!

Wallenrod.

Kobieca przestroga!

Ksieni!

Guślarzu, idźmy teraz zbierać zioła.

(Odchodzą).

Wallenrod.

A ja do stajen pogadać z rumakiem,  
Czy się nie złamie pod zbrojnym krzyżakiem...

## SCENA PRZEDOSTATNIA.

(W *samku Kiejstuta*).

Kiejstut, Biruta, Dwóch Wajdelotów, Giermek Alf, Witołd, Anna (żona jegc)

Kiejstut (do Anny).

Cóż ty, Rusinko, w złotym kokoszniku?  
Czy ci wesoło w Trokach? Oóż, Witołdzie?  
Miodowy miesiąc zawsze bywa słodki.  
Biruta, co ma teraz włosy srebrne,  
A pierwiej miała włosy takie złote,  
Jako miodowy księżyc — niechaj powie,  
Czy Kiejstut dobrze kochał ruski miesiąc?

Biruta.

Drapałam ciebie wtenczas pazurami,  
Biłam, jak słowik skrzydełkiem gadzinę,  
Jak wąż skakałam do oczów. Mój stary,  
Jeśli to miód był, to pewno nie słodki!

Kiejstut.

Skłamałaś, stara moja... o! skłamałaś.  
Bom ja uciekał — tyś goniła za mną!  
Schowałaś mi hełm, abym nie wychodził.  
Spaliłaś w piecu lipowe chodaki,



Ukradłaś kiesę, bym nie pił za domem,  
Potrułaś mi psy, abym nie polował.  
Tak, na Peruna tak! Widzisz, Witoldzie,  
Jak matka kłamie. Bij swoją Rusinkę,  
Bo nadto wielka dobroć psuje żony.

Anna.

Jeśli bić będzie, to mu przypnę rogi  
Takie, jak twoje, teściu mój, Kiejstucie

Kiejstut.

Takie, jak moje?

Anna.

Wszak masz hełm z rogami.

Kiejstut.

Ha widzisz! sarna je była przypięła  
Jednemu z czarnych jeleni, dlatego  
Że nie bił żony — to są rogi sarnie.

Anna.

Ja Witoldowi przyprawię miesięczne.

Witold.

Co mi tam! posag już po tobie wziętem  
Nie dbam o mięso sobole — mam skóry...

Anna.

Nie dbasz o kunę twoją? nie dbasz o nią?  
Jak ci dam szcztukę w hełm, obalę z koniem,  
Zawinę ciebie w pieluchy, jak dziecko,  
I gdzie powieszę na haku... Pohaniec,  
Nie dba o żonę!

Witold.

Cyt, moja kraszanka!

Anna.

Nosek o nosek — uderzył twój się stłucze...

Witold.

Twój był stłuczony już, gdy ciebie wziętem!

Anna.

Pies! O Biruto, każ mu pójść do kąta!  
Każ wleźć pod ławę! Odszczekaj mi zaraz,

Mój srebrny mężu, zaraz mi odszczekaj,  
Bo wajdelotom powiem, że na ciebie  
Jesteś kosmaty — będą w pieśniach śmiać się...

Witold.

Koteczko moja!

Anna.

Ajl jak ty mię ciśniesz!

Witold.

Niech ojciec wiedźmę tę wypędzi z domu!  
Wczoraj potłukła wajdelotom liry  
Dlatego, że jej zaśpiewali o mnie.  
Alfa przez okno rzuciła w jezioro,  
Aby zobaczyć, czy Litwin z natury  
Pływa po wodzie, czy zaś idzie na dno.  
Dwa dni — sokoła mego najstarszego,  
Który już siedział na łaskawym chlebie,  
Kazała upiec i dać na wieczere!  
Pytam: co taki twardy ptak? — a ona:  
Mężu, to kura! — patrzę — a ta kura  
Na szyi pierścień ma żelazny — ścierwól  
A jużem udo zjadł...

Kiejstut.

Udo sokole?!

Witold.

Jeszcze się teraz ze mnie śmieją wszyscy!

Kiejstut.

Biruto, widzisz, jaki nasz syn głupi:  
A mówią, że to bohater za domem.

Anna.

Mnie, żony, spytać — powiem, czy bohater!

Witold.

Cyt, słyszę jakieś trąbienie — od Wilna...

Anna.

Jacyś rycerze tu jadą na wyspę.

Kiejstut.

Bogdaj nie jakich czarnych nowin gońcel.  
Bo mi tak dobrze, jak jest — a odmiana

Już być nie może na lepsze.

(Wchodzi Goniec).

Co słychać?

Goniec.

Jagiello uciekł z Krewa dzisiaj w nocy!  
Narymunt, jego brat, i Korygiełło  
Zdradą na wozach pod chlebem i sianem  
Do Wilna skrytych wprowadziwszy ludzi,  
Zajęli miasto, oraz zamki oba.  
Załoga, napół zbrojna, tu się cofa...

Kiejstut.

Ranek spokojny — nad wieczorem burza.  
Widzisz, Witołdzie — ja tobie mówię,  
Ze nigdy ufać nie można Jagielle!  
Ciebie ta lisa skóra będzie łudzić  
Do dnia sądneho. Widzisz, co się stało!  
Trzeba go było przykuć, jak niedźwiedzia,  
A myśmy miodem lipcowym karmili.  
Masz teraz skutek! Znów wojna — pożary —  
Znów wewnątrz rzezie: — a takiego ranku,  
Jak dziś, by cała książęca rodzina  
Zasiadła razem i ludzkiego szczęścia  
Zakosztowała — może już na długo,  
A może nigdy już się nie spodziewać —  
W nieszczęsną ty się urodziłeś chwilę,  
Zły mój synowcze, co tak Litwę kłócisz!

Witołd.

Jagielly wszakże potępiać nie można!  
Wolności szukał, jak z nas każdy — i ty  
Ojczę Kiejstucie. Wszak byłeś trzy razy  
Więźniem i zbiegiem — wie o tem Biruta.  
O sobie myśląc, nie potępiaj w drugich!  
Takiego ducha i takiej odwagi...  
Wszak się nie dziwisz, że latają orły;  
Wszak się nie dziwisz, że co wiosny bocian  
Znajduje zamek trocki i powraca.  
Tak człowiek wolność swoją zna — i do niej  
Wie dobrze drogę. Jagielly nie bronie!  
Winien być, ojczu, nam zaufać dłużej,

A tybyś mu był sam dał w podarunku  
Skarb, który dzisiaj sam Jagiełło bierze.  
Do nas należy drugi raz odebrać  
I drugi raz mu dać, by z łaski naszej,  
A nie z przemocy, był nam równy w Litwie;  
A tak wyższymi zawsze my będziemy,  
Lecz jako ludzie — w dobroci i duszy  
Wyższymi, także jeśli można, w sławie.  
Ziemią i skarby dzielimy się na równo,  
A nawet — kto mniej weźmie — szlachetniejszy,  
Jeśli mógł więcej, a wziął tylko mało...

Kiejstut.

Patrzaj, Biruto, jaki to filozof  
Nasz syn! Wyprawiliby nas starych z torbą...  
Witołdzie, wraz mi na koń! Dzwonić w trąby!  
Sam na koń wsiedę. — Al! pociągnij miecza.  
A wy do komnat, baby! — Wajdeloci,  
Gotujcie liry wasze, bo podobno  
Raz ostatni pieśń o mnie zabrzmicie -

Wajdelota.

Żałobną!

(Wychodzą).

## SCENA OSTATNIA.

(W Klasztorze Krzyżaków).

Ksieni, Halban.

Ksieni.

Słuchaj — te świece ze krwią gotowane!  
Do toju strasznych przymieszalem jadów.  
Zapał je — gdzie chcesz, aby człowiek skonał:  
A człowiek skona...

Halban.

Daj tę czarną świecę!



Choćby odkryto, żadne podejrzenie  
Na Wallenroda nie padnie...

Ksieni.  
Idź i truj  
(Rozchodzą się).

## A K T II.

### SCENA I.

(Obóz Jagielly).

Jagiello, Kirgieł, Narymunt.

Jagiello.

Byliśmy prawie do szczytu pobici.  
Kiejstut jak stary lew chodził w około,  
I wszędzie oczy straszne mego stryja,  
Jako dwie gwiazdy krwawe, spotykałem  
W mojem utkwione sercu. Dziesięć razy  
Byliśmy tylko o miecza dłużynię,  
I zawsze starzec nie podnosząc miecza  
Stał, srogo patrząc na mnie; a ja byłem  
Gotowy klęknąć, gdyby się uśmiechnął:  
Ma uśmiech mego ojca — i coś w twarzy,  
Co nakazuje miłość...

Narymunt.

O Jagiello!

Gdyby nie Krzyżak, byłibyśmy zbili.

Jagiello.

Dziwna krzyżacka pomoc! Stał na górze,  
Ani się ruszył...

Narymunt.

Ale straszna postać

Gdy się na górze nagle ukazała:

Obiedwie strony przejął strach — i obie  
Spuściły miecze.

Jagiello.

Tak, w porę się zjawił  
Mieczem przeżegnał z góry i rozbroił.  
Lecz słyszę trąby — to ów Krzyżak idzie.

(Wchodzi Wallenrod).

Wallenrod.

Gdzie tu jest książę Jagiello?

Jagiello.

Ja jestem.

Wallenrod.

Przychodzę tobie pomóc. — A ten rudy?

Jagiello.

Mój brat Narymunt.

Wallenrod.

A ten z płaskim nosem?

Jagiello.

Drugi brat, Kirgieł.

Wallenrod.

Każ mi podać krzesło!

Wiele Krzyżakom dasz, jeśli pomogą?

Jagiello.

Konturze, teraz nie jestem bogaty:

Mogę obiecać, ale dać nie mogę.

Wieleżbyś żądał za twą pomoc szczerą?

Wallenrod.

Nie prawiel Knechtów, których mi zabija,

Każesz przeważyc z kołmi i rynsztunkiem

A potem srebra dasz na wagę trupa...

Jagiello.

Srebra? — czy myślisz, że się w Litwie rodzi?

Wallenrod.

Co knechty, wiem, że z Prus je sprowadzacia.

Jagiello.

Łatwiej o knechtów, niż srebro.

Wallenrod.

Nie, wcale!

Jagiełło.

Już nie wytrzymam tej krzyżackiej dumy...

Wallenrod.

Jeśli nie dajesz tyle, ile żądam,

Wraz wojnę w Litwie rozpocznę dla siebie.

Jagiełło.

Czyń, jak chcesz! nadto jesteś w ustach twardy.

Wallenrod.

Więc do widzenia!

(Odchodzi).

Jagiełło.

Widziałże kto w Niemcu

Podobną dumę? — Bracie Narymuncie,

Jedź do Kiejstuta, ofiaruj układy,

Witołda serce skrusz — Witołd mię kocha.

Powiedz, że z Niemców mamy nieprzyjaciół.

Namiot wystawić każę przed wojskami

I tam na stryja mego będę czekał

Z uszanowaniem i z podległą skruchą.

## SCENA II.

(Obóz Kiejstuta).

Kiejstut, Witołd, Alf.

Kiejstut.

Witołdzie, teraz Jagiełło z Niemcami!

O! widzisz, jaki to waż — widzisz synu!

Mój Witołdzie, już mi nie mów więcej o tym człowieku.

Grób nam wykopał, grób ziemny!

Witołd.

O! jeśli takim, jakim dziś się czuje,

I jutro będę: jutro będę królem!...

Dziśbym wystrzelał wszystkie gwiazdy z łuku!

Dziśbym wziął w ręce słońce płomieniste

I rzucił z procy na Jagiełły głowę;

Dziśbym go z koniem zarzucił na księżyc,

A potem skoczył za nim i tam deptał,

Jak krwawą żmiję; dziśbym robił cudy,

A gdybym umarł, bogi by mi dały,

Zapalać piorun lub odpierać tarczę

Zhukane morze, albo dźwigać córy

I ziemią całą trząść pod nimi z gniewu!...

Kiejstut.

Ja także jestem jakby odmłodniały;

Nie czuję trwogi — ani też rozpaczy.

Spokojny jestem, jak jezioro trockie,

Jak stare puszcze głębokie i ciemne.

O siebie jestem spokojny — lecz moja

Riedna Biruta!... Litwa się zepsuła!

Czy myślisz, żeby się znalazł jeszcze w Litwie jaki człowiek, któryby chciał skończyć na moim stosie, gdybym ja umarł?

Witołd.

Ojczyźnie Kiejstucie, co za czarno myśli?

Kiejstut.

Alf, chodź tu!

Alf.

Panie...

Kiejstut.

Czy tybys się spalił ze mną?

Alf.

Ja?... spaliłbym się!

Kiejstut.

Tak ci się zdaje, dziecko. Psy skowycząc uciekają od człowieka, gdy je chce złowić; psy przeczuwają śmierć i wyjąc idą w lasy; trzeba je w workach wiązać i nieść do trupa pańskiego.

Alf.

To psy...



Kiejstut.

Patrz. Witoldzie, jaka duma w tem dziecku! Któżby powiedział, że to bękart tego zdrajcy haniebnego Waltera Stadiona?!

Alf.

Spalę się na stosie twoim, ale ojca mego nie nazywaj zdrajcą.

Kiejstut.

Niestety! Moje dziecko, ja go niegdyś kochałem. Ojciec twój uciekł do Krzyżaków, a potem gdzieś oszalał w hiszpańskim szpitalu i umarł wściekły... Zdrada jego przypadła właśnie w czas bardzo srogi dla Litwy: byliśmy zupełnie pobici — pamiętasz, Witoldzie? — lecz ty miałeś wtenczas lat siedem... Matka jego z rozpaczy powiesiła się była przed mymi oknami na starej sośnie, lecz pastuch, przechodząc rano, odciał powróż i ocucił ją... Potem zniknęła... Także jeden guślarz z pod Trok—zniknęli razem... Chodź tu, Alf, sierotą jesteś...

Alf.

Więc mię umarli widzą.

Kiejstut.

Ciebie — i myśli twoje.

Alf.

Jeśli się spalę, czy będą o mnie śpiewać wajdeloci?

Kiejstut.

Będą.

Alf.

I za sto lat?

Kiejstut.

Pieśń żyje wieki.

Alf.

A ty wiele jeszcze możesz pożyć, Kiejstucie?

Kiejstut.

Dziwno to psiatko! — zalewa mi oczy  
Przezroczystymi łzami... Chodź! daj mi ust...  
Różane twoje usta tchną mi życiem,  
A twarz mi dawne czasy przypomina.  
Dziś mi innego znajdź. Witoldzie, giermka!

Niechaj to dziecię żyje lata długie!

Alf.

Dlaczegoż ty mię chcesz odprawić książę?  
Czym ci źle służył?

Kiejstut.

Cicho, małe szczenię!

Alf.

Jeśli odprawisz, pójdę do Krzyżaków.

Kiejstut.

Każę cię wtenczas złowić i powiesić.  
Patrzno mi kruk!

Witold.

Idzie brat Jagiełły

Zapewne zgodę ojcu proponować.

(Wchodzi Narymunt).

Kiejstut.

Nie, nie, nie! nie ma zgody między nami!  
Niel póki Kiejstut ma bron, nie ma zgody!

Witold.

Mów, Narymuncie, z czem jesteś przysłany?

Narymunt

Przychodzę stryja mego serce skruszyć:  
Przychodzę—tę krew, co między Jagiełłą  
A między starym Kiejstutem się toczy,  
Jako Wilenka między dwiema góry —  
Przychodzę na tej krwi z mojej pokory  
Most zrobić pewny, aby się Jagiełło  
Z Kiejstutem mogli zejść, połączyć dłonie  
I wiecznie zjednać. Przyszedłem, Kiejstucie,  
Abyś na mojej pokornej osobie  
Wzrok przyzwyczaił do Jagiełły twarzy  
I pierwsze gniewy na mnie tak wyrzucił,  
Jak chmura pierwsze pierunowe strzały  
Wypuszcza w lasach na żubry i łosie,  
A potem idzie spokojna i cicha  
Po nad głowami królów. O! Kiejstucie,  
Mnie karz — a przebacz Jagiełle urazy!

Jam go namówił uciec, jam go wspierał —  
Na moim garbie stanąwszy, dosięgnął  
Krewskiego okna i z więzienia wyszedł —  
A teraz widzi, że napróżno walczyć  
Z Kiejstutem starym i z Witoldem młodym  
Kiejstut jest wichrem, a Witold piorunem!  
Królewska godność patrzy z waszych liców,  
Pokora płynie z ust Olgierdowiców.

Kiejstut.

Zawsze masz słodkie usta, mój kochany,  
A złe ci patrzy z oczu, stary kocieł  
Nie jestem księżę na Trokach blaszany  
I to pokażę wam. Jadasz na złocie  
I złotem jesteś jak indyk nadziany,  
A jeszcze szukasz kraś, gdzie się nadarzy.  
A wieleś ty wziął od Jagiełły w łapę  
Za to, byś przyszedł, bym na twojej twarzy  
Splunął gniew pierwszy? A czemu Jagiełło  
Sam tu nie przyszedł? Straszne z was kręcicie!  
Nie ufam więcej — nie ufam... Zdradziacie!

Narymunt.

Witolda poślij — niech z Jagiełłą mówi!

Kiejstut.

Poślę niedźwiedzia, niechaj go rozedrze!

Narymunt.

Serce Jagiełły już rozdarte żalem...

Kiejstut.

Cóż z niego płynie — czy krew, czy trucizna?

Narymunt.

Łzy płyną gorzkie!

Kiejstut.

O! o! jeleń płacze!

Muszą go więc psy już trzymać za uszy.

Narymunt.

Żal mu, że wezwał Krzyżaków na Litwę...

Kiejstut.

Żal mu, że trzeba groszem płacić mnichy.

Narymunt.

Żal mu, że stryja dobrego obrazik.

Kiejstut.

Płacze jak dziecko więc, kiedy je biją,  
A z tyłu kułak pokazuje, grożąc.

Narymunt.

O! że nie grozi, patrzaj — oto dowód: —  
Sam tu przychodzi.

(Jagiełło wchodzi).

O! Jagiełło bracie,

Te wykopałem doły kolanami  
Jako dwa groby: — Stryj przebaczyć nie chce.

Jagiełło.

Stryju Kiejstucie! przysłałem do ciebie  
Z przeprosinami brata Narymunta,  
Lecz gdy się późnił długo, sam przychodzę.  
Zapomnijcie mi, stryju, moje winy;  
Lecz nie tak, jako pierwaj, zapomnijcie —  
Karząc więzieniem, jak podłego zdrajcę!  
Witoldzie, witaj!... patrzysz na mnie srogo,  
Albo odwracasz oczy gdzieś na ściany,  
Jakbyś się za mnie wstydzisz... Mój bratanku,  
Miałem w ciemnicy zgnieć — nie użyć zdrady?  
Wszak wyście Wilno mi zajęli zdradą,  
Zamordowali męża mojej siostry,  
A mnie samego wsadzili do lochu,  
Karmili chlebem, kwasem ukwasili...  
A teraz, widząc księciem — cóż tracicie?  
Jagiełło — księżę, przeprasza Kiejstuta!  
A to jest lepiej, niż gdyby go więzien  
Prosił o łaskę... Olgierd by się zaparł  
Takiego syna — ty takiego brata!  
Czyli wam smutno, że nie jestem podły?

Kiejstut.

Tak, do Witolda ty obracasz mowę.  
Ty wiesz, że Witold ma z bursztynu serce,  
Gdzie przyjaźń twoja, jako utopiona  
Zaba, tysiąc lat bez powietrza żyje



I rusza brzuchem, choć ty jej nie karmisz  
Ani dobrocią, ani zaufaniem...  
Witołd — to hardy młokos, z miękkim sercem!  
Witołdem żyjesz ty na stryja stole!  
Witołda dobroć jest twoją spiżarnią!  
Witołda chowasz sobie od potrzeby  
Na wszystkie zdrady — jak myśliwiec jaki,  
Który, nim stanie na dzika z oszczepem,  
Pierwej upatrzy do ucieczki drzewo...  
Lecz się ten wreszcie most pod tobą złamie!  
Wybrałeś wszystko, coś miał u Witołda: —  
Witołd już wyznał, żeś ty jest przewrotny,  
Dumny, ambitny i samolub chciwy.  
Znamy cię teraz dobrze, mój synowcze!  
Będziemy kochać, ileś wart — nie więcej: —  
Dawać, ile sam zasłużysz — i mierzyć  
Podług twojego głodu twoje ścierwo,  
Wilku żelazny! — Czegoż chcesz odemnie?

Jagiello.

Twardość mi, stryju, odpowiedział, twardość  
Za broń-by trzeba chwycić i za żagiew,  
Przez ciebie skoczyć i pójść aż na Troki;  
Silniejszy bowiem jestem w broń i ludzi.  
Krzyżacy stoją na górach, a Wilno  
W moim jest ręku. Jednak nie odejdę,  
Dopóki mogę bez ostatniej hańby  
Uniżać czoła.

Witołd.

Przebacz mu, Kiejstacie...

Kiejstut.

O! zgubisz ty mię, synu, zgubisz synu!

Witołd.

Ja wiem Jagielly zamiar, ojcze drogi!  
On chce uderzyć zgodnie na Krzyżaków.  
Jeżeli jakie oszukaństwo kryje,  
To nie przeciw nam, lecz przeciwko mnichom...  
On wie, że Witołd potrzebny na Niemce,  
A więcej jeszcze zwycięstwu pomaga  
Ir... Kiejstuta. Dajże mu twe imię,

Daj mu Witołda — niechaj ma zwycięstwo!

Kiejstut.

Prawdę on mówi? — chcesz ty na Niemca?

Jagiello.

Tej samej nocy.

Kiejstut.

No, to weź Witołda!

Jagiello.

Lecz wy mi, stryju, pomożecie? (całuje go w rękę).

Kiejstut.

Jagiello!

Jeszcze raz tobie przebaczam; — pamiętaj,  
To raz ostatni.

Narymunt (na stronie)

Tak, to raz ostatni!

Jagiello.

Witołdzie, namów ojca — niech do Wilna  
Na tę noc zjedzie i dla bezpieczeństwa  
Sprowadzi z Wielkich Trok żonę i dzieci.

Kiejstut.

O! zdaje mi się, że bezpieczniej w Trokach  
Niż w twojem Wilnie.

Witołd.

Ojcze, znów go ranisz...

Kiejstut.

Jechać? — Witołdzie, powiedz —

Witołd.

Ojcze, jechać!

A ja do tego czarnego kontura:—

Wyspowiadam go i wojnę mu rzuć.

Jagiello.

Kirgieł niech jedzie prosto do Biruty  
I z całym dworcem kniahynią sprowadzi  
W zamek wileński — A ty, Narymuncia  
Spiesz i przygotuj ucztę na zamczysku.  
Oraz wysokie dla Kiejstuta krzesło!

My, stryju, zwoľna pojedziemy loniem,  
Aby widzieli ludzie, eśmy w zgodzie.

SCENA III.

(Zamek w Wilnie).

A x e n a, p oźniej N a r y m u n t.

A x e n a.

Dziś cała ciemną noc nie spały kawki  
Na mojej wieży, lecz wrzeszczały ciągle;  
A w tym szeleście i krzyku słyszałam,  
Jakby mówiły: my objadły kości  
Twego Wojdyły, gdy na szubienicy  
Zawieszony był przez stryja Kiejstuta. —  
Ja wrona jemu siedziałam na głowie  
I jadłam oczy. My dwie na ramionach...  
Druga wrzasnęła głucho: trup był czarny!  
Trzecia wrzasnęła cicho: księżna słyszy —  
Małżonka jego, księżna śpi pod namil...  
Wisielca tego żona śpi pod nami!  
Kiejstuta synowica śpi pod namil  
Wstałam i okno otworzyłam: — Kawki,  
Krzyknęłam, księżna nie śpi — księżna słyszy!  
Księżna, wisielca żona, nie śpi w ożul  
Czekajcie, siostry czarne, księżna da wam  
Głowę Kiejstuta... Kiedy to wyrzekłam,  
W powietrzu głowę ujrzałam Kiejstuta,  
Błądą Kiejstuta głowę — szklane oczy  
I krwią zwałane siwe, długie włosy.  
Zaczęłam wtenczas ją wabić jak ptaka:  
Chodź tu, dam tobie jeść — otwarła usta...  
Chodź, mówię, dam ci pić — patrzała eicho..  
Chodź — wyciągnęłam rękę na powietrze —  
Uciekła — potem znów się pojawiła  
Pomiędzy ręką moją i oczyma,  
Jak dłama, cała ze krwi i z płomieni..

(Występuje Narymunt).  
N a r y m u n t.

A x e n o...

A x e n a.

Bracie!

N a r y m u n t.

Nie miła ci rzecz powiem...  
Przygotuj się, księżno,

A x e n a.

Mów!

N a r y m u n t.

Nie miła...

A x e n a.

Czekam okropnej.

N a r y m u n t.

Nie, okropną nie jest —  
Tylko cię muszę, siostrze, przygotować.

A x e n a.

Jagiello zginął?...

N a r y m u n t.

Nie, zdrów i powraca.

A x e n a.

Wraca... zwyciężył?

N a r y m u n t.

Nie — wraca bez jeńców,  
Ale ci mnogich naprowadza gości.

A x e n a.

Kogo?

N a r y m u n t.

Nie miłych gości...

A x e n a.

Kogo?...

N a r y m u n t.

Siostrze,

Tylko nie popsuj całej pajęczyny,



Któż? tak trudno było nam umotać...  
Jagiello wraca z Kiejstutem.

A x e n a.

Ze stryjem?

N a r y m u n t.

W zgodzie najlepszej powraca ze stryjem.

A x e n a.

Wraca z Kiejstutem?

N a r y m u n t.

Idź, przygotuj ucztę!

A x e n a.

O! przygotowuje ucztę... Narymuncie,  
Znajdź mi zabójców!

N a r y m u n t.

Ha! cóż ty zamysłasz?

A x e n a.

Znajdź mi zabójców... nie!... zabójców mi znajdź  
Nie pytaj o nie!... Czy Biruta także  
Będzie na zamku?

N a r y m u n t.

Tak sędzę.

A x e n a.

Biruta!...

Zrobię z Biruty mnie!... Cóż, Narymuncie?  
Dla ciebie skarby trochę — chcesz być ze mną?

(Wychodzą).

#### SCENA IV.

(*Obóz Krzyżaków.*)

Witołd, Krzyżacy, później Wallenrod.

Witołd.

Gdzie jest ten Kontur, pies dyabelskiej mości,  
Kuce krzyżackie! — gdzie? — chcę z nim pomówić...

Cóż? dobywacie szabel? cóż, murzyny?  
Czy nie widzicie, że niosę na kiju  
Kawał spódnicy, co mię czyni świętym?...  
Gdzie jest wasz kontur? — chcę mówić z konturem.  
(Wchodzi Wallenrod).

W a l l e n r o d.

Cóżto za baba? — wrzeszczy, jak przekupka.

W i t o ł d.

Jestem tandetnik, przychodzę kupować  
Stare krzyżackie łby — zrobię z nich papier,  
Pójdą pod folusz... Ha, po czemu twój łeb?

W a l l e n r o d.

Czy tak księżęta w Litwie wychowane?  
Wiele chcesz za twą gręczność, tandetniku?  
Znoszona bardzo i nie warta nawet —  
Gdyby na tyńfy mój gniew bić w mennicy —  
Nie warta nawet tyńfa z gniewu.

W i t o ł d.

Czy masz gniew? — Właśnie przychodzę. Krzyżaku,  
Po twój gniew: — dobrzel! przełaj mi gniew — dobrzel!  
A kiedy na twój gniew chcesz włożyć zbroję  
I gniew posadzić na konia? — co? kiedy?...

W a l l e n r o d.

Cóż? czy samego wyzywasz na rękę,  
Czy z całym wojskiem, które mam — na wojsko?

W i t o ł d.

Wojsko na wojsko, a ciebie — na siebie.  
O! o! batalia będzie, jak należy.  
Zamiast trąb — świstać rozkażę w orzechy  
I hasło boju wydadzą świstuny.  
Zony szcztukami będą zabijały  
Wasze kolumny; wróble, widząc trupy,  
Zmieniają naturę i w seimie uradzą,  
Ze kiedy atwiew o trupy, niż ziarno,  
Odtąd, jak wrony, będą żyły ścięrwem.

W a l l e n r o d.

A któż ty jesteś, co tak grozisz?

Witołd.

O pieś!  
Znasz ty mię dobrze! — jestem księżę Witołd.

Wallenrod.

Jakiżto Witołd?

Witołd.

Witołd, syn Kiejstuta.

Wallenrod.

Czekaj — zapiszę sobie twoje imię,  
Abym spamiętał.

Witołd.

Musisz mieć łeb twardy; —  
Jutro napiszę na nim moje imię.

Wallenrod.

Jednego tylko w Litwie znam rycerza,  
Coby mógł złamać mój małeńki palec,  
Używszy na to machin i taranów,  
Którymi zamki na Litwie walcie.

Witołd.

Jakiżto rycerz, powiedz, taki silny?

Wallenrod.

Walterus Stadion.

Witołd.

O! to bądź spokojny  
O twój paluszek, moja piękna panno: —  
Walter już dawno w grobie, zdrajca podły!

Wallenrod.

Co? już nie żyje?

Witołd.

Dawno, dawno, dawno!

Wallenrod.

Jeśli nie żyje, to już w całej Litwie  
Nie ma człowieka...

Witołd.

Słuchaj mnie, Krzyżakul  
Ten Walter, co tak tobie siedzi w głowie,  
Z mego się ojca rodzi — był bękartem.

Krew, którą mnie dał Kiejstut, rubinowa —  
Krew, którą jemu dał, nie warta wody!  
To kalinowy sok — nie krew Kiejstuta!  
Kobieta ją ukradła Kiejstutowi  
I z tej kradzionej krwi miała Waltera,  
A Walter ukradł tę krew znów ojczyźnie  
I dał Krzyżakom... Ród jego i życie  
Ciągłą kradzieżą jest — potem oszalał  
I gdzieś w szpitalu skończył życie podłe..

Wallenrod.

Łezesz, bo się Walter kiedyś w Litwie zjawił  
Ty wiesz, że Walter żyje!

Witołd.

Niemcze twardy!

Ja ci powiadam, że ten zdrajca w grobie —  
A ty mi wmówić chcesz, że zdrajca żyje...  
Syn jego żyje: ojcu memu służy,  
Za żoną swoją nosi ogon — i śpi  
Pomiędzy psami przy Kiejstuta łózku.  
Ale to małe psiatko nie ma zębów —  
Jeśli o małym mówisz.

Wallenrod.

Nie! o wielkim.

Witołd.

O wielkim zdrajcy...

Wallenrod.

O tym wojowniku,  
Co kiedyś zaćmi wszystkie wasze sławy,  
Najdłużej będzie w pieśniach waszych słynał —  
Na kilka wieków umrze i znów wstanie  
Straszniejszy, niż Bóg jaki piorunowy,  
Mści się i... Dosyć, mój ty giwojtosie!  
Jeśli Waltera nie ma teraz w Litwie,  
To nie mam się z kim bić — i do Prus idę,  
Bo wy nie warci naboży w rusznicy!

Witołd.

O! tak mów — tak mów prosto, że uciekasz!  
Ale ci Witołd podły na kark wsiadzie.



Jak sroka, kiedy na tłustym baranie  
Siedzi i wełnę rwie i na wiatr rzuca.  
O tak! powiadaj prosto, że uciekaasz!  
Powiadaj, że ci Witołd w nosie kręcił  
Powiadaj, że się boisz stać na ziemi,  
Pod którą Witołd jako wulkan siedzi  
Gotów się rzucić w górę — aż na księżyc!..

Wallenrod.

Jeśli się cofam, to tylko dlatego,  
Ze wasz Jagiełło skąpy — a ty goły...

Witołd.

Cofasz się, bo się boisz.

Wallenrod.

Zgnieść Witołda?!  
Witołd.

Tej nocy jeszcze trzeba mu wpaść na kark...

Wallenrod.

Tej nocy jeszcze trzeba zdjąć namioty...

Witołd.

Cóż? — do widzenia, Niemcze!..

Wallenrod.

Dobra droga!

(Witołd odchodzi).

Wallenrod (sam).

Pierwsza ofiara z mej rycerskiej sławy!

Pierwszy raz miecz się z pochwy nie pokazał krwawy.

## SCENA V.

(Sala w Wilnie).

Axena, Narymunt, Litwini.

Axena.

Tu zasadzeni stojcie po kruzgankach  
Ty, Narymuncie, wleź w komin — siedź cicho. —

Ja sama z sali wywołam Jagiełłę,  
A potem wejdę tu i na Kiejstuta  
Rzuć mój fartuch. Wtenczas wy do mieczów!..  
do więzienia z nim nie robiąc krzyku!

(Wychodzi).

(Wchodzą Jagiełło, Kiejstut, Alf, Wajdelota).

Jagiełło.

Tu, mój kochany stryju, na tem krześle —  
To Giedymina stołek — tu siadajcie!

Kiejstut

A gdzie jest dziewczka Axena? czy w Wilnie?

Jagiełło.

W tym samym zamku siostra moja biedna.

Kiejstut.

Załużę szczerze tej krwi... Między nami:  
Czy jeszcze dla niej nie znalazłeś męża?

Jagiełło.

Nie chce o drugim mężu ona myśleć,  
Lecz się z boleścią swoją ożeniła:  
Spi z nią... i gada do niej... i z nią żyje.

Kiejstut.

Więcże mię w zamku źle gotowa przyjąć?

Jagiełło.

Tak! — może będzie wiele łez i wrzasku.

Kiejstut.

Przy sobie nie mam dla niej podarunku.  
Może Biruta domyśli się stara  
I co przywiezie. Jak tu w zamku głucho...

(Wchodzi Litwin).

Litwin.

Krywe Krywejta chce mówić z Jagiełłą.

Jagiełło.

Niechaj tu wejdzie!

Litwin.

Nie chce tu wejść stary,  
Ale pod zamkiem czeka.

Jagiello!

Dumny starzec.

Stryju kochany, bawcie się, aż wrócę.

(Wychodzi).

Kiejstut.

Chodź, Wajdeloto... ciężko mi coś bardzo  
Na sercul... Alcie, idź i patrz ku Trokom  
Czy już nie jedzie Biruta z synową...  
O czem wesołem mów mi, Wajdeloto:  
Mam ciężkie serce...

(Axena wchodzi).

Ha! otóż Axena.

Witaj mi, córko moja, Olgierdówno!

Witaj, Kiejstucie stryju! — gdzie Wojdyło?

Kiejstut.

Sama wiesz lepiej.

Axena.

Jam go nie schowała!

Patrz — pod fartuchem moim nie schowałam.

Ty go zabiłeś, stryju... gdzie Wojdyło?

Kiejstut.

Chodź, daj mi rękę... i nie wspominajmy.

Axena.

Gdzie jest Wojdyło, stryju?... Kto co weźmie,

Ten może wrócić. Wzięłeś mego męża,

Teraz cię proszę, wróć mi mego męża,

Albo mi powiedz, gdzie ja znajdę męża?

Może za tobą jest, możesz go schować?

Więc mi go pokaż! — niechaj mu się rzuce

Na szyję, niech go pocałuj!... Stryju,

Jestże to prawda, żeś go zamordował?

Ześ go niewinnie, srogo zamordował?

Ześ go na górze gdzieś powiesić kazał?

Ktoś mi to mówił, ale ja nie wierzę,

Ażeby w tobie było takie serce!

Wróć mi Wojdyłę, stryju — wróć Wojdyłę!

Kiejstut

Bóg widzi, że go już nie mogę wskrzesić.

Axena.

Nie możesz wskrzesić? ha! nie możesz wskrzesić?  
Więc płaczcie, stryju!

Kiejstut.

Już mi łzy nie płyną...

Axena.

O! płaczesz, płaczesz ty, jak stara babal  
Fartuchem ci łzy będę ocierała,  
Ażeby ludzie twych łez nie widzieli,  
Bo się przelekna — tych łez krokodyla!  
O daj mi oczy!... niechaj je obetrę...

(Rzuca mu fartuch na głowę).

Do mnie, Litwin! bierzcie tego starca!  
Precz do więzienia z nim — precz do więzienia!  
Ja sama teraz rozbroję Jagiellę...

(Litwini wyprowadzają Kiejstuta. Jagiello wraca).

Jagiello.

Siostro, gdzie Kiejstut?

Axena.

Co?

Jagiello.

Gdzie stary Kiejstut?

Axena.

Tys go nie widział?

Więc ja ci powiem, gdzie jest stary Kiejstut:  
Stary już Kiejstut w więzieniu.

Jagiello.

W więzieniu?!

Któż ten haniebnny czyn popełnił?

Axena.

Kto? — ja!



O! więc go odrób teraz, nieszczęśliwa!  
O! więc tę plamę ze mnie zmaż haniebną!

A x e n a.

O! mimowolny uśmiech zdradził ciębie!  
Ty się radujesz w sercu, że bez ciębie  
Rzecz się zrobiła... Ja ci oszczędziłam  
Kilka bezsennych nocy — ty się cieszysz!...  
Ja twą naturę znam...

J a g i e ł ł o.

Siostró, lecz Witółd...

A x e n a.

Tu siedzi kolec w tobie... Otóż całe  
Twoje sumienie, bracie — strach Witółda!  
Witółda trzeba schwycić, nim się dowie  
O losach ojca.

J a g i e ł ł o.

Jeśli tak, to każe,  
Gdy będzie wracał, pochwycić go w bramie.

A x e n a.

Idź! bo ci to da całe wielkie księstwo,  
A mnie Kiejstuta krew zgasi pragnienie.

(Odchodzi).

## SCENA VI.

(Pod Wilnem).

Wallenrod, (później) Alf.

Wallenrod.

Zdjęte namioty — wojsko wyruszyło,  
A ja się na tej górze jeszcze trzymam,  
Jak stare drzewo, do ziemi wrośnięte,  
Ale umarłe — i patrzę na Wilno...  
Ojczyzno moja! gdym cię porzucił,  
Potrzebowałaś mnie! Ale na ciębie

Bóg spojrział — i mnie już nie potrzebujesz...  
A więc odejdę... i mój żywot zdrady  
Skonczę, jak stary pies, pod cudzym płótem...  
Bądź zdrowa więc, ojczyzno! Raz ostatni  
Patrzę na ciębie — i tym znakiem krzyża  
Zlewam na ciębie całe szczęście ludzkie,  
Które mi kiedyś Bóg przyobiecywał  
O wschodzie życia. — Ty, ojcie Kiejstucie,  
I synu, biedny sługo, bądźcie zdrowi,  
Aż się po śmierci dowiecie, że byłem  
Blisko waszego serca, że me imię  
Nie było godne tego potępienia,  
Które rzucili kiedyś na mnie ludzie...  
Bywajcie zdrowi...

(Alf nadchodzi).

A l f.

Witóldzie! Witóldzie!

Wallenrod.

Jakiś dziecinny głos...

A l f.

Mój drogi Niemcze,  
Prowadź mię prędko do waszego wodza,  
Gdzie teraz książę Witółd na umowach;  
Witółda szukam.

Wallenrod.

Powrócił do Wilna.

A l f.

Więc rozminąłem się z nim, gdy powracał!  
Więc go z Kiejstutem wrzuca do więzienia!

Wallenrod.

Kiejstut w więzieniu!

A l f.

Zdradzono Kiejstuta!

Mojego pana okropnie zdradzono.  
Kiedy go brano, oknem wyskoczyłem  
I tu przybiegłem, by ostrzec Witółda,  
Ze ojciec wzięty...

Wallenrod.

Nie znasz ty, pachole,  
Giermka, co służy na Kiejstuta dworze?  
Nazywa się Alf.

Alf.

To ja.

Wallenrod.

Ty?

Alf.

Ja, Panie!

Wallenrod.

Czy masz ty ojca?

Alf.

Nie, nigdy nie miałem.

Wallenrod.

Nieprawda! Ojciec twój — jest Walter Stadyon.

Alf.

A skądże to wiesz?

Wallenrod.

Czemuś go się zaparł?

Alf.

Bom wolał zaprzeć się, niż mówić prawdę.

Wallenrod.

Dlaczegoż prawdy czystej nie mówiłeś

Alf.

Bo to dla ojca lepiej — ojciec w grobie,  
Ojciec mi na tym świecie nie pomoże.

Wallenrod.

Prawda, że ojciec tobie nie pomoże;  
Ale jeżeli chcesz, będę ci ojcem.

Alf.

Nie pójdę z tobą, nie chcę być krzyżakiem!  
Wolę — jeżeli zabiją Kiejstuta,  
Na stosie spłonąć jako wierny sługa  
I ośpiewanym być przez Wajdelotów.

Wallenrod.

Na stosie spłonąć?

(Zbliża się do Alfa).

Alf.

Ha! chcesz mię uchwycić,  
Niemcze, Krzyżaku! lecz ja prędko biegam...  
(Uchodzi).

Wallenrod.

Zniknął... Jestże to sen? Widziałem syna,  
A każde jego słowo było mieczem...  
Ohydna męka — serce mam rozdarte.  
Ojciec mój — syn mój — Litwa — wszystko, wszystko  
Znowu zapadło w toń... znów jestem zbawcą.  
Precz, czarna zbrojo! znów jestem Litwinem!  
(Przychodzi Halban).

Halban.

Nieprawda! — jesteś Mistrzem!

Wallenrod.

Co? Szatanie!

Pozwól mi pierwej, mnichu, być człowiekiem!  
Ojciec w więzieniu, syn...

Halban.

O kruche serce!

Gdy ci w młodości myśl podałem wielką,  
Tyś drzał, chwytając nowe jądło duszy.  
Mówiłem wtenczas: — lecz pomyśl, Walterze,  
To lat dwadzieścia nędzy! — A ty na to:  
Chociażby wieki, krzyknąłeś. — Mówiłem:  
Lecz ojciec umrze, lecz, syn twój, sierota,  
Będzie przeklinał twe ohydne imię.  
Niech knieł krzycałeś — niech ginie! krzycałeś...

Wallenrod.

Ja byłem wtenczas młody, a nieszczęście  
Miało kobiecą twarz... Dzis — jako jedza  
Z rozochranymi włosami, w łachmanach —  
Ciągnie mnie zimną ręką. O Halbanie!  
Ta zemsta, którą ja z krzyżactwa biorę,  
Nie jest już świętą... Słuchaj! tu jesteśmy  
Jak dwaj Rzymianie. Chcesz? to sie nawzajem



Tu, na tej górze, przebijemy mieczem,  
Aby już skończyć...

Halban

Od dawna już widzę

W twym charakterze jakąś dziwną senność  
I zimną rozpacz nudy. Lecz to minie.  
Przed godzinami śmierci są pioruny,  
Które człowieka budzą i znów czynią  
Człowiekiem... Chodź, chodź! jeszcze będziesz młody!  
Jeszcze krew zagra w tobie po dawnemu,  
Jeszcze raz będziesz Walterem Stadyonem.  
Przez jedną tylko noc — ale nim będziesz!

Wallenrod.

Będę, czem byłem? nie! to niepodobna!

Halban.

Na uroczysko tam kiedyś pójdziemy,  
Gdzieśmy schowali twą litewską zbroję;  
Na uroczysko, gdzie konwalia kwitnie,  
Gdzie trzy strumienie srebrne loją wodę,  
Tam... czy pamiętasz?

Wallenrod.

O! ty jesteś harfą,

Która mię do łez skłania...

Halban.

Bądź człowiekiem,

Który pomiędzy Cezarem a dawnym  
Leonidasem będzie wspomniany,  
Gdy Litwa dowie się o twym Rzymie  
I zrówna swoich rycerzy z tamtymi,  
Którzy pomarli. — Nie! ty będziesz pierwszy!  
Ty pierwszy jesteś zabójcą narodu!  
Ty pierwszy jesteś podobny do Bogal  
Nie między ludźmi, lecz przeznaczeniami  
Będziesz wpisany!

Wallenrod.

Znów mię łowisz, stary,

Jak ćmę — pochodni blaskiem! Rzecz skończona,  
Jestem w twej ręce mieczem — więc zabijaj!

Halban.

Do Prus, Walterze, na twoje mistrzowstwo.

### A K T III.

SCENA I.

Jagiello.

W ręku więc moim teraz mam Kiejstuta!  
Ale go wzięto zdradą, nie orzędem...  
W ręku więc moim mam teraz Witołda —  
Lecz Witołd był mi zawsze przyjacielem.  
Cóż więc zyskałem, że go mam dziś jeńcem?  
Straciłem serce jego — mam osobę...  
Trzeba go trzymać, doglądać — i bać się...  
Kiedy go brano, krzyczał: powiedzcie Jagielle,  
Że nie dałbym za głowę jego pół szeląga,  
A za jego książecą czapkę — kuniej skóry,  
A za jego sumienie — jednego Bóg zapłać!...  
O! prawda, że nie warto dzisiaj człowiekowi  
Kupować choćby za nic mojego sumienia! —  
Więc czemuż nie naprawię zła, które zrobiłem?  
Ha!... bo widzę, że można wyciągać korzyści  
Z rzeczy już raz zrobionej. Straciłem na sławie,  
Lecz mi to Kiejstut ziemią zapłaci litewską;  
A gdy będę miał więcej ziemi, to zasieję  
Więcej sławy — i więcej zbiorę, niżli miałem...

.....  
.....  
.....

## WALTER STADYON.

(F r a g m e n t).

Walter, jego Matka, Halban.

(Rzecz dzieje się na Litwie).

Matka.

Nadęty, niby Bogiem zachłyśniony,  
Zawracający oczy tak, że świecą  
Białka i powiek obrąbek czerwony  
Tasiemką ognia — pod mózgiem... Walterze!  
Jam go tą duszą, tą duszą kobiecą  
Na wskrós jak nożem przebita. Nie wierzę  
W czystość człowieka tego, ni w pokorę.

Walter.

Cóż, matko? Z sobą w tłómaczku zabiorę  
Twe podejrzenia, a jak czas pozwoli,  
To je odczytam.

Matka.

O! jak serce boli,

Gdy się otworzy przed człowiekiem, jako  
Przed Bogiem, a on... ot weźmie garść piasku  
I sypnie w usta krwawej!

Walter.

Lasy w brzasku...

Muszę odjeżdżać!

Matka.

Pamiętaj wszelako,  
Że ja zostałam tu biedna i sama,  
Ja, twoja matka, część twojego ciała...  
Matka — pamiętaj o tem, bo to cała  
Moja nadzieja — ty...

Walter.

Jest w Litwie krama-  
Gdzie takich synów, jak ja, kupić można.

Matka.

Gdzie?

Walter.

Na cmentarzu.

Matka.

Hal

Walter.

Pocałuj czoło

I puść mnie z Bogiem!

Matka.

O mowo bezboż!

Co mię zabijasz! Ach! jakie ty zioło  
Pełne trucizny włożył w usta? Ach ty  
Chłopcze okropny! z pod żebraczej płachty  
Pokażę ci tę pierś, co tobie dała  
Mleka a teraz da krwi... O dziecinot!  
Patrz na mnie — do nóg padam — łzy mi płyną!  
Jam kiedyś nóżki twoje całowała,  
Te nóżki... o! te nóżki... o! te!  
Gdzież ty je teraz powleciesz odemnie?  
Powiedz, daleko pójdziesz? aż na złote  
Gwiazdy? Co? prawda? Ty gdzieś, o Walterze,  
Idziesz po czarną śmierć!... O! mów mi szczerze,  
O! mów!... Jeżeli na śmierć: to ja stara,  
Ja pójde z tobą...

Walter (do Halbana).

Halbanie...



Matka.

Ta mara

Niech się nie zbliżał ten człek niech tam stoi  
Niech się nie zbliżał.. Ach, któż uspokoi  
Serce matczyne, jeśli syn nie może?  
Ja ciebie puszcze — puszcze — puszcze. Boże!  
Ty byłeś zawsze dla mnie dobroczyńcą!  
Idź z Bogiem — ja ci błogosławię.

(Odchodzi).

Halban.

Walter

We łzach...

Walter.

O we łzach! we łzach!... Słuchaj, jeszcze  
Gałązka sucha tam w lesie szeleszczel  
Słyszysz? to szelest mojej matki kroku,  
Ostatni tu raz na ziemi słyszany..  
Cyt! już nie słychać!... O! — Czy zakopany  
Hełm mój i tarcza?

Halban.

Tam w lesie, przy stoku

Pod konwaliami.

Walter.

O! jak rzeczy świata  
Ckliwe są, kiedy po smutkach przychodzą  
Trudzić człowieka!

Halban.

Idźmy!

Walter.

Dusza lata,  
A człowiek chodzi... Idźmy! Niech tu rodzą  
Matki szczęśliwszych synów!

Halban.

Dość żalości!

Twego smutku świat cały kiedyś pozazdrości.

S C E N A... (1)

Co mi powiadasz? Walter Stadyon?

— Pani

Ten pierścień kazał złożyć w pożegnaniu,  
Na którym, jako widzisz, ten wąż rani  
Swe własne serce.

— Jestem na kazaniu

Niemieckiem! Jako? wyjechał i kazał  
Ten pierścień złożyć? Ha! i cóż? nic więcej?  
— Jam się z jej serca, rzekł, teraz wymazał,  
Jestem niegodzien jej i najgorejiej  
Proszę, ażeby o mnie zapomniała.

— Ha! i nic więcej?

— Jeżelibyś miała

Jaką odpowiedź, mówik — poślij słowa  
Na miesiąc bladej, lub na słońce złote;  
Bo on za tarcze te się obie chowa  
Przed okiem ludzi.

— Pleciesz!

— Co ja plotę,

To jest jedwabiem jego ust.

— Szatanie!

— Więc ty mi gwiazdą szatańską, czerwona!  
— Wiesz ty? ja byłam jego..., żoną!  
On mię na swoje tak miał zawołanie,  
Jak psa! Jam w lesie za nim tak wietrzyła,  
Jak pies. Ja teraz za nim bić gotowa,  
Jak pies! O słowa! słowa, słowa, słowa!  
Idź — bo na cały zamek będę wyła,  
Na mury będę skakała, żwir jadła!  
Jak letargnica pogryzę grobowa  
Paznokcie, ręce... Słowa! słowa! słowa!  
Ach! gdybym teraz gdzie noża dopadła  
I mogła... mogła — ach!... w serce bękartu  
Choćby przez miesiąc bladej — tak...

(1) Słowacki nie wyraził imienia osób, które ten dyalog z sobą prowadzi. (Przyp. Wyd.).

— Rumianku!

— Co?

— Jesteś chora...

— Chora? idź do czarta!

Ja jestem wściekła!

— Boję się, że z ganku

Skoczysz w jezioro.

— Nie bój się, nie skoczę.

— Myślałem, że masz taki zamiar —

— Co? ja?

— Prosiłaś o nóż.

— Daj!

— Utniesz warkocze,

Jak Artemizya.

— Myślisz?

— Pani moja,

Myślę, że sobie utniesz złote włosy

I czarnych oczu światła się pozbawisz...

Tym nożem język ci utnę!

— Pokrwawisz

Białe rączęta!...

— Jesteś, jak połosa

Skrzydlate, z ogniem w oczach, wyprężone.

Gotówes skoczyć na mnie.

— Wolę wkraść się.

— Ach! ty lokaju! ty psiel! chciałbyś paść się

Resztkami stołu...

— Twe niedogryzione

Kosteczki, usta twoje koralowe...

— Szu piorunami spadną ci na głowę,

Jeżeli zacznę kochać, będą wściekła.

— Zgadzam się.

Będziesz miał na ziemi piekło!

. . . . .

# JAN KAŻMIERZ.

(S Z C Z A T E K D R A M A T U).



.....

Mary a Ludwika.

Mademoiselle Kalinowski, donnez moi la leçon du polonais — chce uczyć po polski.

Kalinowska.

Ne prolongez pas ainsi le ski!

Mary a.

Po poolski...

Kalinowska.

Tak, Najjaśniejsza Pani.

Mary a.

Tak, nannniejsza pani...

Kalinowska.

Dobrze!

Mary a.

Dobrzé.

SCENA II.

*(Kwatera pana Harmidera — w Warszawie).*

Pan Harmider, Luzak Skórka, Szewczycha.

Harmider.

Skórka!

Skórka.

Co, Wielmożny Panie?

Harmider.

Idź, wykup moją szablę Batorówką od żyda Jankiela; masz dwa tynfy. Do kroćset fundamentów! wykup szablę i obetnij żydowi uszy — w procencie!

Skórka.

Dobrze, Panie. (Wychodzi).

Harmider.

Do kroćset furdamentów! świat cały będzie czerwonego koloru, jak jajko wielkanocne... brr! brr!... wojna. — Pani Szewczycha! (Wchodzi Szewczycha). Pani Szewczycha, cóż Waćpani jak kometa nie umyta? Do kroćset furdamentów! wyjeżdżam na wojnę, Pani Szewczycha; zróbmy rachunek, Pani Szewczycha!

Szewczycha.

Niechaj się Jegomość policzy, co winien.

Harmider.

Do kroćset furdamentów! policzywszy się z sumieniem, to ja nie nie winien, Pani Szewczycha.

Szewczycha.

Nie Jegomość nie winien? Mocny Boże!

Harmider.

Acani mi winna felicitas... bff! do kroćset furdamentów! jakim Litwin! Policz się Waćpani z sumieniem, czy Waćpani mi nie nie winna?

Szewczycha.

Mocny Boże!

Harmider.

Waćpani jesteś wdową, a ja mam serce: — sunt consequentiae. — A wiele ja winien Waćpani?

Szewczycha.

Dwa tyńfy i pół na Zielone Świątki; a potem trzy tyńfy dałam Jegomości w Kwietnią Niedzielę; a przez luzaka Skórkę posłałam, kiedy Jegomość siedział in fundo ze obcięcie nosa burmistrzowi w Klecku.

Harmider.

Do kroćset furdamentów! Waćpani rachujesz się jak żydówka; gdybym był wiedział, nie przyjmowałbym żadnych łask — timeo Danaos — od Waćpani. Ja to wszystko oddam, bo honor czuję w obrażeniu, ale jak oddam, to, Pani Szewczycho, zakwitowanie in aeternum... do kroćset! nie obaczysz mnie więcej. — Nieboszczyk Acani mąż miał czerwono oczy jak królik, a ciało jak szcypce — i był szewcem: — ja mam w Litwie dobra i wotuje na sejmikach w Nowogródku, a siostra moja jest za panem Kolibajto ze Żmudzi. Ale że się Waćpa-

ni upominasz, to oddam jej co do szeląga. 'Dzięki Bogu, mam w pasie sto czerwonych złotych w gotówce, tylko mi się nie chce wypuszczać brzucha na wolność; ale jak się będę rozbierał, to oddam Waćpani do kroćset furdamentów! spleśniałe tyńfy, a kwitem Waćpani utrę sobie nosa — i basta! Ale kiedy na Rusi obetnę uszy Chmielnickiemu, to zauszniczki daruję Najświętszej Pannie Częstochowskiej, a uszy przysięę Waćpani na bigos... Do kroćset furdamentów! nie spodziewaj się więcej o mnie usłyszeć — aż na ostatecznym sądzie, stojąc na lewicy za nieczuło serce twoje, Pani Szewczycho!...

Szewczycha.

Dlaczego mnie Waćpan smucisz, panie Harmider? dlaczego mnie Waćpan smucisz? — Ja się o moją należność nie upominała.

Harmider.

Ale sumienie moje, mościa Szewczycho, upomina się, a Waćpani temu winna jesteś. Cóż? dlatego, że Waćpani miałaś pieniądze, to ja miałem nie jeść i nie pić!

Szewczycha

I dobrze Jegomość robił.

Harmider.

Addo, Pani Szewczycho, chowaj moje skrypty, a jeśli ja zginę, to dyabeł sam przysię swego plenipotentą z pieniędzmi i zapłaci Waćpani z mego majątku — bom człowiek honorowy: duszę przedam, a zapłacę, com winien, albo pojme Acanią za małżonkę przed świętym ołtarzem. Do kroćset furdamentów! honor — to nie woda! Pani Szewczycho, znasz mię?

Szewczycha.

Ja?

Harmider.

Znasz mię czy nie? — znasz mię.

Szewczycha.

Znam, jak złego szeląga.



Harmider.

I ja Waćpanią znam, żeś kobieta stateczna; ufaj  
Acani memu sercu, że cię nie opuszczę.

(Wchodzi Skórka).

Skórka.

Oto jest szabla, Wielmożny Panie

Harmider.

A tyńfy?

Skórka.

Oddałem żydowi.

Harmider.

Bogdajbys dyabła zjadł! — trzeba było znów od  
niego pożyczyć, zyskawszy kredyt. Goły jestem jak  
święty turecki—poratuj mnie, Pani Szewczycho, bo je-  
stem goły.

Szewczycha.

A mówiłeś Jegomości, że masz w pasie dukaty.

Harmider.

Musiałem szablę wykupić, Pani Szewczycho; niech  
powie Skórka—dałem pięćdziesiąt czątych, żeby szablę  
wykupić... (słychać strzały działowe). Co to? strzelają  
z dział?

(Wpada otyła Rzeźniczka).

Rzeźniczka.

Gwałtu! harmider na ulicach! pali się! ufi ufi ko-  
niec świata!...

Harmider.

Skórka, przypasz mi szablę, bo pod brzuchem nie  
widzę. Cóż to za hałas, pani Otylska, co za hałas?

Rzeźniczka.

Biją się, Wielmożny Panie, na ulicach.—Pani Pod-  
kanclerzyna z bratem swoim, panem Służką, napada na  
dom Pana Podkanclerzego, swojego małżonka!

Harmider.

Widzisz, Pani Szewczycho, co to jest żenić się  
z kobietą? Napada dom swojego małżonka! Do krośset

furdamentów! gdybym miał z sobą sto takich, jak ja,  
w kawalerskim stanie żyjących! Trzeba dopomóc panu  
Podkanclerzemu: Skórka, weź berdysz i za mną!

Szewczycha.

Nie laźlbys Jegomości w ogień niepotrzebnie.

Harmider.

Ja zawsze w ogniu, mościa Szewczycho! ogień, to  
mój żywioł serdeczny!—Skórka, za mną!

Szewczycha.

A wyjdźmy i my, pani Otylska, zobaczyć, co się  
dzieje...

(wychodzą).

### SCENA III.

(Przed domem Radziejowskich).

Radziejowski Podkanclarzy wewnątrz  
domu, Służka przed bramą.

Służka.

Hej! hej! wysadzić petardą tę bramę!..  
Czekajcie! w oknie stoi Podkanclerzy.

Podkanclerzy

Stój, panie Służka, stój!—kapitułuję.

Służka.

Ustępuj z domu mojej siostry! fora!

Podkanclerzy.

Jeżeli wyjdę, czy zapewniasz życie?

Służka.

Żyj sobie, panie Radziejowski, ale  
Oddaj mi pałac—bo cię każę spalić!

Usmażę jako naleśnika, szwagrze,  
Zamiast po rozwód posyłać do Rzymu

Podkanclerzy.

Siostra Waćpana splamiła mi łożo.

Służka.

Boś Waćpan w niem spać nie umiał po ludzku.

Podkanclerzy.

Oszkalowała mnie przed konsystorzem.

Służka.

Boś ją przymusił Waćpan do rozvodu  
Srogim obejściem się, podejrzeniami  
I nie z pełnieniem marytalnych ślubów.

Podkanclerzy.

Miałem pokrywać hańbę mego domu  
I być mojego wstydu parawanem?

Służka.

Czynisz to, nie chcąc przyzwolić na rozwód,  
Abyś z rozwódką nie stracił posagu.

Podkanclerzy.

Na świadka biorę Ciebie, wielki Boże,  
Zem dotąd na te gwałty nie zasłużył!  
Ale ponieważ wstyd moj odstoniono  
Przed całym światem i użyto siły,  
Aby mię wyzuć ze czci i z majątku:  
Ustąpię teraz przemocy—bom słabszy,  
Ale użyję odwetu w swej porze.  
Bierz, panie Służka, dom—ale niedługo  
Utrzymasz się w nim: taki znajdę i ja  
Przyjaciół, którzy mścić się dopomoga  
Nad żoną i nad szwagrem i nad moim  
Cudzołożnikiem!

Służka.

Bierzmy to, co nasze:

Mości Panowie! proszę na wieczero  
W tymto pałacu naszym—i zdobyłym

#### SCENA IV.

(W zamku królewskim).

Krół Jan Kazimierz — Paź.

Krół.

Co to za zgielki i burdy w Warszawie?

Paź.

Podkanclerzyna, Miłościwy Panie,  
Radziejowskiego żona, ze swym bratem  
Służką napadła dom własnego męża  
I zajechała gwałtem i bezprawnie.

Krół.

Nie w porę, o! nie w porę się wybrała  
Z takimi gwałty pani Radziejowska!  
Lecz otóż ona sama tu przybywa.

(Wchodzi Podkanclerzyna).

Podkanclerzyna.

Mąż mię tu ściga, Miłościwy Panie,  
Mąż mój, furyozus, za napaść pałacu.  
Panie, opiekę mi daj i obronę!

Krół.

Wacpani sama zebrałaś tę chmurę,  
Która ci teraz w oczy sypie gradem.

Podkanclerzyna.

Krół-że to mówi? do swojej Elżbiety?

Krół.

Krół rozgniewany mówi, Mościa Pani,  
Ale masz w sercu mojem adwokatem  
Jana Kazimierza, który zawsze sprzyja  
I broni ciebie przeciwko królowi.

Podkanclerzyna.

Więc ten adwokat jest szlachetnym królem,  
Z którym ty, Królu, wiąż się aliansem  
I słuchaj rady jego bez oporu...  
Lecz otóż i mój mąż furyozus wpada.

(Wchodzi Radziejowski).

Radziejowski.

Skarzę się tobie, Miłościwy Panie;  
Wyrugowano mię z mojego domu—  
Okryto hańbą; — wszystkimi obelgi,  
Jakie ród ludzki wymyślił na siebie.  
Okryła mię ta nierządna kobieta,  
Którą tu widzę z takim obrzydzeniem,



Jakbym przy stopach króla widział węża  
 Już się pnącego aż na berło złote!  
 Królul jam nigdyś szczycił się i chlubił  
 Zycziwem twojem opiekuństwem — łaską;  
 Byłem ci miłym od młodości: teraz  
 Widzę, że oczy odwracasz odemnie. —  
 Czyliż obelgi żeńskie okryły mię  
 Przerażającym, obrzydliwym trądem,  
 Na który ty sam nie chcesz patrzeć, Paniel? (klęka)  
 Jeżeli to trąd — a więc w rękach króla  
 Oczyszczające jest lekarstwo dla mnie: —  
 A więc się dotknij mnie i podnieś z kolan  
 I niechaj widzą ludzie, że nie jestem  
 Czołgaczem próżnym u stóp mego Pana; —  
 A ona, gdy ja klęczę, niech nie stoil

Podkanclerzyna.

Kto stać nie może, ten niechaj uklęka.

Radziejowski

Wacpani prosby swe zanosisz leżąc.

Podkanclerzyna.

A Wacpan moich prośb słuchiwasz chrapiąc.

Radziejowski

Szalbierkol

Król.

Ciszej, Mości Podkanclerzy!  
 Hamuj się nieco w mojej przytomności.

Radziejowski.

Powróć mi Panie dom, i tę kobietę  
 Oddaj pod moją marytalną władzę.

Król.

Jakiż ci, proszę, przybędzie pożytek  
 Z niechętniej żony, Panie Podkanclerzy?

Podkanclerzyna.

Jaki pożytek z żony — niechaj powie.

Radziejowski.

Kobieto pełna żółci, ty masz w sobie  
 Gniazdo octowe, które wszystko kwasi

I czyni octem. Odwróć te szydząco  
 Oczy, bo stracę rozum i cierpliwość!

Podkanclerzyna.

Cokolwiek stracisz — wiedz mój adonisie,  
 Ze mnie straciłeś już na wieki wieków;  
 Chowaj więc rozum, Mości Radziejowski,  
 Aby ci żoną był i nie szedł, jak ja,  
 O rozwód. Co zaś do mnie, Mości Królu,  
 Na konsystencyi zostaję u ciebie  
 I w zamku będę mieszkała — aż póki  
 Ten człowiek sobie nie wybije z głowy,  
 Ze Orfeuszem jest i Eurydyki  
 Dostanie z piekła, grywając na drumli.  
 U Prozerpiny jestem dla Wacpana —  
 Ani myśl o mnie, Panie Podkanclerzy. (Wychodzi)

Radziejowski.

Będziesz-li, Panie, cierpiał nierządnicę  
 W pałacu własnym?

Król.

Mości Podkanclerzy,

Muszę Wacpanu powiedzieć otwarcie,  
 Ze tak zaszedłeś daleko w rozterkach  
 Z swoją małżonką i takeś rozszerzył  
 Przepaść pomiędzy sobą a tą panią;  
 Ze teraz nawet ja sam, król, nie mogę  
 Sperandy żadnej dać Wacpanu; chyba  
 Czas ułagodzi to wszystko — atoli  
 Co do mnie, chciałbym między wami zgody.  
 Sam Radziejowską nieraz namawiałem,  
 Sam za Wacpana mówiłem osobą,  
 Królowa także się wdawała sama —  
 Lecz w tej kobiecie upór trwa zacięcie. —  
 Pocoś ją Wacpan wziął za żonę? — nie wiem,  
 Ani pojmuję, pocoś brał za żonę.  
 A wzięwszy, trzeba było trzymać krótko.  
 Stało się — teraz już nie widzę rady;  
 Lecz Wacpan żony tej odstąpić musisz.

Radziejowski.

Komu?

K r ó l.

Kochany Podkanclerzy, śmiech mię  
Bierze: —za dobry jesteś dla niej. Co zaś,—  
Ze tobie pałac wzięto: to nagrodzić  
Łatwo; myślałem o tem nieraz. — Słuchaj:  
Gdyby Waćpanu starostwo lubelskie  
I kasztelania — naprzykład krakowska  
Obiedwie teraz wakujące — mogły  
Załatać dziurę i poprawić losu...  
Co myślisz?

Radziejowski.

Z tego nic nie będzie, Królu!

Za wielkie dary rodzą podejrzenia!  
Nie zasypiesz mię tak po głowę złotem,  
Aby nie widział świat, że noszę rogil  
Z jelenia chcesz mię zmienić w kasztelana!  
Ja kasztelana nie chcę, a rogalem  
Nie będę—a mój dom odbiorę gwałtem! (wychodzi).

K r ó l.

O! trudne, trudne panowanie, kiedy  
Ządze się własne płaczą między sprawy  
I sprawiedliwość w samym pączku trużą,  
Jak złe robaki, pierwej urodzone,  
Nim się zawiązał kwiat. — Szczeście, że wojna  
Da myślom inny kierunek — i od tej  
Sprawy odwróci ludzkie słuszne sądy. (wychodzi).

S C E N A V.

(Ulica).

Pan Harmider — Skórka.

Harmider.

Skórka!

Skórka.

Słucham, Paniel

Harmider.

Skórka! dowiedz się u przekupki, którą się to  
bramą wyjeżdża na Ukrainę—bo ja nie wiem.

Skórka.

Oto jakiś szlachcic otyły, który także, jak widać,  
wyjeżdża na wojnę, jak my: ten powie Panu, gdzie  
Ukraina.

(Nadchodzi pan Bulski).

Harmider.

Mości wojaku! jak honor?

Bulski.

Pan Bulski, do usług.

Harmider.

Pan Harmider, wzajemnie.

Bulski.

Uniżam się do nóg.

Harmider.

Całuję stopy Pana Dobrodzieja... do stu furdamen-  
tów, jaki brzuch!

Bulski.

Czy szkodzi?

Harmider.

Raduje, Mości Dobrodzieju; dobra tusza, to grunt.

Bulski.

Ajednak jabym się opasał Acana wąsami, widzimi się.

Harmider.

Utnij, Panie Bulski!

Bulski.

Waćpan szukasz zaczepki, widzi mi się.

Harmider.

Jak się podoba, Panie Bulski!

Bulski.

Nie od tego... (biją się).

Poezye Słowackiego. — Tom IV.



Harmider.

Zasapaleś się, Panie Bulski; pocałujmy się!

Bulski.

Proszę o przyjaźń, Panie Harmider.

(ściskają się).

Harmider.

Do kroćset fundamentów! aż do ciemnego grobu,  
Panie Bulski. — Kto Wacpana rodzi?

Bulski.

Stolnikówna rawska, widzi mi się.

Harmider.

Bardzom rad. — Skórka!

Skórka.

Słucham, Panie!

Harmider.

Pobież do kwatery: niech pani Szewczycha przygotuje wieszczkę — zyskałem przyjaciela. Wróćmy się, Panie Bulski, po pojedynek trzeba odpocząć.

Bulski.

Regiment w marszu, Panie Harmider!

Harmider.

Dopędzimy go, Panie Bulski! — poczekaj!

(wychodzą).

S U E N A VI.

(W Zbarażu).

(Firlej — Koniecpolski)

Firlej.

Cóż dumasz, Panie Koniecpolski? — pono zegar, co bije w zbaraskim kościółku, Wkrótce zadzwoni ostatnią godzinę Dla nas, przez króla tutaj wspomnianych.

Koniecpolski.

Czegoż czekamy, Mości Kasztelanie Bełski, Firleju, za tymi okopy — Aż głód wyniszczy, aż trupów fetory, Które tu straszny swędem zalatują, Wyniszcza wojsko, poddać się przymusza? — Już dwa miesiące trzymamy się tego, Dwadzieścia szturmów odparliśmy raźnie! Nie jest to obóz — ale zarazona Mogiła, która zastępuje drogę Krwawym kozakom: konie ich nie śmieją Przeskoczyć przez wał trupi i na Polskę Lecieć galopem.

(Wchodzi Księżę Wiśniowiecki).

Ks. Wiśniowiecki.

Cóż, jak wam zdrowie służy, moje Pany? Cóż, czy podoba się wam Ukraina? Firlej — to człowiek; lecz ty, Mości Panie Regimentarzu, w bakaliach chowany, Musisz za matką tęsknić? — coś mi smutny! Czy zachorował wam kucharz francuski?

Frykasowane, czy łopatkę końską Niedopieczoną? — Zamknąłem się z wami, Chociaż nie hetman, ani regimentarz — Zrobiono ze mnie ciurę; — lecz myślałem, Ze się na waszym stole odjem suto, Dlatego się tu zamknąłem w Zbarazu. Pfu! ani jadła — ni konsyderacyi.

Koniecpolski.

Jestże to zbawca nasz, Jeremiasz książę, Który nas ręką żelazną obrania, A potem sztydzi — i tak sobie płaci Za pomoc swoją, jakby nigdy nie znał, Na czem zależy rycerza szlachetność?

Ks. Wiśniowiecki.

Ja nie szlachetny jestem, ale głupi, Zem się tak zamknął z wami, jak szczur stary;

Mogliście sobie wszyscy i bezomnie  
Odwiedzić Stambuł. — Hej, który z Kozaków

K o z a k.

Co Księżę każe? szczo batiuszka każe?

K s. Wiśniowiecki.

Zapalić ten dom żyda, bo mi ciemno!

F i r l e j.

Żartujesz, Księżę — w tym domu są prochy.

K s. Wiśniowiecki.

Staruszkę, słuchaj! powachaj się tylko:  
Już pachniesz trupem — i ja — i ten młokos...

Jak ci nazwisko? — bo pamiętam tylko,  
Ześ regimentarz jest — z mlekiem pod brodą.

A gdzieś ty podział twoich towarzyszy,  
Pierzynę i Łacinę? — Co się tyczy

Prochów: wysadźmy się w drogę, Panowie,  
Aż do Najświętszej gdzieś Maryi Panny

W gości! Bo niech mię dyabli, jeśli jutro  
Kozacy z nas nie zrobią jajecznicę!

K o z a k.

Od Chmielnickiego przybył trębacz i chłop.

K s. Wiśniowiecki.

Do nich się udaj, do Regimentarzy;  
Ja tu się liczę między proste ciury.

F i r l e j.

Wprowadzić tutaj kozackiego posła!

(Wchodzi P o s e ł).

P o s e ł.

Zdrowie, Panowie szlachta!

F i r l e j.

Z czym przybywasz?

P o s e ł.

Pany Hetmany! Chmielnicki przysyła,  
Azebyście się wnet poddali wszyscy  
Na łaskę jego. Wolność wam przyrzeka.  
Cało wypuści was z obozem waszym;

Jednego tylko księcia Jeremiasza  
Wiśniowieckiego zatrzyma w niewoli,  
Aby za naszą krew kozacką — gwałty —  
Tortury — pastwy — odpowiadał głową.

F i r l e j.

Na taką mowę nie ma odpowiedzi...

K o n i e c p o l s k i.

Owszem, odpowiedź jest: weźcie kozaka  
I głową jego nabijcie harmatę!

P o s e ł.

Za moją głowę Chmielnicki odeśle  
Wam tysiąc szlachty czerepów wąsatych,  
Tak, że was nasza artylerya skropi  
Deszczem z krwi waszych bratów i obryzga!

F i r l e j.

Powiedz tam panu Chmielnickiemu od nas,  
Ze propozycya jego Firlejowi  
Włos poczerńiła siwy — krew zażęgła  
Ogniem młodości! — Niech przysyła więcej  
Odmładniających takich kosmetyków,  
A nawet trupy nasze wstaną z grobów  
I oburzone za broń chwycą rdzawą!  
Jeremijasza chćecie? — co? — Dlaczegoż  
Nie zażądaliście z każdego serca  
Po funcie mięsa? — z każdej naszej żyły  
Po kwarcie żywej krwi? — z każdego oka

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .



ZŁOTA CZASZKA.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

## OSOBY

Pan KONIECPOLSKI, alias GWINT.  
ZŁOTA CZASZKA, strażnik krzemieniecki.  
Pani STRAZNIKOWA, jego żona.  
Panna AGNIESZKA, jego córka.  
Pan GĄSKA, regent.  
Pan MIŁOWICZ, szlachcic.  
Ksiądz PROWINCYAŁ franciszkański.  
Inny KSIĄDZ.  
ZAKRYSTYAN.  
JANKIEL, Żyd arenaarz.  
STANISŁAW, skrybent.  
JAN  
KLEOFAS } studenci od Jezuitów.  
SZAWEL }  
MAGDA, dziewczka.  
SNOPEK, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemieńcu — za panowania Jana  
Kaźmierza.

## AKT PIERWSZY.

### SCENA I

(*Stacyjka Stanisława*).

Stanisław. Jan, później Gąska.

Stanisław.

Cóż tam, Panie Janie? źle słyhać. Podobno, że pan Strażnik krzemieniecki Złota Czaszka wydaje córkę swoją, pannę Agnieszkę, za pana Regenta Gąskę... A cóż będzie z Wacpanem?

Jan.

Będzie, co Bóg zechce.

Stanisław.

Zdaje mi się, że trzeba by zlemu zapobiec.

Jan.

A jakim sposobem?

Stanisław.

Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć! Słuchaj—ja  
ćwik! Masz mnie; jeżeli chcesz, to usłuże. Oto naprzd—  
patrz: wykleiłem sobie wertep z papieru i będę chodził  
po domach, pokazując dyabła i anioła. To mi przyniesie  
kilka groszy — i będzie czem Boże Narodzenie pokro-



pić. A Wacpana podobno z domu Strażnika wypędzono? — Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się koledy — a ja Wacpanu wejście do domu pana Strażnika ułatwię; pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie — a ja dziatwie i starym będę pokazywał dyabła w wer-tepie.

J a n.

Cóż ja jej powiem? — ja jestem ubogi...  
Pan Regent jasnych atlasów naniesie,  
Przyjedzie końmi karymi w kolesie —  
Opowie, jakie ma pod domem stogi,  
Jakie baranów, owiec pełne góry;  
Jak te barany jutro w Berdyczowie  
Przemieni w peret kałakuckich sznury  
I ją ubierze — że jak aniołowie  
Będzie świeciła między siostry swymi,  
Okryta blaskiem i gwiazdy złotymi!  
A ja — co powiem? ja, student, żak szkolny,  
Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?  
Czy narcys biały? — Tu cały fundament  
Urząd — podkówki srebrne — axamity;  
Potrzeba czasem wyprawić traktament,  
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiety  
Przyńcicie i mieć wszystkie po za sobą;  
A wiesz, że moja biedna matka wdowa — —  
Jedna jest tylko u nas w domu krowa,  
I ta nie daje mleka! a ozdoba  
Domu naszego jest — bocian na dachu  
Zamiast blaszanej z herbem chorągiewki!  
U matki mojej przęda biedne dziewczki —  
Ona sprzedaje płótno... Tak, mój Stachu,  
Być mi żołnierzem, nie Strażnika zięciem!

S t a n i s ł a w.

Wiem, że nie jesteś hrabią ani księciem,  
Ale pan Strażnik także nie majestat.  
Wacpan się tylko strój — niech panna kocha...  
Lecz ot — ktoś wchodzi. — (Wchodzi Gąska).  
Co widzę? Pan Gąska?

G ą s k a.

Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

S t a n i s ł a w.

Ja jestem; do usług W Pana.

G ą s k a.

Hum... czy Wacpan komponujesz wiersze?

S t a n i s ł a w.

Komponuje; co Wacpan rozkaże?

G ą s k a.

Radbym mieć wierszem ułożoną kolebę... amoro... w sposobie miłosnym... dla jednej panny, dla której mam affekt i postanowienie...

J a n.

Dla Agnieszki?

G ą s k a.

Skomponuj mi Wacpan i napisz na najpiękniejszym papierze; rozumiesz? — Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe postrzałowić; strzała srebrna, Mocium panie, przesywająca na wylot; — pod spodem miejsce na podpis... i jakie łacińskie symptoma.

S t a n i s ł a w.

Rozumiem, W Panie.

G ą s k a.

Co za to będzie należało — zapłać. A proszę, aby dobrze było rezonowane i asumpt z wysoka; masz zadatek! (wycnodzi).

S t a n i s ł a w.

Dukata rzucił! — Niech go dyabli — dukata rzucił! — Wiesz ty co?... że... panna Agnieszka... e... e... e... dukata rzucił!... Idź na żołnierza... idź na żołnierza! — Tu nie ma co robić gołemu człowiekowi, gołemu jak biznes. Niech go dyabli, jak płaci!

(śpiewa)

Póki nie obrośniesz pierzem.

Póki masz pchły za kołnierzem,

Requiescat!

Uf! to jakiś studukatowy szlachcic! — Chodź na wino do Jankiela! (śpiewa).

Póki nie ustrzyże Parka,  
Żydóweczka nam szynkarka

Lej, lej, lej!

Adonisie, z miłości się  
Śmieje, śmieje, śmieje!

Chodź do Jankiela na wino!

Jan.

Lecz co będzie z moją miłością?

Stanisław.

Co? — Czy ja wiem, co będzie z twoją miłością?

— Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie —  
i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniądze...

(wychodzą).

## S C E N A II.

(*Szynk w zajezdnym domu*).

Pan Koniecpolski — Jankiel, szynkarz.

Jankiel.

Nu — a co tam słyhać w Krakowie?

Koniecpolski.

Źle, Żydzie, słyhać: Szwedy w Krakowie — a  
Kozaki na Podolu — a jeszcze i Rakocy ciągnie. Król  
Jan Kazimierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

Jankiel.

Nu — tak cóż on zrobi? a gdzie on?

Koniecpolski.

W górach karpackich siedzi.

Jankiel.

A co będzie, jak go z gór wypędzą?

Koniecpolski.

To pójdzie za góry.

Jankiel.

A co będzie, jak za góry za nim pójdą?

Koniecpolski.

Galganie Żydzie, co ty mi pędzasz króla jak Ha-  
mana? Zrobimy tu konfederacją i wypędzimy Szwedów!

Jankiel.

Ja nie przeczę.

Koniecpolski.

Kto tu ma największe między szlachtą znaczenie?

Jankiel.

Tak tu różnych jest panów; ale najbojowszy pan,  
to pan Strażnik, co dostał złotej czaszki.

Koniecpolski.

Wytlómacz się, Żydzie!

Jankiel.

Tak to nie wielki pan, ale kochany bardzo i mię-  
dzy swymi i między nas żydków. Tak to pan, co miał  
stłuczony łeb, a sprawił sobie złotą głowę, jak moja  
Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty  
łeb—i dobry łeb—i stary łeb! — Pani Strażnikowa, to  
dobra kobieta; jest i panienka w domu, cymes panien-  
ka! — a idzie za mąż za bogatego szlacheica..

Koniecpolski.

Gdzie mieszkają ci państwo?

Jankiel.

Tak Pan idź na prawo; tam jest nad potokiem pod  
górami dworek biały i dwie lipy: tam państwo wielmożni  
Strażnikowie mieszkają.

Koniecpolski.

Trzeba mi do nich zapukać. (wychodzi).

Jankiel.

To jakiś Haraburda! — Przyszedł robić szablistość...  
A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł  
robić zabij — wytnij — morduj! Ja nie widzę,  
żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obe-  
szło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie. (wychodzi).



SCENA III.

(*Fiekarnia w domu Strażnikowstwa*).

Pan Strażnik i pani Strażnikowa.

Strażnik.

A cóż? każ serce, niech się dziewczki zejda na kolede. Czy rozdałaś im wstążki?

Strażnikowa.

Dałam każdej po wstążce i po tynfie — kontent! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

Strażnik.

A Gnusi coś dała?

Strażnikowa.

Kornecik z czarnej koronki z różami.

Strażnik.

A ja tobie co dam?

Strażnikowa.

Nie szalej, dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?.. O! wiesz co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

Strażnik.

A weź, serce, na to z biórka pieniędzy i daj odemnie.

(Schodzą się Dziewki).

Nol dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiewajmy o Bożem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(Śpiewają):

Chrystus Pan się narodził,  
Świat się cały odmłodził

Et mentes;

Nad sianem, nad żłobeczkiem

Aniołek z aniołeczkiem

Ridentes.

Przyleciały wróbelki

Do Panny Zbawicielki

Cantantes;

Przyleciały łańcuchy

Łabędzi, srebrne puchy

Mutantes;

Puchu wzięła troszeczkę,

Zrobiła poduszczkę

Dzieciatku;

Potem je położyła

I sianem je nakryła

W żłobiatku.

Agnieszka (wchodzi).

Tatku, jakiś pan chce z Tatkiem mówić.

Strażnik,

Proś go tu, do piekarni.

(Agnieszka wychodzi).

Konieczpolski (wchodzi).

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Strażnik.

Na wieki wieków! — Kto Wacpan jesteś?

Konieczpolski.

Jestem wojak, Mości Dobrodzieju!

Strażnik.

A z jakich stron?

Konieczpolski.

Z Ukrainy.

Strażnik.

A jak godność?

Konieczpolski.

Nazywam się Gwint.

Strażnik.

Familia Acana Dobrodzieja mi nieznajoma

Konieczpolski

Wierze; jestem z małej szlachty.

Strażnik.

Ja także z małej...

Koniec Polski.

Ale, jak słyzałem, z tegiej?

Strażnik.

Tak sobie! — Czemże mogę służyć Acanowi Dobrodziejowi? — Dziś dzień święty: zastąeś mię, że z ludźmi śpiewałem kolędę. Siadaj Wacpan! — Magdo, przynieś sztofik z szafki i pierniczki... Proszę, siadaj Wać...

Koniec Polski.

Prosto Wacpanu Dobrodziejowi powiem, że przyjechałem robić tu konfederacyę.

Strażnik.

U nas?

Koniec Polski.

Czy to Waćpana dziwi?

Strażnik.

Miasteczko żydowskie, Mościzdieju!

Koniec Polski.

Ale przecież tu mieszka i szlachta?

§Strażnik.

Są — są — ale nie tędzy!

Koniec Polski.

Uważasz Waćpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, któraby miała szczęśliwy sukces — jak o danie pierwsze hasła narodowi. Wszak Wacpan służyłeś w wojsku!

Strażnik.

Dotknij Wać palcem: czy czujesz?.. twardy mam łeb — z kruszcu, Mości Dobrodziej! Widać, że byłem cięty

Koniec Polski.

Słyzałem

Strażnik.

Więc Waćpan jesteś przysłany do zrobienia konfederacyi. — A kto przysyła?.. Czy wolno spytać, kto przysyła?

Koniec Polski.

Oto jest list.

Strażnik.

Gnusiul

(Wchodzi panna Agnieszka).

Agnieszka.

Co, Tatku?

Strażnik.

Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewczkę! Słabe to, sucherlawe, ale nieszpette; co?

Koniec Polski.

Przystojna panna!

Strażnik.

I dobra... (bierze okulary). Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia. (czyta). Więc Wacpana sam król upoważnił? Ha! (wstaje). Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro wystąchawszy trzech mszy u Franciszkanów, sproszę tu panów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie Wacpan mieszkasz?

Koniec Polski.

U żyda Jankiela.

Strażnik.

Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniej.

Koniec Polski.

Nie długo tu bawię, więc nie chciałbym Wacpanu Dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

Strażnik.

Jak wola; szczerem sercem proszę.

(Koniec Polski wychodzi).

Gnusiul, zawołaj mi matki.

(Wchodzi Strażnikowa).

Strażnikowa.

A co, serce?



Strażnik:

Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości; przygotuj się na to, serdumiu.

Strażnikowa.

Z jakimże to deszczem spadną ci goście?

Strażnik.

Spadną, bo zaproszę — więcej babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gaska, były Marszałek, z naszą córką skończył; bo my nie długowieczni — a spadek niewielki. Cóż, czy ona się przychyła?

Strażnikowa.

Nie męcz dziecka!

Strażnik.

Wacpani jesteś nadto powolna; w tych rzeczach trzeba trochę musu.

Strażnikowa.

Ale daj czas!

Strażnik.

Bhuł bhuł

Strażnikowa.

Cóż tak parszkasz, dziadu?

Strażnik.

Przygotuj Wacpani córkę, bo się lękam, że pierwej mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki weselo.

Strażnikowa.

Idź spać — idź spać, zrzędo, proroku czarny!

Strażnik.

Dobrej nocy, moja babo! (wychodzi).

Strażnikowa.

Biedna moja Gnusia! Iść za takiego dręwnianego człowieka w axamiciel.. Gnusiu, a chodź tu!

Agnieszka.

Co, Mamo?

Strażnikowa.

Staremu się coś ubrdalo, chce koniecznie spieszyć twoje weselo.

Agnieszka.

O nie! o nie! Niech mnie Mama broni, póki można.

Strażnikowa.

Cóż ja będę zawsze ciebie bronić?.. Trzeba, żebyś się zdecydowała. Pan Gaska przysłał podarunki. — Magdol doładno tam z komody zawinięcie w jedwabnej płacie i przynieś... (Magda przynosi). Widzisz? więcej tu jest złota, niż ty warta, błaznicę; łokieć tej koronki kosztuje pewnie dwa holenderskie dukaty. Jankielowa mi dawała czternaście tyńfów bez targu... Cóż ty się tak skrzywiła? Smorgońska fioko, flu flu w głowie! przefuchasz ty panieństwo i zostaniesz na koszu. Magdusiu, przypnij jej do głowy tego narcysa!

Agnieszka.

Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

(wrywa kwiat i depce go nogami).

Strażnikowa.

Ale, Gnusiu, cóż będzie? — Trzeba panu Gasce coś odpowiedzieć.

Agnieszka.

Niech czeka.

Strażnikowa.

Więc mu nie rekużujesz?

Agnieszka.

Rekużuję.

Strażnikowa.

Ale, Gnusiu, ojciec chce...

Agnieszka.

Mało czego ojciec chce! Powiedz mu Mama, że ja za młoda, że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

Strażnikowa.

A skąd ty się nauczyła takich ekuz, moja panno? Skąd takie kaprysy?... Za młoda! — W twoim wieku już byłam matką Michała — niechaj Pan Bóg świeci dziecięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył. Bóg daje, Bóg odbiera: niech będzie Jego wola przenajświętsza!.. Ja widzę z miarki twojej na gorsecie, że ci czas na męża; namyśl się, bo okazała raz stracona nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i z podrabaną wargą, kiedym szła za niego — a teraz mi z nim dobrze. Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj, Gnusiu, że małżeństwo — to nie pierwsza para w draganta, co jak skrzy-pak przestanie digać swoje, tak i ona tańcować. Małżeństwo — to sakrament!.. A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwieszisz?.. A pamiętasz, jak odwiedza-liśmy siostrę moją zakonnicę we Lwowie? — Piernikami cię nakarmiła — fioków papierowych nasypała do fartucha — i płakała! Wiesz ty, czego płakała? bo się jej chciało dyrnać z klasztoru i być choćby żoną chłopca a nie zakonnicą! Pamiętaj, pamiętaj!

Agnieszka.

Czy Mama się od księdza Przeora nauczyła gadać kanzanie?

Strażnikowa.

Błażnico jedna, przyganasz matce?! — Myłam to, czesałam to, póki było młode — a teraz mam na starość autorament w tej mendeweszce! A chore to, a nędzne to! a strzeż jak porcyne! na stoliku! No, jeśli mi ty się stłuczysz, kraszanko! Pamiętaj: pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale jeśli mi się stłuczysz...

Agnieszka.

Co Mama gada? (wychodzi).

Strażnikowa.

Zaczerwieniła się. — Magdusiul!

Magda.

Co Imoś?

Strażnikowa.

Nie, nie! Obudzisz mnie jutro, jak świt i rozczytnisz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości. (wychodzą).

SCENA IV.

(Dom sajezdny. Noc).

(Pan Kleofas i Szaweł, studenci Jankiel).

Szaweł.

Jankiel, wina!

Jankiel.

A kto płaci?

Szaweł.

Wina, żydzie!

Jankiel.

A kto funduje? Wacpanowie studenty, nie ojciec familiom.

Szaweł.

Wina, żydzie! masz dukata!

Jankiel.

Nu — kiedy dukata, to dukata... (kłania się).  
A jakiego wina?

Szaweł.

Jakie ksiądz Gwardyan franciszkański pije w piątek.

Jankiel.

Zaraz przyjdzie. (odchodzi).

Szaweł.

I cóż dalej było z twoją miłością, Kleofazisime?

Kleofas.

Co dnia o godzinie piątej chodziłem na ulicy około dworku Pana Strażnika czatując, jak będzie otwierala okienice. Suka czarna Znajda już nie szczekała na mnie;



okienice także, które zrazu skrzypiały na zawiasach,  
zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą.  
Kamień był jeden pod murem na załamaniu ulicy, gdzie  
siadywałem z wielką zawsze konfuzyą et incertitudi-  
dine...

(Żyd przynosi wino).

Szaweł

Podlej gardła.

Jankiel.

Dobranoc, JW. Panowie studenty! A zagasicie sza-  
basówkę, idąc precz.

Szaweł

I podpalimy karczmę.

Jankiel.

A za co karczmę?

Szaweł

Za to, że ukrzyżowała Pana naszego Jezusa Chry-  
stusa; rozumiesz, Żydzie?

Jankiel.

Nu — karczma nie winna.

(Rusza ramionami i wychodzi).

Szaweł

Cóż dalej?

Kleofas.

Co dnia więc o rannej zorzy  
Stawała mi w okienicy;  
Czekałem, aż okno otworzy,  
I tak jak od błyskawicy  
Splem białością ośnięty.

Szaweł

Rozumiem.

Kleofas.

Oczy jej to dyjamenty  
Morską napełnione falą.

Zielone, gwiazdowe, przezyste —  
Jak błyskawica ogniste;  
Leją się strumieniem — palą,  
Odwrócić się od nich nie można...

Szaweł.

Oczy zielone...

Kleofas.

Pobożna!

Widziałem, jak w usta bierze  
Nieco powietrza i słońce  
I czyste mówi pacierze,  
I w pierś bije się bez końca.  
„Moja wina! moja wina!  
Niewinna mówi dziewczyna,  
Złociста w słońca promyku;  
A u mej białej dziewczki  
Dwie róże, jak aniołeczki,  
Siedzą w białym kornociku  
I słuchają — i śmieją się z win...

Szaweł.

Potem dzwonnik franciszkański  
Zadzwoń na Anioł Pański:  
Din don din! din don din!  
A ty uciekasz; wszak tak?

Kleofas.

Potem w swoje ręce bierze  
Jak łys tęczowy szlak,  
I mówią ranno pacierze —  
Jasna cała, jak lilija,  
Słucznych jeszcze pełna kras,  
Ojcu jasny trzyma pas;  
A on się w tęczę obwija,  
Poważnie się kręcąc w koło;  
Potem ją całuje w czoło,  
I w złotym pasie wychodzi  
Pod lipy...

Szaweł.

Tatko Dobrodziej!...

Słuchaj — i tak zawsze z daleka patrzysz?

Kleofas.

Tak zawsze patrzę z daleka,  
Jak z jej rąk tęcza ucieka,  
Jak gołębie z ustek jedzą,  
Jak w kornecie białym siedzą  
Wielkie rozkwitnięte róże.  
Myślami jej w pracy pomagam,  
Myślami jak pacholek jej służe;  
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam  
I przepraszam na kolanach  
Jak Najświętszą Pannę Maryją.

Szawel.

Her Jezus! ten młokos zwaryował.

Kleofas.

Coś mi śpiewa w domu ścianach,  
Jakby je ze strun budował  
Dla serc, co młodością biją,  
Jaki Anioł — budowniczy!..  
Kiedy powraca z pastwiska  
Wieczorem ich krowa i ryczy:  
Czy z daleka czyli z blizka,  
Czy ryknie na światło księżyca  
Znam, gdy głos leci z gościńca  
I znam, kiedy jałowica  
Woła z kochanki dziedzińca...

Szawel.

Her Jezus! zwaryował! Gada jak pozytywek. Po-  
dlej gardła!.. Lecz ciebie z domu wypędzono?

Kleofas.

Nie wspominaj mi!

Szawel.

Pan Strażnik powiedział, jak slyszalem, że masz  
obdarte łokcie.

Kleofas.

Kto ci to mówił?

Szawel.

Nie zżymaj się!..

Kleofas.

Kto śmiał — powtórzyć?!

Szawel.

Widzisz? — Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie  
obdartusem, a ty cierpisz?..

Kleofas.

Ja...

Szawel.

I plamisz w osobie swojej honor szkół! szkolną  
famę w obeldze umoczoną gnoisz! Na furdament pała-  
sza, jeśli jej nie uwiedziesz, będziesz kpem.

Kleofas.

Zgubić ją?

Szawel.

Cóż to? Czy ty nie wart córki Strażnika Złoto-  
czaszki? Alboż to on senator? — Idź Wać pod okno: już  
zaczyna szarzyć powietrze — a staraj się, aby ci wy-  
znaczyła schadzkę; o to się tylko staraj! (wychodzą).

## A K T II.

### SCENA I.

(*Się w domu Strażnika.*)

(Pani Strażnikowa — Magda).

Strażnikowa.

Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi nie ma wo-  
dy. Ambroży leniuch, zmyję mu głowę. Magdo, Kachno,  
a dać kurom jeść!.. Ave Maria... Magdo! Magdo! (wcho-  
dzi **Magda**).

Magda.

Jestem, Pani.



Strażnikowa.

Spiocho ty! idź mi obudź panienkę... Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykаты wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały z cyfrą pana Gąski... Nie! przeciwnie: na żółtym będzie cyfra pana Gąski, bo Pan Młody także żółty... (wraca Magda). A cóż panienka?

Magda.

Zaraz przyjdzie — nie śpi już.

Strażnikowa.

Nie śpi już?

Magda.

Podlewała na oknie narcyсы, jak weszłam do pokoju.

Strażnikowa.

Podlewała narcyсы?... Gnusiu! Gnusiu!

Agnieszka (z pokoju).

Zaraz, zaraz idę!

Strażnikowa.

Czy ubrana była panienka?

Magda.

Zasznurowana, ale jeszcze nie włożyła jupki i nie zdjęła kornetu.

Strażnikowa.

Zasznurowana!... Gnusiu! Gnusiu!

(Wchodzi panna Agnieszka).

Agnieszka.

Jestem, Mamo.

Strażnikowa.

A dla czego ty tak rano wstała?

Agnieszka.

Przez serduszko mojej okienicy włązi słońce i zawsze bije w samo oczy. A potem ten Skopek, co to wiesz, Mamo, ma Walentego chorobę i mnie Ciocią nazywa, spał widać na naszym dziedzińcu dziś na gnoju, i tak chrapał, że spać mi nie dał. — Ot i on włązi do sieni — biedno stworzenie, sparaliżowane!...

Skopek.

Tiotia, daj jeść!

Strażnikowa.

Magdo, przynies mu obwarzanka.

Skopek.

Tiotia! ja tiotię kocham; tiotia! ja tego skubenta kocham — tak, tak, tak! — jak mamę kocham... Czego żazi?

Agnieszka.

Jak się on ślinił — Daj mu co, Magdo, i wypraw.

Magda (daje obwarzanek).

No, idź precz!

Skopek.

Hi, hi, hi! Magda krowa!...

Posyła buziaka ręką P. Agnusi i wychodzi. Wchodzi P. Strażnik z drzwi drugich).

Strażnik.

No, kobiety, zwijajcie się! A potem do kościoła XX. Franciszkanow: będzie tam wielki festyn. Moje serce, czy mi dobrze w tym kontuszu? — Coś mi go Josiel ciasno skroił — co?

Strażnikowa.

Mnie się zdaje, że w sam raz. Bo ty zawsze sukcesz być, jak wilk w worku.

Strażnik.

Gnusiu, a przybierz się Acanna do kościoła, jak wypada. (wychodzi).

Strażnikowa.

Do piekarni! do piekarni! miesiąc ciasto! Gnusiu, weź z po za zwierciadła receptę na marcypanowo ciasto i przynies. (wychodzi).

S C E N A II

(Zakrystya Franciszkanów).

Zakrystyan. Później P. Strażnik.

Zakrystyan.

Nuż, chłopcy, zamiatać — a żwawo! (wchodzi P Strażnik). Cóż tak rano sprowadza Wacpana Dobrodzieja?

Strażnik.

Przewielebny ksiądz Gwardyan jeszcze nie wstał?

Zakrystyan.

Wczasuje się jeszcze, Mości Dobrodzieju.

Strażnik.

Zaczekam. —

(Zakrystyan podaje stołek; Strażnik siada i opiera się na złotej łasce dumając; Zakrystyan tymczasem fałduje obrusy, nalewa ampulki i obciera z pyłu krucyfiksy. — Wchodzi Ksiądz, klania się Strażnikowi—potem idzie do stołów i ubiera się w ornat. Cisza głęboka.—Wchodzi Gwardyan. Pan Strażnik wstaje).

Strażnik.

Witam Ojca Gwardyana. (całuje go w rękę).

Gwardyan.

A! Pan Strażnik!

Strażnik.

Proszę o posłuchanie.

Gwardyan.

Oczy w potrzebie sumienia jako księdza, czyli w świeckim interesie?

Strażnik.

W świeckiej sprawie.

Gwardyan.

Siadaj Wacpan Dobrodziej.

Strażnik.

Przystąpię do rzeczy bez exordium. Otóż, Mości Dobrodzieju, winienem powiedzieć, iż tej nocy otrzymałem ordynans od JKMości, abym w mieście tutejszem zrobił konfederacya...

Gwardyan.

Domine Jesu Christe, da nobis pacem! — Konfederacya?!

Strażnik.

Wysap się Acan Dobrodziej i umityguj się.

Gwardyan (siada i składa ręce na brzuchu).

Słucham Acana Dobrodzieja.

Strażnik.

Gdybyśmy na konsystencyi mieli u siebie Chora-giew Pancerna, albo komputowe wojsko: — rzecz byłaby łatwa. — W takim razie ja albo Wacan zwołujemy Koło Chorągwiane; wychodzę Mości Dobrodzieju naprzód, mając za sobą plecami Acana Dobrodzieja; — i odwoławszy się do czystych rycerskich sere, zyskujemy, że z pomiędzy grona naszego wysłana jest deputacya do JW Pana Regimentarza, w przełożeniu i z wszelką submisyą żądająca, aby się zgodził w sprawie publicznej na rzecz prędkiego potrzebującej ratunku i zadowolenia. Rozumiesz Wacpan Dobrodziej?

Gwardyan.

Z Chorągwią byłaby rzecz łatwa...

Strażnik.

Lecz my nie mamy Chorągwi — —

Gwardyan.

Otóż to, że nie mamy Chorągwi!...

Strażnik.

Że trzeba bicz z piasku ukrećć — —

Gwardyan.

Otóż to jest, że trzeba bicz z piasku ukrećć!...

Strażnik.

A jakże go ukrećć, Mości Dobrodzieju?



Gwardyan.

Ha!

Strażnik.

Nie poddawaj się naglej rozpaczy Acan Dobrodziej! Rzeczyć się da zrobić.

Gwardyan.

Trudno!

Strażnik.

Ja wiem, że trudno; ale Panu Bogu wszystko jest podobieństwem! — Nim co będzie, każ Wacpan bić we dzwony i poślij cztery trąby na wieżę.

Gwardyan.

Więc sądzisz Wacpan Dobrodziej, że jak w dzwony uderzą i zatrąbią marsza festynnego, to... to...

Strażnik.

To zbierze się cała szlachta tu osiadła do kościoła.

Gwardyan.

Masz rację.

Strażnik.

I Wacpan, Wielbny Ojeze, raczysz ze zwykłym darem przekonywania przemówić z ambony.

Gwardyan.

I sądzisz Wacpan, że moja słaba wymowa —

Strażnik.

Zrobi efekt, Mości Dobrodzieju!

Gwardyan.

Ale... c... e!..

Strażnik.

Zrobi, Mości Dobrodzieju; przysięgam!

Gwardyan.

Wątpić, ale spróbuję... ale spróbuję. — Kiedy Wacpan Dobrodziej tego żadaż, to ja spróbuję.

Strażnik.

Krzyżem leżeć będę, a błagać Pana Boga, aby Wacpana Dobrodzieja wymowa zwykła w tym excesie nie odbioga.

Gwardyan

Przytomny dosyć jestem w takich razach, przytomny...

Strażnik.

Trzeba kazać w dzwony bić, ojeze Gwardyanie.

Gwardyan.

A jak Szwedy zrujują klasztor?

Strażnik.

To pan Strażnik będzie chyba nie na mogiłkach — lecz pod mogiłkami! Co mi Wacpan mówisz o Szwedach? — Czy to ja przyszedł jak dureń do Wacpana Dobrodzieja, nie pomyślawszy, że w kraju są Szwedy?! Więc gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi i z kościelnymi gratami na górę królowej Bony, do ceglanej ruiny — niby orłowie niebiescy; a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie stracony do czeluści piekielnych — i nad nim siły szatańskie nie przemogą! — Postępujemy, Mości Gwardyanie: czas drogi ulatuje na skrzydłach, a my się starzejemy!

Gwardyan.

Bogdajby to wszystko na dobre wyszło — bogdajby! (wychodzą).

### S C E N A III.

(Rynek).

(Obywatele — Lud).

Pierwszy Obywateł.

Słowo stało się ciałem! U Franciszkanów grają w trąby na wieży. Czy ksiądz Gwardyan zwaryował?

Drugi Obywateł.

Ksiądz Gwardyan lubi muzykę.

Pierwszy.

Wracam z kościoła — pełny jarzącego światła, adamaszkami wybity! Pan Strażnik krzyżem leży na samym środku. —

Drugi.

Krzyżem leży?

Pierwszy.

I szlocha tak, że się kościół trzęsie.

Drugi.

Tu przebaknął ktoś o konfederacyi.

Pierwszy.

Co?

Drugi.

Patrz! patrz! patrz! Jakiś rycerz na koniu wjeżdża na rynek. (Pan Gwint wjeżdża zbrojny i staje wśród tłumu).

Lud.

Jezu drogi! Jezu drogi! Archanioł albo kat jaki przebrany — Szwed! Szwed! Szwed!

Gwint.

Jeżeli dbacie o domy wasze i o trumny wasze: ruszajcie się — bo wytnę do szczytów!

Lud (śród płaczu i szlochania).

Jezu drogi! Od powietrza, głodu, wojny ratuj nas!

Gwint.

Podajcie mi tokajul!

(Podają wino; on wylewa w hełm i pije).

Jeremiasz Książę Wiśniowiecki pije za zdrowie pana Strażnika Złota Czaszka, Marszałka konfederacyi na Krzemieniu!

(Rzuca konia w galop; lud za nim).

Lud.

Jeremiasz! Jeremiasz! Jeremiasz!

SCENA IV.

(Mogilki).

(Ciągłe biją w dzwony. Pan Strażnik wstępuje na najwyższą mogilkę. Na prawo stoi X. Gwardyan z monstrancją pod baldachimem; na lewo ołtarzyk N. Panny ubrany w złoto i kwiaty. Pan Gaska w jaskrawym ubiorze — i wiele Szlachty toż Studentów w głębi i na przedzie).

Strażnik.

Wielmożni Mości Panowie Szlachta! Obywatele cechowi tu licznie zebrali! słuchajcie. — Ja Strażnik krzemieniecki, vulgo Złota Czaszka: zebrałem was, wołając z wieży Franciszkanów dzwonami et trombis. A nie wołałem dla żadnej światowej mamony i dla chwały osobistej mówienia do was. Jeśli więc Złota Czaszka ma u was jaką wiarę i zachowanie: wiercie mu, że teraz na rany boskie was zaklina, krzyżem przeleżawszy rozesłany podczas Mszy świętej, i podniesiony z prochu jak robak, przez litość jedynie boską i szczerę ku sprawie publicznej zamiary. — Wiercie Złotej Czaszce, bratu i słudze WCPanów Dobrodziejów, a zwiążcie się w konfederacyą i obierzcie na tem miejscu Regimentarzem Najświętszą Pannę, Matkę Boską, abyśmy nie zginęli z duszami! — A nie mówię tego, żebym nie sądził godnym regimentarstwa pana Gaskę, Marszałka tu przytomnego; ani też Wielmożnego Seweryna Miłowicza z Dymitrówki z kwitkiem odsyłał, a nie z należytą w konfederacyi powagą; ani też innych sądził niedogodniejszą od innych i bezpieczniejszą w tej sprawie obroną, niż miecze ludzkie i Gotfredowe tarcze — i nawet rozum wasz, który jest ludzki. Na tej mogilce, Wielmożni Panowie, gdzie stoję — tu podemną, złożono są śmiertelne zwłoki ś. p. Michała, trzechletniego synka



mego. Jakżebym chciał wam kłamać i na zle was prowadzić, mając pod nogami drogie kosteczki dziecka mego, a przed sobą wieczność boską już dla mnie zbliżającą się? A i to wiem, że nie znajdę przy boku moim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku służyłem, a którzy już są w grobach i nie będą widzieć mnie, ani dopomoga. Ale czyż przeto wy, nie mogąc się spytać i dowiedzieć u hetmanów dawnych, Kalinowskiego, że ja jestem tegi wojak, czy nie uwierzycie mi, że jestem tegi, kiedy wam to przysięgam na siedm ran Chrystusa, przyrzekam w pierwszym zdarzeniu pokazać i udowodnić! Więc umyśliłem napaść na Szwedów stojących w Dubnie, których jest tylko dwieście, dla zaprawienia was i ośmielenia. A jakaż chwała będzie, gdy ich pobijemy i konfederacya nasza pod waszymi skrzydłami, Wielmożni Panowie, rozszerzy się! Czyja więc wola, niech się zapisuje na rejestrze złożonym na ten cel w refektarzu, a później zechce zaszczycić dworek mój, albo tego—którego obierzemy Marszałkiem — z zawarowaniem zawsze regimentarstwa dla Najświętszej Panny! — Skończyłem i proszę W.Panów z procesyą do refektarza na galkowanie.

(Okrzyk powszechny i procesyą wychodzi)

SCENA V

(Dziedziniec Strażnika).

(Wbiega Jankiel).

Jankiel.

Nu, nu, nu, co się dzieje? Miasto całe do góry nogami! a pan Strażnik narobił, a pan Strażnik nie odrobi — a ja wysłał do panów Szwedów mego Jankielka na koniu; lepiej zapobiec wczas, niech się ta rzecz nie rozidzie po wszystkich gościńcach... Pani Strażnikowa...

Strażnikowa.

Co tam, Jankielu?

Jankiel.

Nu, Pani w domu, a pan Strażnik w konfederacyi po uszy, i panowie z nim po uszy w konfederacyi, i miasto w konfederacyi! Ja nie wiem, żydów może będą wieszać albo rozbijać — niech Wielmożna Pani przyjmie na skład kilka z mego towarów; ja nie chcę kwitu — niech leżą u JW.Pani w bezpieczu.

Strażnikowa.

Co mówisz, konfederacya?

Jankiel.

Nu, pan Strażnik wlaźł na mogiłkę i gadał, że panem Regimentarzem będzie kościół franciszkański — a Szwedy w Dubnie pójdą w kaszę. Ja nic nie wiem, ale to fakt!

Strażnikowa.

Jaki fakt?

Jankiel.

Nu, fakt, fakeya — ja nie wiem, ja trzymam się domu JW.Pani, a ja nic nie wiem... (słychać strzały). A, ot! ona już strzela — ta konfederacya!

Strażnikowa.

W samej rzeczy strzelają na rynku. Jezus, Marya co to jest?!

Jankiel.

Wielmożnej Pani męża niosą na rękach, a za nim, zale miasto — a ja jeden tu!

(Krzyki).

Vivat Marszałek Złota Czaszka!

Wychodzą na dziedziniec cechy z z chorągwiami, potem wnoszą Marszałka Złotą Czaszkę na rękach; — za nim pana Gąskę niosą — za nim p. Miłowicza).

Jankiel.

To pierwszy Marszałek, a drugi Chorąży, a trzeci Sekretarz; a ten sekretarz ma suchoty; on umrze, czego jemu było szukać konfederacyi?

Pierwszy Obywatel.

Panie Kasperowicz! Waćpan jako krawiec ubierz domek pana Marszałka w chorągwie cechowe.

Drugi.

Zamykajcie drzwi, bo się nadto ludu nawcisła!

Trzeci.

A ot! i panienka wychodzi z sztofkiem i z kieliszkiem.

(Wchodzi Kleofas i Szaweł).

Szaweł.

Jesteśmy deputacją od szkół jezuickich, prosimy wyprosić do nas pana Marszałka... (do Kleofasa). Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzęła na ciebie! Fiu, Fiu! wy się z sobą znacie! — Czerwony jesteś jak gil, co tam siedzi na lipie; podnieś czoła i najeż wąsa — o tak! — Czy ci wszy chodzą po sercu?

Strażnik (za sceną).

A czego chcą te błazny? (Pokazując się we drzwiach — za nim panna Agnieszka). Czego Wacanowie?

Szaweł.

W deputacji od szkół, JW. Marszałku.

Strażnik.

Czy pan Prefekt przysyła?

Szaweł.

Libortatem quaerentes przychodzimy motu proprio, JW. Marszałku, zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wytamawszy drzwi, gdzie nas zamknięto z przytłumieniem woli naszej i z ubamowaniem zapału naszego. Szkoły jezuickie, Mości Panie Marszałku, zrobiły ten akt liberationis et deliberationis, a mają słuszną sperandę, że nie tylko wieniec i dębową koronę, ale słuszo ukaranie księdza Prefekta, hamującego ten szlachetny zapał, otrzymają i pójdą tryumfalnie pod chorągwie rycerstwa polskiego! Dixi

Strażnik.

A błazny jedne! a błazny!

Panna Agnieszka.

Tatku...

Strażnik.

A smarkacze wy, z mlekiem pod brodą! Wam do konfederacyi? Każę związać, oćwiczę i księdzu Prefektowi odeślę pod bizun. Młokosy jedne, precz mi stąd!

Szaweł.

Panie Złota Czaszka...

Strażnik.

Precz mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalie! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potem wyrzucali, żem ich szlacheckie gniazda ogłodził i zaprzepścił! Co to wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, intymusy? Wam podnosie rokosz na księdza Prefekta? Na klęczkach mi go przeprosić, błazny — precz stąd!

(Panna Agnieszka zakrywa oczy płacząc).

Szaweł.

Panie Złota Czaszka, taka afrontacya!.

Strażnik.

Afrontacya? (do cechów). Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych intymusów!

(Studenci dobywają szabel. Miejscy chorągwiemi wypędzają ich z dziedzińca i gonią ulicą).

Strażnikowa.

Serce, Agnusia nasza czegoś płacze...

Strażnik.

Precz, baby! — Co innego mi teraz w głowie, nie panna Agnieszka.

Strażnikowa.

To idźcie do gości



## S C E N A VI.

(Cela księdza Prowincyała).

(Zakrystyan krząta się; Prowincyał siedzi na krześle). —

Prowincyał.

Cóż myślisz, Barabaszu, o tem wszystkim?

Zakrystyan.

Myślę, że ci panowie powaryowali.

Prowincyał.

Masz racya.

Zakrystyan.

A kiedy chcieli byli robić konfederacyą, to mieli klasztor księży Jezuitów i klasztor ojców Bazylianów. Nie — przyszli Księdza Prowincyała wciągnąć! A wie Ksiądz Prowincyał dlaczego? — bo Ksiądz Prowincyał ma dobre wino węgierskie w lochu.

Prowincyał.

Durci jesteś, stul pysk! A gdzie moja sroka? nie widziałem jej dziś.

Zakrystyan.

Sroka Księdza Prowincyała, kiedy Ksiądz dziś celebrował, to chodziła za baldachimem jak grzesznik, a kiwała ogonem, tak jakby mówiła: -- „Oj Ojze Prowincyale! oj Ojze Prowincyale!“ Niech mnie dyabli zma, jeżeli ta sroka nie mędrsza od nas! A jabył miał, żeby ta sroka ukradła panu Strażnikowi złotą i włożyła Księdzu Prowincyałowi do kieszeni... sroka nie żyje...

Prowincyał.

Co?

Zakrystyan.

Zadeptano w tłumie.

Prowincyał.

Nie prawda!

Zakrystyan.

Ojcie, zadeptano! bij mnie — zadeptano.

Prowincyał.

Nie prawda!

Zakrystyan.

Zadeptano.

Prowincyał.

Kłamiesz, kłamiesz! Mój kochany Barabaszu, poszukaj ty jej: ty może myślisz, że to mnie mało martwi — ale ja z tej sroki miał pocięchę.

Zakrystyan.

Mało z czego Ksiądz Prowincyał miał pocięchę; a trzeba się będzie przyzwyczaić do zguby! A kto będzie Księdzu Prowincyałowi grał na trąbce po nie-szporach, kiedy trębaczę poszli na trębaczę do konfederatów? A Ksiądz Prowincyał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na rejestrze w refektarzu, choć Niemiec...

Prowincyał.

Moich ludzi będę reklamował.

Zakrystyan.

Tak, reklamował! a gdzie i od kogo reklamował, kiedy Ksiądz Prowincyał jesteś sam Regimentarzem?

Prowincyał.

— jako żywo!...

Zakrystyan.

Ksiądz Prowincyał drwi ze mnie.

Prowincyał.

Ja?

Zakrystyan.

Ksiądz Prowincyał stoisz podpisany na rejestrze i na uniwersałach, jako regimentarz

Prowincyał.

Ale to za Matkę Boską.

Zakrystyan.

Ale to nie „Ja, Matka Boska, regimentarz“ stoi w rejestrze! ale „Ja, Prowincyał księży Franciszkanów,

regimentarz“ stoi w rejestrze! A co mi tam patrzeć w myśl Księdza Prowincyała!

Prowincyał.

Jezu drogi! to ja zabrnąłem, mówisz?

Zakrystyan.

Bez rekursu.

Prowincyał.

A czemu ty mi nie szepnął na ucho, kiedyś widział, że mnie pan Strażnik w zakrystyi atakuje?

Zakrystyan.

Ksiądz Prowincyał wie lepiej, co klasztorowi czynić przystoi.

Prowincyał.

Prawda, że wiem, ale tobie trzeba było mnie ostrzec — a teraz przychodzisz, kiedy już po czasie — Ktoś puka.

Zakrystyan (otwierając drzwi).

Jakiś dragan.

Prowincyał.

A czego on? (wchodzi Dragan)

Dragant.

JW. Złota Czaszka Marszałek przysłała z ordynansem, abyś jutro Ksiądz Prowincyał gotów był poświęcić chorągwie i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szweda.

Prowincyał.

Odpowiedz panu Złotej Czaszce, że dobrze. (Do Zakrystyana) Widzisz, że ja tylko mam błogosławić.

(P. Strażnik, p. Gaska, p. Miłowicz i kilku innych wchodzi).

Strażnik.

Witam Księdza Prowincyała! Przychodzimy na naradę i po radę do Księdza Prowincyała, jako do naszego regimentarza.

Zakrystyan.

A widzi Ksiądz?

Prowincyał.

Milez, durniu! — Bardzom rad! jestem całym sercem na usługi.

Miłowicz (grobowym głosem).

Zafundujesz nam przecie wina, Księżo Prowincyale.

Zakrystyan.

A widzi Ksiądz?

Prowincyał.

Milez, błaznie! — (głośno) Barabaszu, przynieś antałek i szklanki.

(Zakrystyan wychodzi i po jakimś czasie wraca z winem).

Strażnik.

Coś mi, Księżo Prowincyale, dumasz?

Prowincyał.

Czy my się nie pośpieszyli zanadto?

Strażnik.

Wacpan Dobrodziej słuchasz zanadto kościelnego sługi, który Acpanu głowę troskami nabija i w przedsięwzięciach go hamuje. Jeszcze Ksiądz Prowincyał masz czas ku odwróceniu od nas swoich afektów; a ja się oddam księżom Jezuitom albo Bazylianom:—a wtedy co będzie?

Prowincyał.

Panie Strażniku!

Strażnik.

Udałem się do Księdza Prowincyała, albowiem uważałem w nim największy majestat i blask, a w ce-remoniale nikt mu nie wyrówna...

Prowincyał.

Co, czy byliście kontenci z procesyi?

Strażnik.

Niech pan Gaska powie; mówiłem mu otwarcie, że się nie spodziewałem takiego festynu. Tu Ksiądz Prowincyał posuwa się — a tu przed nim sypią różane



listeczki — a tu trąby na wieży grzmia, aż trzęsła się góra królowej Bony! — myślałem, że pójdzie w taniec...

G a s k a.

Góra, czy Książd Prowincyał?

W s z y s c y.

Oba! cha! cha!

M i l o w i e z.

Góra z Księdzem Prowincyałem!

W s z y s c y.

Cha! cha! cha!

P r o w i n c y a ł (do Zakrystyana).

Postaw tu, durniu, antalek i ponalewaj lampeczki JW. Panom. — Miałem wielkie zmartwienie w dniu dzisiejszym, zdeptano mi sroczkę moją.

S t r a ż n i k.

Przysłę Księdzu Prowincyałowi pierwszego Szwe da, którego mi się uda złapać, aby mu był wynagrodzeniem; tymczasem nicch się Książd Prowincyał uzbraja.

S C E N A VII.

(Pokoik Panny Agnieszki).

P. Agnieszka i Magda.

Agnieszka (placząc).

Magdo, daj mi chustkę.

M a g d a.

Tak, tak! Jak panienka z żalości umrze, a Jegomość będzie płakał: powiem — dobrze Jegomości taki Jegomość zabił dziecko, a teraz płacze! dobrze Jegomości tak!

A g n i e s z k a.

A skąd ty wiesz, Magdo, dlaczego ja płaczę?

M a g d a.

Z miłości płacze Panienska; ja wiem, że z miłości.

A g n i e s z k a.

Otóż ja nie z miłości płaczę -- ja tak płaczę.

M a g d a.

Ha, ha! jabym w to uwierzyła? Jaka mi Panienska mądra! jabym w to uwierzyła?

(wchodzi Pani Strażnikowa).

S t r a ż n i k o w a.

Co to mi za szloch, Gnusiu? Ojciec pyta o ciebie: pan Gaska chce wnosić zdrowie twoje.

A g n i e s z k a.

Powiedz Mama, że ja nie pójdę, że ja chora, że ja umarła, że ja leżę na cmentarzu Zofobieckim pod śniegiem, że ja siebie zabiję i pana Gaskę truję. Weź sobie mama ten kornecik z różami — ja niczego nie chcę! ani prezentów, ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czego wy chcecie odemnie? czy ja wasza niewolnica? czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie! — Ja się chcę uspokoić: zostawcie mnie!

(wchodzą p. Strażnik i p. Gaska).

S t r a ż n i k.

A kto tu szlocha?... a dlaczego to Wacpanna szlocha?

S t r a ż n i k o w a.

Daj pokój -- przy obcych ludziach!...

(Agnusia ociera łzy i staje przed ojcem ze spuszczone mi oczyma).

S t r a ż n i k.

Widzisz mi płacę? -- Obotrzyj Wacpanna łzy i podnieś oczy: — pan Gaska przyszedł z komplementem,

A g n i e s z k a.

Dziękuję.

G a s k a.

Niech mię Panna Strażnikówna nie wyklina: nie przyszedłem woli wielmożnej Acarny Dobrodziejki wiclentować... W cierpliwości oczekiwać będę, aż moja afekcja...

Strażnik.

Patrz — płaksa roześmiała się!

Gaska.

Rozjaśnienie jej czoła szczęśliwą mi jest wróżbą.  
Czy mogę upraszać o jednego z tych narcysów, co  
stoją na oknie?

Agnieszka.

Nie.

Strażnik.

Grzeczna mi bądź, błaznico!

Gaska.

Pozwól mi Acan Dobrodziej, pozwól mi: — tu ja  
sam jestem wystawiony na szwank, niech mam wszelką  
wolność. (Do panny Agnieszki). Czy moja osoba jest  
przedmiotem jakiegokolwiek odrazy? — proszę szczerze...

Agnieszka.

Zadnej odrazy nie czuję do Acana Dobrodzieja,  
ale ja szczęścia Pańskiego nie zrbie: ja nic nie umiem,  
jestem w domu jak obrazek malowany...

Strażnik (do żony).

Serce, a wydobądźno krosienka i pokaż panu Gascę  
aparatury, które wyszyła złotem do franciszkańskiego  
ofiarza. Wierz mi, panie Gasko, że to rozumna główka,  
--a bierz, bo to skarb.

Gaska.

Jabym chciał dać czas pannie Strażnikównie do  
namysłu.

Strażnik.

Cóż to, czy mi Waepan rekużujesz?

Gaska.

Prędzejbym żywota mego odstąpił i duszę moja  
opuścił, niż wyrzekł się złotej dla mnie nadziei! Ale  
sądzę, że szablą, ponieważ się zdarzyła okazyja, potrafię  
w oczach panny Strażnikówny przydać sobie waloru.  
Dlatego więc proszę, abyś Wpan Dobrodziej, ponieważ  
otwartej nie mam jeszcze rekuży, zostawił to w speran-  
dzo i expektatywie. Wszak tak? ostatecznie mi Panna  
nie rekużujesz?

Agnieszka (spojrzawszy na ojca groźną twarz).

Nie.

Strażnik.

Jest to konsensum.

Gaska.

Wrómy do kielicha. (wychodzą).

Strażnikowa.

Bardzo była mądra; aż rośtam słysząc. jak ty  
przytomnie odpowiadasz. Dobrze, Gnusiul! I on mi się  
podał: bardzo rozsądny i stateczny. Widziałas ty,  
jaką miał karmazynową sajotę na żupanie? Takiej sam  
król nie nosi. Zielony kontusz z tureckiej materyjki  
w kwiateczki, także dobrze dobrany... Cóż ty, kwoczko?

Agnieszka.

O nieszczęśliwa ja! zanieście wy mnie na cmentarz!

Więc widzieliście w chorągwie cechowe  
Ubrany dworek starego szlachcica;  
Kto myślą sięgnął w niebo lazurowe,  
Widział, jak duchy i Bogarodzica  
W promieniach zorzy trzymająca głowę,  
A stopy dzierżąc na srebrze księżycy.  
Na dom jasnością piorunową biła  
I z po nad starych lip błogostawiła.

Chorągwie dworek okryły ubogi,  
Ze był jak namiot jakiego mocarza,  
Z jedwabiu cały — a złote miał rogi,  
A w środku jasną cnotę gospodarza.  
Dla nędzy także otworzone progi,  
I obwarzek biały dla nędzarza;  
I piękność chował dawnych, szczerých rysów  
Napełniającą dom wonią narcysów.

Tam, kiedy w cichą noc duchowie czarni  
W śniegowej korza się burzy i wichrze,



Jasna koleśda w przyćmionej piekarni  
 Płakała -- w rytmy ubrana najlichszo.  
 Z nią usypiali ludzie gospodarni,  
 A od serc naszych serca mieli cichsze,  
 A gdy się rwali z ubogiej pościeli,  
 To więc do szabli albo do kądzieli!

I pokazałem wam klasztorne życie --  
 I pokazałem studentów i żaków,  
 I pokazałem w przeszłości błękanie  
 Lud, co nazywał się ludem Polaków. --  
 Teraz, przy dalszej zorzy zobaczycie  
 Las pływający rozwiniętych znaków,  
 Ten domek w zieleń wiosnianą ubrany --  
 I usłyszycie, jak puka do ściany

Nieszczęście... Bądźcie więc wyrozumiali  
 Dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni!  
 Spokojne domy także piorun pali,  
 Chociaż je wiara, chociaż czystość broni;  
 A jeśli wszystko zważymy na szali,  
 Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni  
 . . . . .  
 . . . . .

Reszty braknie, (*Przyp. Wyd.*).

Koniec tomu czwartego.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

|                                                                             | Str. |
|-----------------------------------------------------------------------------|------|
| Pocze liryczne i ulotne. Część druga . . . . .                              | 1    |
| Podróż do Ziemi świętej z Neapolu. Poemat<br>niedokończony (1836) . . . . . | 19   |
| Wschód słońca nad Salamina . . . . .                                        | 84   |
| Trzy fragmenta z poematu „Pan Tadeusz“ . . . . .                            | 87   |
| Ustęp z przekładu Iliady Homera . . . . .                                   | 91   |
| Beniowski. Ciąg dalszy. Z wydania pośmiertnego                              | 117  |
| Część druga Beniowskiego . . . . .                                          | 190  |
| Dodatkowe luźne urywki . . . . .                                            | 199  |
| Krakus. Dramat (Fragment) . . . . .                                         | 203  |
| Wallenrod. Dramat (Fragment) . . . . .                                      | 219  |
| Walter Stadyon. (Fragment) . . . . .                                        | 256  |
| Jan Kaźmierz (Szczątek dramatu) . . . . .                                   | 261  |
| Złota Czaszka. (Szczątek dramatu) . . . . .                                 | 279  |







Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 25897



BGZs 25897

277 -

138161

8.12.73

